



TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

**Świat pani
Malinowskiej**

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Świat pani Malinowskiej

ROZDZIAŁ I

Spadło to nań jak grom z jasnego nieba. W pierwszej chwili chciał wprost powiedzieć pannie Sobczykównie, że to kłamstwo, nowa obrzydliwa plotka biurowa i że nie powinna zajmować się powtarzaniem podobnych nowin. Bo ona to nazwała nowiną:

— Czy pan referent słyszał w Zakopanem o naszej nowinie? Pani Bogna wychodzi za pana Malinowskiego.

Uczuł przypływ krwi do twarzy i pochylił się nad otwartą szufladą. Jednocześnie spostrzegł swoje ręce, bezcelowo przewracające blankiety i opanował się.

— Nie słyszałem — odpowiedział.

— Na jesieni ma być ich ślub. To niby tajemnica, ale i tak wszyscy wiedzą. Myślałam, że pan naczelnik pisał panu o tym. Kto by się to spodziewał! Chociaż panu Malinowskiemu nic zarzucić nie można... Owszem...

Borowicz przełknął ślinę, stanowczym ruchem zasunął szufladę i zapytał:

— Czy to wszystkie kosztorysy?

— Tak, proszę pana, oprócz tych, które podczas pańskiego urlopu załatwił sam pan naczelnik Jagoda.

— Dziękuję pani.

Gdy wyszła, zerwał się i podszedł do otwartego okna. Tego się nie spodziewał. Wracając z urlopu oczywiście przewidywał, że podczas jego nieobecności mogły zajść jakieś zmiany. Odczuwał nawet swego rodzaju obawę przed nimi. To właśnie nie dało mu spać w nocy, a z rana wcześniej kazało pójść do biura. Po drodze uspokoił się jednak zupełnie. Widniejący z daleka gmach Funduszu Budowlanego, niewzruszony jego kontur, wystający z zieleni drzew w jasnym słonecznym dniu i niezmienna tożsamość Warszawy nasunęły mu nawet uśmiech pobłażania dla własnych obaw.

W gruncie rzeczy czegoż bardziej mógł pragnąć, niż zmian, jakichkolwiek zmian, bodaj listu z wymówieniem, który nareszcie przerwałby bezsensowną wegetację kłaczka mchu, wrośniętego w jeden z kącików wielkiej betonowej bryły. Ale to spadło nań jak grom z jasnego nieba. Od początku wiedział dobrze, że Sobczykówna mówiła prawdę. Przypomniał sobie oba listy Jagody. Były tam pewne napomknienia, do których nie przywiązywał wagi.

— Do których nie chciałem przywiązywać wagi — poprawił siebie z jakąś złośliwą przyjemnością.

Jagoda zbyt prosto, zbyt praktycznie patrzy na życie, by mógł pisać o rzeczach nieistotnych, o drobiazgach bez znaczenia. Pisał: „Malinowski wyrzucił sobie kajak i cały dzień siedzi na Wiśle razem z panią Bogną Jezierską, którą uczy wiosłować...”. A innym razem przesyłał ukłony od „p. Jezierskiej i Malinowskiego”...

— Czyżby przypuszczał, że mnie to może obchodzić?... Nonsens!

Spojrzał na jego wspaniałe biurko, wznoszące się w środku pokoju niby wielki ołtarz. Jagoda istotnie traktował ten mebel z pietyzmem. Celebrował przy nim, a podobieństwo do ołtarza podkreślał surową symetrią ustawionych na nim przedmiotów: dwie lampy, dwa kalamarze, dwie suszki, dwa kubki z ołówkami, dwa aparaty telefoniczne (wewnętrzny i miejski), z jednej strony nożyce, z drugiej linia, dwie popielniczki, a w środku, oczywiście w samym środku, blok białego papieru. Biurko to stanowiło centrum egzystencji

i oś zainteresowań Jagody i Borowiczowi nie przyszłoby na myśl, że ten człowiek mógłby w gmachu Funduszu Budowlanego poświęcić bodaj odrobinę uwagi czemuś, co nie należało do zakresu obowiązków służbowych. A jednak Jagoda widział więcej, a nawet podejrzewał widocznie, że zbliżenie pani Bogny do Malinowskiego ma dla Borowicza jakieś znaczenie, że będzie to dlań gromem z jasnego nieba.

— No, nie przesadzajmy, — pomiarkował się Borowicz.

Porównanie z „gromem” przyszło mu do głowy w pierwszej chwili. Właściwie mówiąc była to tylko rzecz niespodziewana. I przykra, bardzo przykra. Nie miał żadnego prawa już nie tylko wobec pani Bogny, ale i wobec samego siebie żywić jakiegokolwiek pretensje do losu. W gruncie rzeczy nic go nie upoważniało do zajęcia jakiegokolwiek stanowiska w stosunku do tego zdarzenia. Lubił panią Bognę, cenił, znał, znał prawie od jej pensjonarskich czasów, bywał u niej — ale to i wszystko. Nigdy nie rościł sobie żadnych zamiarów, które wykraczałyby poza sferę dobrej przyjaźni. Zresztą nie miał żadnych zamiarów. Nie chciał mieć. W ogóle o tym nie myślał. I nagle ten Malinowski! Co za głupstwo! Będzie się nazywała: pani Ewarystowa Malinowska i będzie sypiała z nim w jednym łóżku.

Borowicz wzruszył ramionami i z tępą niechęcią pomyślał, że Malinowski zaraz nadejdzie, że będzie musiał pocałować się z nim na powitanie, a później znosić jego twarz przez siedem codziennych godzin biurowych. Biurka ich były zsunięte i korzystali z wspólnej kartoteki. I wyobrazić sobie, że na początku, gdy otrzymał posadę w Funduszu, cieszył się z tego bliskiego sąsiedztwa. Może nie cieszył się, ale było mu przyjemnie, że tuż obok ma uniwersyteckiego kolegę, z którym zna się od szeregu lat. Wprawdzie na uniwersytecie nie łączyły ich żadne serdeczniejsze stosunki, ale nic ich też nie dzieliło. Borowiczowi zdawało się nawet, że czuje dla Malinowskiego rodzaj obojętnej sympatii, chociaż na ogół nie lubiano go i uważano za zero.

Na plus Malinowskiego w każdym razie należało zapisać jego skromność i moralność. Należał jako student do harcerstwa, nie brał udziału w koleżeńskich pijatykach, ubierał się zaledwie przyzwoicie, ale zawsze czysto, utrzymywał się ze szczupłej pensyjki, przysyłanej przez matkę, która miała aptekę w jakimś małym miasteczku w Sandomierskim. Po śmierci matki przerwał studia i znikł z horyzontu. Borowicz spotkał go dopiero tu, w Funduszu Budowlanym. Jak na uniwersytecie, tak i tu Malinowski nie cieszył się powodzeniem u kobiet. Był ładny, tak, obiektywnie należało przyznać, że był bardzo ładny, ale z kobietami nie umiał się obchodzić, unikał ich i Borowicz nigdy nie słyszał o żadnym jego romansie. Za lat studenckich dawało to nawet temat do zjadliwych żartów, obecnie ma się rozumieć o podobnych kwestiach nie było między nimi mowy.

Borowicz nie zdawał sobie sprawy, dlaczego właściwie wiadomość o małżeństwie pani Bogny z Malinowskim wydała mu się nieprzyzwoitością. Tkwiło w tym coś niedorzecznego, że ona wybrała sobie właśnie Malinowskiego. Każdy inny mężczyzna, bodaj Jagoda, nie wywołałby tak silnego wewnętrznego protestu w Borowiczu.

— Nie chodzi mi o nią, lecz o jej wybór — sprecyzował sobie przyczynę swego wzburzenia i to go znacznie uspokoiło.

Poza tym do jesieni wiele może się zmienić. Miesiąc czasu to bardzo dużo. Zresztą może to nie jest jeszcze takie pewne?... W biurze byle co, byle pogłoskę przerabia się w aksjomat. Tak czy owak, dobrze się stało, że dowiedział się o wszystkim nie z ust Malinowskiego.

Na korytarzu rozległy się szybkie, ciężkie kroki, drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu stanął Jagoda. Jego małe, wąskie usta rozsunęły się w uśmiechu, czerwona twarz o nierównej cerze nabrzmiała i stała się błyszcząca:

— Jak się macie — wyciągnął małą, mocną rękę — dobrze zrobiliście, żeście przyjechali. Roboty huk. W Zakopanem ładnie?

— Dziękuję. Pogoda była śliczna — serdecznie ścisnął jego dłoń Borowicz.

— Po górach nie łaziliście? Co?... — zaśmiał się krótko. — Już ja was znam!

— Nie mylicie się.

Właściwie byli ze sobą na pan, ale czasami w przypływie większego rozrzewnienia Jagoda mówił doń per wy, tym koleżeńskim wojskowym tonem, który brzmiał trochę jak rozkaz i trochę jak poufałość. Były chwile, gdy ten sposób rozmowy sprawiał Borowiczowi niedającą się określić satysfakcję.

— Widziałem waszego brata — zaczął Jagoda, rozpakowując wypchaną skórzaną tekę — niezły chłopak. Tylko nerwus. Stara się o odroczenie służby wojskowej.

— Byliście w Krakowie?

— Byłem. Powinniście mu to wybić z głowy. Studia studiami, a takiej szkoły, jak daje wojsko, nie znajdzie nigdzie. Malinowski jeszcze nie przyszedł?

— Nie.

— Ostatnio lubi się spóźniać — bez nacisku powiedział Jagoda, zacerpnął powietrza, jakby chciał coś dodać, lecz tylko chrząknął i wziął słuchawkę telefonu.

Borowicz zabrał się do przeglądania zaległości. Były to plany i kosztorysy prywatnych domów niezczyszczonych, których właściciele zabiegali o długoterminowe pożyczki na ukończenie budowy. Ten dział należał do niego tylko o tyle, że badał każdą sprawę z punktu widzenia estetyki i użyteczności budowli, oraz jej trwałości. Stronę prawną i finansową opracowywał Malinowski, opinię zaś dawał Jagoda, po czym akty szły do prezesa, gdzie zapadała decyzja.

Przed dwoma laty, gdy Borowicz otrzymał tę posadę, interesowały go jeszcze sprawdzanie planów, styl, rozplanowanie i celowość budowli. Wdawał się w korespondencję z petentami, żądał zmian, przeróbek, ulepszeń, te zaś projekty, którymi się zachwycał, usiłował przeforsować. Obecnie odrabiał swe obowiązki mechanicznie. Sprawdzał, liczył, notował, po czym w prawym górnym rogu aktu przyczepiał spinaczem kartkę: — „Niezgodne z paragrafem 23-cim Ustawy z dnia takiego-to, niedotrzymane punkty 3-ci, 7-my i 14-sty przepisów rozporządzenia z dnia takiego-to, niezastosowane do regulaminu Funduszu Budowlanego, artykuł 9-ty, ustęp „c”.

Często Jagoda, który był fanatykiem ruchu budowlanego, zwracał mu podanie:

— Panie Borowicz, tak nie można. Niech pan wezwie klienta i objaśni mu braki. Tu widoczna jest nieświadomość przepisów. Nie możemy wpadać w biurokrację.

— Ale dom już jest wyciągnięty pod dach, na zmiany za późno — oponował Borowicz.

— Więc będziemy musieli zrobić jakieś ustępstwa.

— Wbrew ustawie?

— Ustawa jest dla ludzi, nie ludzie dla ustawy — ucinał Jagoda.

Czasami dodawał jeszcze:

— Przez tę austriacką formalistykę diabli wszystko wezmą.

A sam był jednocześnie jeżeli nie formalistą, to przynajmniej rygorystą. Wszystkie ustawy i przepisy znał na pamięć i pochodził z zaboru austriackiego. Może dlatego właśnie tak niecierpiał wszystkiego, co mu przypominało Austrię. Było to słabostką Jagody powszechnie znaną. Jeżeli zapędził się w jakiejś dyskusji, a zniecierpliwienie wysunięto mu przed oczy austriackość jego poglądu — cofał się natychmiast.

Borowicz już drugą opracowaną teczkę odkładał na biurko Malinowskiego, gdy ten nadszedł. Był w jasnym, zbyt jasnym jak na biuro ubraniu i w jaskrawym niebieskim krawacie. Przywitał się z Borowiczem w zwykły sposób z tą nieobowiązującą serdecznością:

— Przyjechałeś! Pysnie wyglądasz! Stęskniliśmy się tu za tobą. Przychodził do ciebie dwa razy baron Denhoff. Czarujący człowiek. Pan z panów... Tak. Piękną mamy pogodę. No i cóż słyhać u ciebie?...

Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Jagody:

— Servus Kaziu! Nie miej mi za złe, że się spóźniłem. Widzisz, tramwaje bardzo często tego...

Jagoda w milczeniu podał mu rękę i wrócił do pracy. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się:

— Nie uważa pan, panie Borowicz, że niektórzy to do śmierci nie oduczą się sztu-backich wykrętów.

— To ty do mnie, Kaziu? — zachnął się Malinowski.

— Do ciebie.

— No, wiesz!...

— Wiem.

Borowicz rzucił okiem na zastygłe w oburzeniu dłonie Malinowskiego. Na palcu prawej ręki błyszczał szafir w starej renesansowej oprawie: pierścionek pani Bogny. Było to niesprawiedliwie bolesne, nieprawdopodobne i krzywdzące. Krzywdzące, panią Bognę —

skorygował swą myśl. I niespodziewanie napłynęła gorzka refleksja: — dlaczego?... Skoro taki człowiek został przez nią wybrany, widocznie zasłużył w takiej mierze na nią, jak i ona na niego. Widocznie odnalazła w Malinowskim wartości, które uznała za godne własnych wartości, czy zatem błąd nie tkwił w przecenianiu tej kobiety?...

— Stefku, wzywam cię na świadka — zwrócił się do Borowicza Malinowski — widzisz, jak hierarchia przygniata!

— Jeżeli chcesz z tej beczki — niecierpliwie odpowiedział Jagoda — nie przypominaj mi, że jestem twoim zwierzchnikiem, lepiej nie przypominaj!

— Chyba mnie do kąta nie postawisz?

— Nie, ale żądam, byś się zjawiał punktualnie. Nie chcę więcej słuchać wykrętów. Rozumiesz?

— Ależ kochany Kaziu — miękko zaczął Malinowski — nie masz o co się gniewać. Żartowałem. Sam wiesz, że żartowałem. Jeżeli jednak dotknęło cię to — bardzo przepraszam.

Spojrzał na Borowicza i mrugnął okiem.

— Nie masz po co przepraszać — skrzywił się poirytowany Jagoda — przepraszają tylko dzieci. Jeżeli się jest mężczyzną, to albo się coś robi i ponosi się za to odpowiedzialność, albo nie robi się tego wcale. Tak przynajmniej ja myślę.

Wstał, głośno odsuwając fotel, poprawił jedną z suszek, która przesunęła się ku środkowi, zgarnął plikę papierów i wyszedł.

— Tak on myśli — porozumiewawczo uśmiechnął się Malinowski.

Borowicz nie odrywał oczu od planu i nic nie odpowiedział, wobec czego Malinowski chrząknął i po pauzie dodał:

— Co to jednak znaczy gminne pochodzenie. Brak wszelkiej kultury. Nawet na żartach się nie zna... Wciąż siedzi w nim oficer. Oficerowie lubią rozkazywać. Ale ja nie jestem rekrutem, który musi przed panem majorem wyciągać się na baczność.

— Powiedz to jemu — krótko uciął Borowicz.

— Co?

— Przecie słyszałeś.

— Że mam mu to w oczy powiedzieć?... Po co, po co mam sobie psuć stosunki. Ja tam nie mam zamiaru tresować ludzi bez kultury. Jego ojciec pracował jako giser w fabryce Schulca na Podgórzu. Czegoż wymagać?! Phi!...

Wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

— Dla syna gisera takie biuro i naczelnikostwo to szczyt aspiracji — ciągnął dalej — jak on to mówi: — „wyteżona praca na swoim odcinku”... Cha, cha, cha... Nie uważasz, że to brzmi dwuznacznie?... A propos, znasz już anegdotkę o Żydzie, który chciał uzyskać prolongatę?..

— Nie lubię anegdotek — odburknął Borowicz.

— Smutny jakiś jesteś? Co?... Powrót z łona natury do miejskiego gwaru. Tak, rozumiem.

Borowicz zmarszczył brwi:

— Przepraszam cię — starał się mówić spokojnie — mam tu trudne obliczenie.

Malinowski skinął głową i umilkł. Wziął się też do roboty, ale po chwili zaczął z cicha gwizdać pod nosem. Podnosząc od czasu do czasu wzrok, Borowicz przyglądał się jego pełnym, czerwonym ustom, zaokrąglonemu owalowi twarzy, wysokiemu, pięknie sklepionemu czole i z lekka rzednącym jedwabistym i falującym włosom. Bodaj po raz pierwszy przyjrzał mu się tak uważnie. W urodzie Malinowskiego, w urodzie bezwątpienia szlachetnej, kryło się jednak coś impertynenckiego, coś trywialnego. Gdzieś w tych prawie klasycznych rysach zdawało się czaić jakieś kłamstwo. Pod gładko wygoloną skórą, pod jasnym czołem, a nawet pod małymi, przystrzyżonymi wąsikami była jeszcze jakaś inna warstwa. Nie widział teraz jego oczu, ale starał się przypomnieć sobie ich wyraz. Były wspaniałe. Ciemno-orzechowe, o niezwykłym połysku, z czarnymi jak smoła rzęsami. Tylko ich wyrazu nie podobna było uchwycić.

Nagle uprzytomnił sobie rozmowę z panią Bogną. Było to jeszcze w zimie. Powiedziała wówczas:

— On ma oczy wprost niezrozumiale piękne.

— Ale bez wyrazu — zauważył obojętnie.

Wtedy zaśmiała się i rzuciła od niechcienia:

— To zależy na kogo patrzy.

— Na panią oczywiście słodko i z zachwytem.

Nic nie odpowiedziała, ale gdyby Borowicz wówczas zwrócił na to zamilknięcie uważę... Kiedyż to było? W styczniu, bodaj w styczniu. Przed powrotem prezesa. Odnosił wówczas do jego gabinetu wnioski do podpisu. Pani Bogna już wtedy była zajęta Malinowskim.

I jakie to pospolite: sekretarka prezesa i referent Malinowski... Tak... mają zawiadomić, że ich ślub odbędzie się dnia tego i tego... Brrr... Jaki wyraz mogą mieć oczy tego cymbała, gdy na nią patrzy: oczywiście głupi wyraz, najordynarniejszy wyraz. Chciałby ją mieć i tyle. A dla kobiety, tak, dla kobiety, będzie to najmądrzejszym wyrazem. Wszystkie są tym samym. Nie ma indywidualności wśród kobiet. Różnice zachodzą tylko między zewnętrżnością psychiki, grunt pozostaje identyczny: służyć gatunkowi, rozplądzać się, dobierać najprzydatniejsze do tego celu egzemplarze samców. Pani Bogna jest rozumna, inteligentna, subtelna. Tego jej odmówić nie można. A jednak wszystko to milknie, ulatnia się, przestaje działać, gdy odezwie się zwykły instynkt, najprymitywniejsza wszechwładna siła plazmy, zamknięta w...

— Jak myślisz, Stefku, obraził się?

Borowicz spojrział na Malinowskiego półprzyciemnie:

— Kto?

— No Jagoda! Jest jakiś oschły. Nie chciałbym go sobie narazić. On jednak może dużo zaszkodzić.

— Dajże spokój — oburzył się Borowicz — jak można Jagodę posądzać o coś podobnego. Jestem przekonany, że sam w to nie wierzysz. W przeciwnym razie byłoby to bardzo brzydkie z twojej strony.

— Zapewne, zapewne — szybko zgodził się Malinowski — mówiłem tylko tak sobie, bo zresztą teraz mogę zbytnio nie przejmować się Jagodą. Sam stary jest ze mnie bardzo zadowolony i mogę ci ręczyć, że będzie wciąż bardziej zadowolony.

Roześmiał się i odkładając pióro zapytał:

— Pewno już słyszałeś?...

— O czym? — obojętnie mruknął Borowicz.

— Hm... Nie mówię o tym nikomu, ale tobie jako przyjacielowi mogę. Żenię się z Bogną.

Borowicz chciałby zerwać się i krzyknąć mu w nos, że wyprasza sobie nazywanie go przyjacielem i że pani Bogna nie może większego idiotyzmu zrobić.

— Winszuję ci — wycedził.

— Patrz — wyciągnął rękę Malinowski — oto rękojmia szczęścia.

Tuż przed oczyma Borowicza błysnął duży szafir.

— Ładny kawalek, co? — zapytał Malinowski — trzysta lat w jednej rodzinie! Wart parę fajgli? Co?... I ładnie na rękę wygląda. No, nie na każdym. Wyobraź sobie taki pierścionek na palcu Jagody. Niczym kwiatek przy kożuchu. Te krótkie palce i białe paznokcie. Ale na twoim rękę będzie pierwsza klasa. Masz, nałóż.

— Nie, nie — z hamowanym obrzydzeniem odsunął pierścionek Borowicz.

— Dlaczego? Takie pierścionki to tylko do rasowych rąk. A ty masz bardzo rasową. Spróbuj.

— Dajże spokój!

— Ach, pewno jesteś przesądny? — zabrał pierścionek Malinowski — ale rękę masz rasową. Ja mam ładniejszą, ale ty bardziej rasową...

Przyglądał się swoim rękóm, bębniąc palcami po papierach. Wreszcie zapytał:

— Jak myślisz, chyba nie popełniam głupstwa, żeniąc się z Bogną?

— Nie rozumiem — zaczął Borowicz, zaciskając szczęki i urwał.

— No, bo widzisz, ona nie ma żadnego posagu. Grosze. A ja przecie nie mogę pozwolić, by moja żona pracowała. To oczywiście bajki, że prezes w niej się kocha. Ale w ogóle nie chcę, by moja żona była jakąś urzędniczką, bo...

— Mój drogi — przerwał Borowicz — wybacz, ale to są tak osobiste sprawy, że ja... Zresztą nie mam w tych rzeczach wprawy, nie znam się... I... żenuje mnie ten temat.

Malinowski chciał coś odpowiedzieć, ale właśnie zadzwonił telefon. Wzywano Borowicza do prezesa. Wstał i szybko wyszedł. Na korytarzu zatrzymał się, otarł pot z czoła i odetchnął.

Prezes urzędował na drugim piętrze. Trzeba było przejść długi korytarz, zejść szerokimi, marmurowymi schodami, minąć dwie wielkie sale, pełne hałasu maszyn, wspaniałą poczekalnię, gdzie siedziało kilka osób, i wejść do sekretariatu. Urzędnicy wchodzili do gabinetu prezesa Szuberta nie przez poczekalnię, lecz tędy. Borowicz skonstatował, że pani Bogny nie ma przy biurku, przywitał się z wyblakłą blondyneczką, stukającą na maszynie i zapukał do wielkich drzwi, chociaż nad nimi paliła się czerwona lampka, znak, że prezes jest zajęty.

Gabinet Szuberta, ogromna sala o dwóch oknach, sięgających od sufitu do podłogi, wywierał na Borowicza zawsze wstrząsające wrażenie. Wzywano go tu dość rzadko, nie mógł więc oswoić się z tym nagromadzeniem kontrastów. Między oknami, zakrytymi tanimi firankami rozpięty był na ścianie sztandar z białym orłem, poniżej wisiały dwa portrety dostojników państwa, oddzielone od siebie skrzyżowanymi rusznicami. Przy ciężkim, gdańskim biurku z czarnego dębu stał żółty amerykański fotel na śrubie i trzcinowy koszyk na śmiecie. Na ścianie, wprost rozwieszony był przepiękny gobelin, wyobrażający Afrodytę, wychodzącą z muszli i właśnie nagość bogini w partii najbardziej drastycznej, przesłaniało skrzyżowanie starej karabeli ze zwykłą szablą w żelaznej pochwie. Nad gobelinem w owalnej, secesyjnej ramie Kościuszko przysięgał narodowi na krakowskim rynku, pod gobelinem stał mahoniowy stolczyk i na nim wielki, japoński wazon z usty pękiem przezroczystych celofanowych kwiatów, pod stolikiem rozesłany był łowicki pasiak, na którym wygodnie rozpięły się dwa czerwone klubowe fotele. W prawym kącie gabinetu, bliżej do biurka, na perskim dywanie sterczał amerykański stolik z maszyną do pisania, obok wolterowski fotel, na którym siadywał prezes, ilekroć dyktował, a dalej też amerykańska szafa z rolowaną żaluzją. W lewym za to kącie było coś w rodzaju buduaru: garnitur nowoczesnych mebelków, szeroki tapczan, drewniana, stojąca lampa, nakryta batikiem i okrągły, orzechowy stół, na którego szklanym blacie rozłożone były pomnikowe wydawnictwa. Kąt ten wyglądałby prawie zalotnie, gdyby nie dwa popiersia, wyrastające ponad tapczanem na wysokich palisandrowych kolumnach: gipsowy Sokrates i brązowy Napoleon. Z sufitu, na grubym łańcuchu zwieszał się gotycki świecznik krzyżacki, kuty w czerwonej miedzi. Na ścianach, na barwnych kilimach, lub wprost na złocistej tapecie obficie rozwieszono plany, fotografie i szkicowe elewacje gmachów, kościołów, fabryk i domów, wybudowanych dzięki poparciu Funduszu Budowlanego.

Pod jednym z takich planów stał właśnie prezes, pani Bogna w czarnej sukience i naczelnik Jagoda. Mężczyźni sprzeczali się zawzięcie, zaś pani Bogna śmiała się i rozpaczliwie załamywała ręce. Zeszczupiała, i jej jasne, popielate włosy zdawało się, jeszcze bardziej zjaśniały przy opalonej twarzy.

— Przyszła pani Malinowska — pomyślał, lecz ogarnęło go jakieś bezsensowne rozczulenie. Gdy odwróciła głowę i uśmiechnęła się doń radośnie, od razu przestał wierzyć w te zaręczyny, w Malinowskiego, w kajak. Zapomniał o tym.

— Jest pan Borowicz — zawołała.

Zanim jednak zdążył z nią się przywitać, Szubert podskoczył jak na sprężynie.

— Borowicz? Chodź pan tu! Powiedz pan sam, czy to nie jest idiotyzm! Majorze nie przeszkadzaj! Chodź pan, panie Borowicz!

— Moje uszanowanie panu prezesowi — ukłonił się Borowicz, wyciągając dłoń w kierunku również wyciągniętej bokiem ręki prezesa. Ten jednak tego nie spostrzegł, natomiast chwycił go za ramię i popychając ku ścianie, puknął w ramę planu:

— Patrz pan! Jagoda chce im pozwolić wyciąć ten las i wybudować stację sportową...

— Stadion — poprawił Jagoda.

— Wszystko jedno. Ale to jest zapaskudzenie Wisły! Już i tak daliśmy tym lekkoatletom masę pieniędzy na schronisko, innym znowu na klub. A teraz oddać im to...

— Nie możemy im oddać — rzeczowo odezwał się Jagoda — bo to ich własność, panie prezesie. Ale las i tak wytną...

— Otóż nie wytną, jeżeli nie damy im na budowanie — gniewnie wytrzeszczył oczy prezes. Ja panu powiadam, majorze, że nie wytną!

Jego siwe, krótko przystryżone włosy na okrągłej czaszce zdawały się jeżyć, sinoczerwony nos rozpęczniał, a gruby, mięsisty tułów zachwiał się w przód i w tył na rozkraczonych, krótkich nogach. Wyglądał, jak urzędnik i wściekły ekonom, który za chwilę rzuci się na przeciwnika z pięściami. I Borowicz tak się tym porównaniem zasugestionował, że dopiero po chwili przypomniał sobie, że ten pijany gbur jest gołębiego serca człowiekiem, który nigdy w życiu kropli alkoholu nie miał w ustach, który w swej niekształtnej głowie, ostrzyżonej maszynką, nosi kolosalną wiedzę, a tymi grubymi rękami napisał najpiękniejsze dzieło o botanice, które czyta się jak poezję. Borowicz nie lubił Szuberta. Nie lubił, gdyż nie mógł się w nim rozeznąć. Był także mieszaniną przeciwieństw, jak jego gabinet. Był hałaśliwy, zaczepny, apodyktyczny, nieporządnie ubrany, każdym dźwiękiem, każdym ruchem raził. A przy tym znany był z jakiegoś wprost dziecinnej dobroci, umiał godzinami chodzić po swoim ogródku na kolonii Lubeckiego i w uśmiechniętym zamyśleniu przyglądać się kwiatom. Jeżeli kogoś obraził, co mu się często zdarzało, czym prędzej starał się przeprosić obrażonego, albo w ogóle kogoś, kto mu się obrażonym wydał.

O tym wszystkim Borowicz mniej wiedział z własnego doświadczenia, najwięcej zaś od pani Bogny, która i teraz odciągnęła go na bok:

— Wypoczął pan, panie Stefanie? — zapytała.

— Dziękuję. Ale czy prezes...

— Ach nie, już zapomniał, że pana tu wezwał. Zresztą sam wie z góry, że zgodzi się z Jagodą, a co najzabawniejsze, że i Jagoda też nie ma w tym względzie najmniejszych wątpliwości.

Borowicz spojrział ku nim. Oddalili się obaj już dość znacznie, a oddalali się coraz bardziej, gdyż Szubert z furią następował, a Jagoda cofał się w porządku na z góry upatrzoną pozycję. Pozycją tą było biurko prezesa, gdzie leżał gotowy do podpisu akt subwencji na budowę stadionu.

— Jednego nie rozumiem — odezwał się Borowicz — czemu Jagoda tak poważnie argumentuje, skoro skutek będzie ten sam?

— Major? Ależ on musi wszystko traktować poważnie! Czułby się nieszczęśliwy, gdyby ktoś mógł go posądzić o lekceważący stosunek do zwierzchnika. Woli wierzyć, że naprawdę z trudem zdobył u prezesa tę subwencję i że go przekonał. Czyż pan nie wie, że przynajmniej raz na miesiąc Jagoda podaje się do dymisji. To zawsze jest ostatni argument. Staje na baczność i powiada: wobec zasadniczej różnicy poglądów, panie prezesie, proszę o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska. — I mówi to z grobową, ale szczerze grobową miną, chociaż z góry wie, że Szubert swojej opozycji wcale nie uważa za mur nie do obalenia...

Borowicz słyszał, co mówiła, lecz nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie mógł oderwać oczu od jej ust, poruszających się w słowach i uśmiechach, od oczu, których spojrzenie promieniowało ciepłem i jasnością.

— Nie, nie — konstatował w myśli — ja jej nie kocham. Tylko jest mi droga, jest mi potrzebna, jak powietrze. W jej pobliżu inaczej czuję, myślę, rozumię. I nie tylko w pobliżu.

Wręcz sama świadomość istnienia pani Bogny stwarzała jakąś magnetyczną aurę, sięgającą aż tam do Zakopanego. Każde odebrane wrażenie, każde odkrycie, obserwacja, wniosek myślowy, nabierały przez to znaczenia, że będzie mógł o tym mówić z nią. Nieraz łapał siebie na uśmiechu, z jakim rozmyślał o jakiejś spostrzeżonej przez siebie właściwości ludzkiej, drobnej, zdawało się, nieistotnej, i wiedział, że nikt inny poza panią Bogną nie potrafi ocenić tej perełki, nie potrafi cieszyć się nią i znaleźć w tym temacie do rozmowy. Często odnajdywała w tym, co już uważał za proste i ostateczne, — nowe, złożone znaczenia, często w rzeczach dziwnych umiała wykryć ich życiowe jakże naturalne jądro. Zawsze, odkąd sam nauczył się patrzeć na świat i nauczył się myśleć, w rozmowach z panią Bogną znajdował tę niezwykłą rozkosz, jaką daje poznawanie rzeczy. A właśnie dzięki pani Bognie otwierał się dlań nowy, nieznan dotychczas, dostęp do rzeczywistości. Wśród rozgąszeń zawitych dróg, jej drogi zdumiewały krótkością, bezpośredniością. Była to jej subtelna, jak sejsmograf czuła inteligencja i zdumiewająca intuicja. Sama w tym tylko doszukiwała się swoich plusów, kategorycznie protestując, ilekroć mówiło się o jej rozmowie.

— Pewna gimnastyka umysłu — twierdziła — nie przeszkadza mi być bardzo niemądrą. To trzeba rozróżnić: funkcja i narząd.

Podnosiła palec wskazujący do góry, przechylała głowę i z uśmiechem wypowiadała:

— Wszelkie badanie zaczynać się winno od dysocjacji elementów.

Tak świetnie naśladowała swego ojca. W takich momentach Borowicz wprost widział profesora Brzostowskiego, stojącego przed katedrą, widział wypełnioną aulę i siebie, opartego w kącie o ścianę i rysującego na szkicowniku profile, nieskończoną ilość profilów kobiecych. Właściwie mówiąc, jeżeli studiując na tak ciężkim i wymagającym tyle pracy wydziale, jak architektura, zdobył się na ukończenie wydziału filozoficznego, zawdzięczał to ojcu Bogny. W ich domu nauczył się zagłębiać w zagadnienia filozoficzne i nawet pasjonował się nimi. Sam profesor, pani Brzostowska, istna encyklopedia podręczna i współpracowniczka swego męża, wreszcie ich goście z profesorem Jezierskim na czele, była to grupa wyizolowana od życia codziennego, od życia, które właśnie przewalało się wtedy wściekłymi falami przez świat pocięty ranami frontów. Ilekroć Borowicz zjawiał się w tym domu rozplamiony jakąś groźną, czy radosną wieścią, z nadzwyczajnym dodatkiem w kieszeni swego gimnazjalnego munduru, po kilku już minutach zapominał o wstrząsającym wydarzeniu i zatapiał się w tej atmosferze intelektu, gdzie sub specie aeternitatis największe zdarzenia dnia schodziły do roli przyczynków w argumentacji.

Cóż dziwnego, że Bogna, wychowana w takim środowisku miała tę gimnastykę umysłu, o której odzywała się z odrobiną lekceważenia. Raczej wypadało się dziwić, że nie zatraciła tam zdolności ludzkiej karmienia się chlebem dnia powszedniego, że chociaż zdecydowała się na małżeństwo z świętej pamięci profesorem Jezierskim, umiała nawiązać kontakt z rzeczywistym życiem, ba, że w tym życiu znalazła się od razu zorientowana, zasymilowana i potrzebna.

— Potrzebna innym, prezesowi, instytucji, krewnym, znajomym, a mnie potrzebna, jak powietrze — myślał patrząc na nią i słuchając dźwięku jej głosu.

Z końca gabinetu dolatywały wykrzyki prezesa Szuberta i od czasu do czasu krótkie, siekane, tonem wojskowego raportu wypowiedziane odpowiedzi Jagody.

— Oczywiście, przyjdzie pan dziś do mnie na herbatę, panie Stefanie? — zapytała Bogna.

— Z przyjemnością — skinął głową Borowicz, lecz w tej samej chwili uprzytomnił sobie, że spotka tam Malinowskiego i zaciął się — tak, z przyjemnością... Ale jeszcze nie wiem... Ja zatelefonuję.

— Co za głupstwa — oburzyła się — musi pan przyjść.

— ...o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska — doleciał ich uroczysty głos Jagody.

Pani Bogna roześmiała się:

— No, to już sprawa skończona. Niech pan patrzy!

Rzeczywiście prezes chwycił pióro i powtarzając w najwyższym oburzeniu: — „To czort wie co, to czort wie co” — podpisał dokument. Jagoda rzeczowo zbierał z biurka rozsunięte papiery i oglądał się na Borowicza.

— Chodźmy — powiedziała pani Bogna — niepotrzebnie prezes pana trzymał. Stracił pan sporo czasu.

Borowicz tylko spojrzął na nią z wyrzutem, a ponieważ Jagoda zabierał się do wyjścia, uklonił się prezesowi, pocałował rękę pani Bogny i skierował się do drzwi. Nagle zatrzymał go okrzyk Szuberta:

— Borowicz! Stój pan, czekaj pan, mam do pana interes! Pani Bogno, niech pani odda majorowi akty osiedla na Wierzbnie i uzgodnijcie sobie te rzeczy. Aha! I zatelefonujcie do inżyniera Nowickiego, a jeżeli on się nie zgodzi, niech pani pojedzie do Magistratu i nawymyśla im od ostatnich. Niech pani zrobi tam piekielną awanturę. To jedyny sposób. No, do widzenia.

Gdy zostali sami, prezes spojrzął na Borowicza spođe łba i założywszy ręce pod marynarkę na plecach, zaczął chodzić przed nim od ściany do ściany. Jego kroki były nierówne, a ciężki tułów, pochylając się rytmicznie w różne strony, sprawiał to, Szubert zdawał się zataczać. To i czerwony, bulwowy nos robiło wrażenie zdecydowanego stanu opilstwa. Jednak Borowicz znał historię prezesowego nosa. Będąc jeszcze młodym asystentem botaniki w Kazaniu Szubert podobno podczas badania jakiejś rośliny, został ugryziony

w sam czubek nosa przez jakiegoś pająka czy skorpiona. Od śmierci wyratowały go silne zastrzyki antidotum, które wszakże zniekształciły i raz na zawsze nadały sinopurpurową barwę jego organowi powonienia. Najciekawsze było to, że groźny owad, przedtem nieznany nauce, został przez poszkodowanego zbadany i opisany, a nawet otrzymał jego imię, zdaje się, areneidus Szuberti. Borowicz czytał kiedyś tę pracę w domu Bogny jeszcze za życia jej męża, chociaż bowiem nie interesował się szczególnie ani botaniką, ani zoologią, czytywał wszystkie dzieła naukowe, szczególnie zaś zachwycał się typem wykładu, w jakim celował Szubert. Jasność, spokój, ostrożność w formułowaniu sądów, potoczysta narracja i literacka obrazowość, styl jędrny i pełen fantazji, słowem dzieła Szuberta były najbardziej krańcowym przeciwieństwem tej strony jego osobowości, która tak raziała jaskrawością w bezpośrednim zetknięciu się z nim w życiu.

— Panie Borowicz — zatrzymał się nagle prezes tuż przed nim — muszę pomówić z panem poufnie.

Ponieważ jednak nasilenie jego głosu przypominało raczej kazanie do wielotysięcznego tłumu, niż zamiar poufnej rozmowy, Borowicz dyskretnie obejrzał się na drzwi. Prezes wszakże wcale tego nie zauważył i zapytał:

— Znał pan nieboszczyka Jezierskiego?

— Owszem, panie prezesie.

— Więc powiadam panu, że to był osioł. Tak, drogi panie, osioł, a mam prawo tak twierdzić, gdyż był moim najserdeczniejszym przyjacielem. Drugiego podobnego durnia nie doczeka się świat w ciągu najbliższych stuleci. Dlatego też szkoda, że umarł. Jeżeli zaś teraz nas słyszy, niech cymbał wie, co o nim sądzę, gdyż spóźniłem się na pogrzeb i nie miałem możliwości powiedzieć mu tego w oczy.

Borowicz uśmiechnął się.

— Jednak na pogrzebie to byłoby może za późno.

— Co? Dlaczego?... Aha, ale nie o to mi chodzi. Rzecz jest w tym, że Jezierski był psychologiem, czyli człowiekiem nie mającym niejako z urzędu żadnego pojęcia o psychice ludzkiej. Ciekawa rzecz. Znałem tylko jednego prawdziwego psychologa, a był to weterynarz. W Użgorodzie. Nie, nie, w Brańsku. Nazywał się Kabaczkin.

Zbliżył się do biurka, odsunął szufladę, wydobyl z niej papierową torebkę i łyżeczkę.

— Nazywał się Kabaczkin — powtórzył automatycznie, po czym zanurzył łyżeczkę w torebce i połknął kopiastą porcję cukru.

— Cukier — objaśnił — zwykły cukier. Organizm, jeżeli ma pracować wydawnie, potrzebuje częstych uzupełnień węgla. Stosuję to dwadzieścia do trzydziestu razy na dzień od lat przeszło dwudziestu.

— Cukier krzepi — uśmiechnął się Borowicz, przypominając sobie wszędobyłski slogan reklamy cukrowniczej. O systemie prezesa wiedział już zresztą dawniej od pani Bogny i od innych pracowników Funduszu. Drugą, równie dziwną stroną systemu było sypanie Szuberta. Szubert nigdy nie kładł się do łóżka. Natomiast co dwie godziny wyciągał się na kanapie i natychmiast zasypiał, a budził się punktualnie po piętnastu minutach. Utrzymywał przy tym, że tylko takie krótkie wypoczynki, rozłożone na całą dobę, są celowe i higieniczne. Chociaż system swój propagował zawzięcie, a jego własne niepospolite zdrowie było dostatecznie przekonywującym argumentem, jakoś nie mógł znaleźć naśladowców.

I teraz zaczął Borowicza namawiać, lecz wkrótce myśl jego powróciła do przerwane go tematu. Irytował się na ś. p. Jezierskiego, twierdząc, że jego małżeństwo z Bogną było przestępstwem przeoczonym przez kodeks karny:

— Jak można żenić się z młodą, z młodziutką panienką, mając lat pięćdziesiąt dwa! Związał dziewczynie życie, a co najzabawniejsze, uważał, że daje jej szczęście! Sam mi opowiadał, że nie raz całe noce przegadywali ze sobą, lub czytali Homera! Słyszałeś pan coś podobnego?

— Jednak kochali się bardzo — zauważył Borowicz.

— Do stu diabłów, są inne środki okazywania miłości, niż Homer. Ale on zawsze był niedołągą. Opowiedziałbym panu, jak ta fujara zbłąźniła się kiedyś, ale de mortuis nihil nisi bene. Otóż dość o tym durniu. Zostawił w końcu Bognę samą, bo przecież starego Brzostowskiego nie można liczyć, zostawił samą, a to nie jego zasługa, że ona umie dać sobie radę w życiu. Jednak ja, jako przyjaciel zmarłego poczuwam się do obowiązku opieki

nad nią zwłaszcza w tych kwestiach, gdzie już raz wykazała brak zdrowego rozsądku. Mówię o jej pierwszym małżeństwie. Teraz zwierzyła mi się, że — ale to, panie Borowicz, między nami — że chce wyjść za tego Malinowskiego.

Borowicz wzruszył ramionami:

— Słyszałem o tym.

— No i cóż pan na to?

— Cóż ja? — zrobił obojętną minę Borowicz.

— Jakto?... Przecie pan znasz tego Malinowskiego, wiesz pan co to za człowiek, kolegowaliście przecież?

— Na różnych wydziałach. Zresztą nie utrzymywaliśmy bliższych stosunków.

— Jednakże i teraz więcej pan masz z nim do czynienia niż ja. Bogna chyba i jej los obchodzą pana, co?

— Mnie? — poczerwieniał Borowicz — oczywiście, panie prezesie, ale cóż ja mogę o panu Malinowskim powiedzieć?... Jest dobrym urzędnikiem, uczynnym kolegą... Wychowany jest przyzwoicie...

— Ależ człowiek! Jaki człowiek?! — zgniewał się Szubert.

Borowicz rozłożył ręce:

— Nie mam o tym wyrobionego zdania.

Kłamał i kłamał świadomie. Wprawdzie nie umiałby podnieść przeciw Malinowskiemu żadnych konkretnych zarzutów, ale nie znosił go, uważał za typ bezwartościowy, za charakter niskiego gatunku. Nie wydobyłby jednak tego z siebie za żadną cenę. Zresztą po co?... Nie trzeba się ludzić, że Szubert może mieć jakikolwiek wpływ na postanowienie pani Bogny. Ona zbyt dobrze wie, czego chce, a przynajmniej wierzy w swoją słuszność. I ten poczciwy prezes, który raczej sam znajduje się pod opieką Bogny, wyobraża sobie, że jego rady mogą liczyć na jej posłuch. Byłoby to nieprawdopodobne. Zaśmiałyby się i nie zużyłyby więcej wysiłku, by go przekonać.

Prezes stał przy oknie z rękami wciśniętymi w kieszenie i milczał.

— Zatem — odezwał się tonem konkluzji — uważasz pan, że ten Malinowski jest porządnym człowiekiem i że pani Jezierska dobrze robi.

— Wcale tego nie utrzymywałem — hamując wybuch odpowiedział Borowicz.

— Więc cóż, do stu piorunów! — gwałtownie odwrócił się Szubert — jesteś pan z mięsa i kości, a we łbie masz mózg, czy zrobiono pana z galarety!? Zajmujesz pan odpowiedzialne stanowisko, a nie masz własnego zdania!

Borowicz zbladł:

— To nie należy do moich obowiązków służbowych — wycodził — pan prezes...

— Pan prezes, pan prezes, obowiązki służbowe — przedrzeźniająco wykrzywił się Szubert — daj mi pan spokój i idź pan już stąd. To zadziwiające, ile mięczaków mamy w tej ukochanej ojczyźnie!... Czekaj pan!

— Wybacz pan prezes, ale nie mogę znosić podobnego tonu i takich wyrażań.

— No, więc przepraszam pana. Co się pan na mnie gapi, jak sroka w gnat? Przepraszam. Czy mam rzucić się przed panem na kolana?... Robię wszystko, co mogę, to znaczy, przepraszam. Jacy z was ludzie! Zimne to, bez krwi w żyłach. No, nie gniewa się pan?

Wyciągnął rękę, a gdy Borowicz podał swoją, Szubert przyciągnął go i cmoknął w policzek, aż echo poszło.

Borowicz wracał do swego pokoju roztrzęsiony nerwowo do ostateczności. Jagoda pogrążony był w pracy, przy biurku Malinowskiego siedziała interesantka, gruba, czarno ubrana pani o obwisłych policzkach i faldzistej szyi. Płaczliwym głosem opowiadała Malinowskiemu o jakimś Perlikowskim, który ją zarwał. Nazwisko to powtarzała co kilka zdań z akcentem na pierwszej sylabie. Borowicz rozłożył akty pierwszej z brzegu sprawy i usiłował skupić myśli. Nie czuł żalu do Szuberta, a jednak tak trudno było zapanować nad oburzeniem. Bądź co bądź, znajdując się w normalnych warunkach materialnych, to znaczy w takich, w jakich przez szereg pokoleń żyli Borowiczowie, oczywiście mógłby, a nawet chciałby pracować, lecz nie w żadnym urzędzie, nie w żadnym biurze, gdzie trzeba znosić nieprzyjemne otoczenie, podlegać ludziom, których maniery i sposób traktowania innych jest przeciwny formom normalnym, to znaczy takim, jakie panowały w rodzinie

Borowiczów od szeregu pokoleń. Dwóch rzeczy nie trawił: chamstwa i głupoty. I właśnie dlatego nie lubił Malinowskiego, to jest nie dlatego, lecz w ogóle. Byłoby przesadą przypisywać mu te wady. Nawet dużą przesadą. W najgorszym wypadku był to brak taktu i pospolitość. Brak „taktu i obejścia” — jak mówiła ciotka Antonina. — Tak, ona miała formy i sposób bycia bardzo zbliżone do Bogny. Tylko nie rozporządzała takim zasobem wdzięku. Jeszcze będąc małym chłopcem, ilekroć ciotka Antonina przyjeżdżała do nich na Podole, był uszczęśliwiony. Jej jednej nie brzydził się, gdy sadzała go sobie na kolana i całowała w same usta. Inne pocałunki wywoływały w nim wstręt. A te tak dobrze pamiętał do dziś dnia. Ciotka Antonina miała w sobie coś królewskiego. Była piękna i dumna. Nigdy nie uśmiechała się i pewno dlatego nie miała powodzenia. Podobno, jak to później się dowiedział, odrzuciła wiele najlepszych partyj. Gdy się na nią z daleka patrzyło, ani przez myśl nie mogła przejść możliwość poufalego wdrapania się na jej kolana i pocałowania w gorące, duże usta. Tylko, gdy byli we dwójkę i nikt nie widział, pozwalała mu na to. Przez długie lata, już po śmierci ciotki Antoniny, wspomnienia te powracały nieodparcie. Były całe okresy za czasów gimnazjalnych, gdy pisywał o niej wiersze i wierzył, że to była jego jedyna miłość.

— ...i jakże mogłam przypuszczać, że zarwie mnie taki człowiek, jak Perlikowski — zajęczała gruba dama.

— Proszę pani, mnie nic nie obchodzi, proszę zrozumieć, że mnie nic nie obchodzi żaden pan Perlikowski — z niewzruszonym spokojem tłumaczył Malinowski — komisja stwierdziła, że nie przeprowadziła pani robót kanalizacyjnych i wodociagowych. A ja nie mogę pani dać pożyczki, póki...

Borowicz zacisnął zęby. Nie cierpiał tej manieri Malinowskiego. Zawsze z interesantami mówił w pierwszej osobie: udzielię pożyczki, ja żądam, nie mogę, zobaczę... Tak, jakby on był już nie tylko prezesem Funduszu Budowlanego, lecz wręcz właścicielem.

— Pan będzie łaskaw uwzględnić, pan będzie łaskaw, bo to nie moja wina — zaczęła dama znowu obszernie i od początku opowiadać o cegielni, która podniosła ceny, o szwagrze, który zapomniał wziąć plany parcelacyjne z magistratu i o Perlikowskim, który zarwał.

Malinowski z niewzruszoną godnością odpowiadał, przybierając miny surowego, choć łaskawego władcy, wreszcie wstawał, dając znak, że audyencja skończona, po czym woźny wpuszczał następnego interesanta. Tak było co dzień i dawniej Borowicz wprost nie zwracał na to uwagi. Dziś jednak drażniło go wszystko.

Przed samą trzecią zadzwonił telefon. Borowicz sięgnął po słuchawkę, lecz Malinowski go wyprzedził:

— To na pewno do mnie — i zatykając dłonią tubę dodał — zawsze wychodząc dzwoni do mnie.

— Bydlę — szepnęła do siebie Borowicz.

Telefonowała pani Bogna. Można było domyśleć się tego z tonu Malinowskiego, który nagle stał się czuły i pieszczotliwy. Wreszcie położył słuchawkę i zaczął składać papiery. Z wybiciem trzeciej szybko pożegnał się i wyszedł, gwizdząc pod nosem. Borowicz spojrział w stronę Jagody, lecz gdy oczy ich się spotkały, wrócił do pracy. Skończył „koncept” listu i też wziął się do chowania aktów. Od dawna nie znajdował się w takiej depresji. Postanowił nie iść na obiad do państwa Chodyńskich, gdzie się stołował, lecz kupić trochę owoców i wrócić do domu. Najlepiej rozebrać się i położyć się do łóżka. Ilekroć czuł się zniechęcony do życia i zgnębiony, ratował się samotnością, a właściwie oddawał się zgnębieniu. Obecność ludzi i przymus mówienia o rzeczach obojętnych dręczyły go w takich chwilach ponad wytrzymałość jego nerwów.

— Panie Borowicz — odezwał się Jagoda — nie wstąpiłby pan ze mną do baru na „jednego”?... Muszę jeszcze wrócić do biura i dlatego nie opłaci mi się jechać na obiad do domu. No?...

Borowicz ucieszył się niespodziewanie dla samego siebie. Jagoda był jedynym bodaj człowiekiem, którego towarzystwo nie tylko nie odstraszało go, lecz pociągało. Jego twardość, szorstkość, brylowatość dawały poczucie czegoś konkretnego, bezpiecznego, czegoś, na czym można było oprzeć się całym ciężarem.

— Z przyjemnością — powiedział.

— Musimy przecie oblać pański przyjazd z urlopu — żartobliwym tonem rzucił Jagoda, z tą pociągającą nieszczerością człowieka, szukającego zawsze najpospolitszych pretekstów dla upozorowania swej życzliwości jakimiś najbardziej banalnymi pobudkami. Jagoda, zdawało się, chorobliwie bał się posądzenia go o dyskrecję, o delikatność uczuć, o serdeczność. Nawet swej twarzy w takich momentach umiał nadać wyraz gburowatej obojętności.

W milczeniu zjechali windą, przeszli przez szeroką, rozpaloną w słońcu ulicę i Jagoda pchnął drzwi baru. Ilekroć byli gdzieś razem, zawsze wchodził pierwszy. Widocznie uważał, że wymaga tego jego wyższe stanowisko.

— Czystą? — zapytał Borowicza, stając przed bufetem i sztywno kiwając głową w odpowiedzi na rozlewne „moje uszanowania” służby. — Dwie czyste.

Podniósł kieliszek i, zamarkowawszy ruch jak do trącenia się z Borowiczem, wypił duszkiem. Ostry, rozplywający się gorąco smak wódki, napełnił Borowiczowi usta, gardło i krtań. Rzadko pił i niechętnie. Teraz jednak brutalne działanie palącego płynu było bodaj tak konieczne, jak towarzystwo Jagody. Wypili drugi kieliszek, przegryźli jakimiś marynowanymi grzybkami i zajęli stolik w kącie.

Borowicz wyjął papierośnicę i poczęstował majora, po czym położył ją przy sobie tak, by wielki herb, zdobiący pokrywkę nie był widoczny. Zawsze tak robił, by nie razić Jagody, który za każdym razem uważnie przyglądał się papierośnicy. Borowicz wstydził się tego herbu przed Jagodą, jak wstydziłby się uzurpowania sobie jakichś ściśle, wyłącznie tytułarnych zaszczytów, nie mających żadnego waloru obiegowego, czy śmiesznych, kotylionowych odznaczeń. Wobec nikogo tak, jak wobec Jagody, nie odczuwał bezwartościowości faktu swego wielkopańskiego pochodzenia. Świadomość ta wywołała w nim jednak gorycz i zniechęcenie. W gruncie rzeczy chciał, a nawet musiał uważać siebie za egzemplarz wyższego gatunku, za spadkobiercę potęgi i świetności wielu senatorskich pokoleń, stać go wszakże było na odczucie śmieszności kontrastu między przeszłością a terażniejszością, między buławami hetmańskimi, a siódmym stopniem uposażenia służbowego urzędniczka w Funduszu Budowlanym.

— Z tradycją szlachecką — mówił kiedyś pani Bognie — jest jak ze staromodną karetą. Przechowywanie jej dużo kosztuje, a użyteczność jej jest żadna. Cóż począć, kiedy tak trudno wyrzec się dla niej sentymentu.

Jagoda zabrał się do jedzenia, opowiadając swoim zwięzłym stylem o szerokich projektach, związanych z owym stadionem sportowym, na który dzisiaj uzyskał kredyt. Poza pracą w biurze, Jagoda żywo zajmował się organizacją sportu i w związkach sportowych zajmował kilka kierowniczych stanowisk. Człowiek ten, zdaje się w ogóle nie posiadał swego prywatnego życia, a przynajmniej nie miał na nie czasu. W biurze wiedziano, że jest żonaty, a nawet opowiadano, że małżeństwo to ma jakiś dramatyczny podkład, wiedziano, że rodzinę ma w Krakowie i że nie lubi o tym mówić. Tym, którzy go najmniej znali, wydawał się zimnym rygorystą, nie żywiącym żadnych ludzkich uczuć. Borowicz jednak był odmiennego zdania i wysoko cenił Jagodę. Imponowało mu już to, że ubogi syn rzemieślnika fabrycznego o własnych siłach uzyskał maturę, skończył szkołę Sztabu Generalnego i siedł w swej karierze wciąż naprzód nie z racji jakichkolwiek protekcji, czy zbiegów okoliczności, lecz dzięki wytężonej, zawziętej i pożytecznej pracy. Jeżeli nawet mieli słuszność ci, którzy utrzymywali, że Jagoda jest tępy, tym większa była jego zasługa. Istotnie myślał wolno, zastanawiał się często nad sprawami jasnymi od początku, ale dzięki temu miał wiarę we własne konkluzje i konkluzje te nigdy nie były lekkomyślne, czy pobieżne.

Kiedyś sam powiedział Borowiczowi:

— Muszę wiele czasu tracić na myślenie, żeby memu wnukowi, czy prawnukowi przychodziło to łatwiej.

Wierzył w dziedziczność i nieraz napomykał w rozmowie o przydatności przodków.

— Tylko nerwy robią się coraz słabsze — mówił.

— I wola — dodawał Borowicz.

Myślał wtedy nie tylko o woli, jako o narzędziu władania nad sobą, widział we własnej psychice brak woli zdobywania, woli egzystencji, woli przetrwania. Pojmował tu wolę, jako zamkniętą siłę, która poza świadomością, poza kalkulacją mózgu i poza pra-

gnieniami działa nieustannie, pchając jednostkę naprzód. Właśnie Jagoda był wielkim akumulatorem tej witalnej siły psychicznej. Miał sztywny sposób wyrażania się i surowe kanciaste maniery, ale czyż nieestetyczne trzymanie widelca i noża zmienić może w czymkolwiek istotę rzeczy, polegającą na tym, że w jego małych, grubych rękach ten nóż jest przygodnym narzędziem, że celem tego narzędzia nie jest nic innego poza ułatwianiem zaspokojenia głodu człowieka, który je po to, by jego ręka mogła mocno ten nóż trzymać...

Jagoda skończył i sam sięgnął po papierosnicę, a zapaliwszy, odezwał się:

— Piękna rzecz. Musi być stara.

— Owszem. Dawniej była tabakierką — niechętnie odpowiedział Borowicz. Sam w tej chwili czuł się, jak muzealny nabytek, jak ciekawostka z dawnych lat, której przyglądają się obojętne oczy.

— Tak — mruknął Jagoda — piękna rzecz.

— Niezbyt wygodna, ale przyzwyczałem się do niej.

Jagoda obracał papierosnicę w palcach i patrząc w okno, zapytał:

— Jezierska to wasza kuzynka?

— Pani Bogna? — speszył się Borowicz.

— Tak.

— Broń Boże. Znamy się tylko dobrze... od dawna.

— Słyszeliście, że wychodzi za Malinowskiego? — obojętnie rzucił Jagoda.

— Owszem.

— I cóż wy na to?... Ma chłopak szczęście. Prawda?

— Tak sądzę...

Borowicz zawahał się i nie mógł się pohamować:

— Większe szczęście, niż... ona.

— Eee — wypuścił kłęb dymu Jagoda — kto to może wiedzieć...

Borowicz podniósł nań zdumione oczy. Był przekonany, że Jagoda bardzo nisko ceni Malinowskiego.

— Kto to może wiedzieć — powtórzył Jagoda — w gruncie rzeczy to niezły chłopak. Wykształcony, obrotny, sprytny. No i dobry urzędnik...

Borowicz chciał roześmiać się, lecz tylko się skrzywił. Nie spodziewał się od Jagody tak przychylnego sądu o Malinowskim, zwłaszcza jako o urzędniku.

— Nie mam nic przeciw niemu — wzruszył ramionami.

Jagoda przemilczał dobrą minutę i patrząc gdzieś w kąt zaczął mówić jakby o czymś całkiem nowym.

— Ideałów nie ma. Temu brak tego, tamtemu owego. Jeden na przykład ma i charakter i uczciwość i ambicję, a nawet wykształcenie i stanowisko... Powinienby odgrywać jakąś rolę nie tylko w swojej pracy, nie tylko w zajęciach zawodowych, ale, rozumiecie, i w życiu... W tym szerokim życiu, gdzie żyje się dla siebie, nie dla stanowiska, dla ogółu. Weźcie na przykład mnie. Nie dlatego mówię żeby stawiać was w trudnym położeniu, ale szczerze, z ręką na sercu: przecie nie uważacie mnie za matoła? Co?

— Dajcież spokój! — oburzył się Borowicz.

— Zasługi też jakie takie mam, uczyłem się, uczę się ciągle, pracuję jak koń. I co z tego dla mnie? Jaką wartość życiową mam dla siebie samego?... Żadną. Potrzebny jestem państwu jako niezły żołnierz i niezły urzędnik, potrzebny społeczeństwu jako czynny jego członek, może potrzebny rodzinie, jako wół roboczy, ale, widzicie... sobie nie jestem potrzebny.

Głos jego stał się chropowaty, urywany, jakby szczekający. Borowicz chętnie wyciągnąłby doń rękę, lecz w stosunku do Jagody byłoby to nie na miejscu.

— Źle siebie oceniacie — powiedział — przecie pasjonujecie się swoją pracą i dajecie wam satysfakcję.

— Pewno. Satysfakcję daje, ale nie daje poczucia prawdziwego życia. U mnie jest tak: idę do jakiegoś celu, cel osiągam i znowu idę do nowego. Na radość miejsca tu nie ma i samej radości nie ma, bo tak sądzę, że radość istnieje tylko wtedy, gdy można się nią dzielić. Ja, widzicie, nie umiem mówić, ale wy i tak mnie rozumiecie, bo macie cienką skórę. Otóż to jest nie pełne życie. Mnie osobiście, mnie nic ze światem nie łączy. Ja

wszędzie jestem sam. Ponad rodzinę wyrosłem, wżyć się w towarzystwo ludzi odpowiadających mi pozycją społeczną nie umiem, a czasami nie chcę. Nie dlatego, że są bardziej ode mnie ogładzeni, kulturalni, czy wychowani. Niedlatego też, że bywają głupszy i gorsi. Po prostu to inna parafia. Obcy. Nie pasuję do nich. Nieraz zastanawiałem się nad kwestią, czym do nich nie pasuję i do czego nie doszedłem. Chyba wszystkim.

— Żadna wyraźniej zarysowana indywidualność nie asymiluje się zbyt łatwo — łągdując wtrącił Borowicz, zaskoczony niespodziewaną i niezwykłą wielomównością Jagody.

Major nigdy nie mówił o sobie i Borowiczowi zdawało się, że musiało zajść coś ważnego i nad wyraz przykrego, co rozwiązało mu język. Borowicz nie cierpiał wysłuchiwania zwierzeń. Był teraz niezadowolony z siebie, że tu przyszedł, tym bardziej, że Jagoda kazał podać jeszcze dwie wódki i trzeba było wypić, by nie sprawić mu przykrości.

Jagoda pociągnął głośno łyk kawy i zaśmiał się.

— Nie o to się rozchodzi. Wy dobrze wiecie, Borowicz, że nie chodzi o indywidualność. Nie jestem znowu taki unikat, a indywidualności powstają z dwóch przyczyn: albo dany człowiek wyrasta ponad otoczenie, albo nie może w nie wrosnąć. Zresztą nie myślcie, bym wam głowę sobą zwracał z potrzeby wywnętrzenia się, z chęci zyskania w waszych oczach. Przecie i tak szanujecie mnie i uznajecie. Nie potrzebujecie zapewniać.

— To jasne — potwierdził Borowicz i zrobiło mu się niezmiernie przykro. Nie cierpiał definiowania swego stosunku wewnętrznego do innych, gdyż w takiej definicji przeczuwał rodzaj zadatku na poufalość, na zbliżenie się, a tego bał się.

Właściwie mówiąc nigdy nie miał przyjaciół właśnie dlatego. Nieraz czuł dla kogoś dużą dozę sympatii, czasem nawet przywiązania i podziwu. Ilekroć jednak wzajemne stosunki schodziły z terenu kwestyj ogólnych, naukowych, koleżeńskich, towarzyskich na grunt bardziej osobisty — natychmiast cofał się. Nie chciał poznawać, gdyż nie lubił, by jego poznawano. Miał w sobie jakieś zabawne poczucie sprawiedliwości, które kazało mu się rewanżować otwartością za otwartość, wyznaniem za wyznania. Unikał zatem kontaktu, a dotyczyło to nie tylko mężczyzn, lecz i kobiet. Będąc na trzecim roku architektury omal nie ożenił się z jedną z koleżanek, dlatego tylko, że umiała nie mówić z nim o sobie i o nim. Wszystkie romanse, jakie miał, a nie było ich wiele, kończyły się zawsze jego ucieczką przed narastającą intymnością, przed postępującym poznawaniem się. Jakże mało ludzi posiadało zdolność zachowania swego wewnętrznego życia dla siebie i tej samowystarczalności duchowej, która pozwala na niewdzieranie się w cudzą psychikę, a przynajmniej nieobwieszczania swoich poznań i odkryć słowami.

Dotychczas przy Jagodzie czuł się bezpieczny. Teraz wysilał swą pomysłowość, by znaleźć jakiś dobry wykręt i czym prędzej stąd wyjść. Jagoda jednak mówił dalej.

— Wiecie, że i ja was szanuję. Cenię już chociażby z urzędu, jako zwierzchnik, waszą inteligencję, kulturę, wiedzę, uczciwość... Nie, nie, nie przerywajcie, nie dla komplementów to wyciągam. Wprost przeciwnie. Chcę właśnie powiedzieć, że się bardzo mylicie w swoim sądzie o Malinowskim. Irytujecie się, gdy on załatwia interesantów, gdy napuszonym tonem z nimi rozmawia. Ale on jest w porządku. Reprezentuje instytucję i jako urzędnik państwa ma prawo i obowiązek zaznaczyć godność swoich funkcji, a także godność stanu urzędniczego. Czegóż pan chce od niego?

— Ależ niczego. Nie przypuszczam jednak, by puszył się na rachunek prestiżu państwa, czy stanu urzędniczego — ironicznie zauważył Borowicz.

— To już nie nasza sprawa. Chodzi o to, że tak wygląda, jak trzeba, a jeżeli Malinowski robi wielkiego znajdując w tym osobistą rozkosz, to tylko jego szczęście. Dzięki temu urzędowanie staje się częścią jego prywatnego życia. Wypełnia mu część życia. Bądźmy szczerzy: panu, panie Borowicz, urzędowanie odbiera część życia, pan pracuje tylko dla pensji. Pracuje pan sumiennie, nie zaprzeczam, ale tylko dla zarobku. Ja pracuję, bo mi ta praca zastępuje życie, a Malinowski jest z nas trzech najbardziej człowiekiem. On żyje. Nie myśl pan, że go szpieguję. Po prostu trudno nie widzieć i nie słyszeć. Ubiera się z zamiłowaniem, ubiera się szykownie, a to kajakuje, a to flirtuje, tu pójdzie na bal, tu na dancing, tu do znajomych. On żyje. W biurze żyje, na Wiśle żyje... che... che... che... z kobietami żyje. Ani ja, ani pan takiej sztuki nie dokażemy.

— Majorze — zaoponował Borowicz — ale jaki jest poziom jego życia, jego zainteresowań!

— To inna kwestia, to całkiem inna kwestia — zachnął się Jagoda.
— Kwestia istotna.
— Nie. Całkiem obojętna. Ma radość życia — oto wszystko.
— Nie zazdroścę mu — z pogardliwą obojętnością podniósł brwi Borowicz.
— Bo pan przecież myśli o gatunku życia. I ja mu też nie zazdroścę jego zainteresowań, ale zazdroścę, że mu wypełniają egzystencję. Ważne jest to, żeby być w prądzie, żeby być częścią prądu.
— Ale dokąd ten prąd niesie?
— Niechby i na zbity pysk — wzruszył ramionami Jagoda i odwróciwszy się krzyknął: — kelner! Dwie wódki!
— Czy nie za dużo? — lekko zaoponował Borowicz, któremu już nieco kręciło się w głowie.
— Drobiazg — machnął ręką Jagoda — otóż ja też widzę wady i śmieszności Malinowskiego. Pewno, że to nie orzeł. Ale takim właśnie lepiej na świecie, lepiej wśród ludzi. On się wśród nich czuje swojsko, oni go uważają za swojego. Znają się lepiej, lepiej się porozumiewają. Na brylantach trzeba się znać, żeby je od szkła odróżnić i ocenić, trzeba mieć przy czym je nosić, a pieniądz obiegowy zawsze ma swoje znaczenie dla każdego.
— Jeżeli jest prawdziwy.
— Albo jeżeli jest tak podrobiony, że może uchodzić za prawdziwy. I mówię wam, Borowicz, że nie doceniacie tego chłopca. Ja tam nie dziwię się, że może mieć taki powodzenie u ludzi, a zwłaszcza u kobiet. Między nami mówiąc taką urodą nie byle facet może się pochwalić. Kobiety na to lecą. Poza tym sprytny, może bardzo wysoko zajść... Tak... No, wasze zdrowie!
— Ale już ostatni — zastrzegł się Borowicz.
— Zgoda. Kelner! Rachunek!... Pozwólcie, że ja zapłacę.
— Dlaczego nie na połowę?
— Bo ja prosiłem. Następnym razem wasza kolej. No, to ja wracam do biura. Miło się pogadało. Chodźmy.
— Bardzo miło — skłamał Borowicz.
Zaraz za drzwiami rozstali się. Było już po piątej, lecz upał się nie zmniejszył. Wypity alkohol przyspieszył i nasilił tętna w skroniach. Na ulicy sprzedawano wieczorne pisma. Borowicz kupił dziennik. Iść do domu nie było sensu, na obiad tym bardziej. Najlepiej pojechać do Łazienek, wyszukać możliwie odludną ławkę i posiedzieć w cieniu.
Już chciał wsiąść do tramwaju, gdy uderzyła go myśl: pani Bogna jest na pewno na Wiśle. Może zobaczy ją z daleka. Usiądzie na brzegu i przeczyta gazetę.
Autobusem dojeżdżało się na Wybrzeże Kościuszkowskie, dużą, pustą przestrzeń między mostami Poniatowskiego i Kierbedzia, z rzadka porośniętą cherlawymi drzewkami i trawą bardziej wydeptaną, niż wypaloną przez słońce. Nie odstraszało to jednak ubogiej ludności Powiśla, która wyległa tu, gęstymi kupkami biwakując wprost na gołej ziemi. Oczywiście byłoby dość miejsca, by przejść między nimi i dotrzeć nad wodę, lecz Borowicz zawrócił. Przechodzenie pod zaciekawionymi spojrzeniami byłoby zbyt przykre, naraziłoby go na jakiś wprawdzie nieuchwytny, a przecież rzeczywisty kontakt z tą biedotą, o której istnieniu wolałby nie wiedzieć, której nie chciałby swego istnienia demonstrować. Zdawał sobie dobrze sprawę z bezsensowności takiego wyczulenia naskórka na przemijające i nieważne zetknięcia się z ludźmi, a jednak odchodził teraz, przyspieszając kroku, by czym prędzej zniknąć z oczu tych, którzy widzieli jego zamiar i ucieczkę. W biurze obcowanie z personelem i z interesantami nie przyczyniało mu tego podrażnienia. Tam nie był człowiekiem prywatnym, nie był sobą, nie żył własnym życiem, jak trafnie zaznaczył Jagoda. Ale już w domu posuwał się nieraz do komicznych wybiegów, by uniknąć spotkań z panią Prekoszową, od której odnajmował pokój, by kontakt nawet ze służącą ograniczyć do najniezbędniejszego minimum.
Po szerokich kamiennych schodach wyszedł na wiadukt. Na moście znalazł wolną ławeczkę. Środkiem pędziły gęsto auta, chodnikami przepychał się rozgadany, roześmiany, spocony tłum. Nie zwracano tu na niego uwagi.
— Dziwna rzecz — myślał — jaka siła, jaki instynkt pcha ludzi do zbijania się w takie wielkie masy? Dlaczego nie urządzają sobie życia inaczej, dlaczego stłoczyli się wielkimi

miastami, miasteczkami i wsiami?... Konieczność ekonomiczna — mówił kiedyś profesor Brzostowski. Ale konieczność ekonomiczna jest skutkiem potrzeby psychicznej gatunku, nie zaś odwrotnie. Gdyby człowiek nie miał instynktu społecznego, wytworzyłyby się inne konieczności ekonomiczne.

— Patrzcie, co się dzieje na plażach — doleciał Borowicza czyjś głos — ludzi, jak robactwa.

Mimo woli spojrzął w dół. Szerokie polcie szarozółtego piasku pokryte były mrowiem ludzkim. Mętna woda przy brzegach również roiała się od kąpiących się, na całej powierzchni gęsto rozsypane, kręciły się kolorowe wiórki kajaków, łódek i żaglówek. Środkiem sunął gruby, spęczniały publicznością statek wycieczkowy, buchający hałaśliwą muzyką.

Ludzie, ludzie, ludzie. Pchający się do powietrza, wody, słońca, zapełniający natychmiast każdą lukę wolnej przestrzeni, popychający się, narzekający na ścisk, a jednak prący do najgęstszych zbiorowisk. Robactwo... Stąd, z wysoka, nie podobna już wyróżnić ich rysów, kształtów, nawet wzrostu. Są jednakowi, jednakowo się poruszają, krzyczą, jednakowo czują i myślą. Trzeba zaledwie o kilkadziesiąt metrów wznieść się ponad nich, by stracić możność i potrzebę rozróżniania poszczególnych egzemplarzy. Który z nich jest głupi, który mądry, który piękny, szczęśliwy, czy zły, czy dobry, jakie ma zalety, jakie przywary, troski, radości, cele, przeszłość i przyszłość?... Czyż to nie jest najzupełniej obojętne?... Wystarczy kilkadziesiąt metrów dystansu, by przestały grać jakąkolwiek rolę indywidualne cechy każdego z nich... Są stadem identycznych istot, jednym okazem, powtórzonym sto tysięcy razy. Oto pewnik, dający się niezbitnie stwierdzić przy pomocy dwóch zmysłów: wzroku i słuchu, dający się skontrolować obiektywną myślą.

A jednak przyszedł tu, by w tym rojowisku identycznych istot odnaleźć jedną, której żadna inna zastąpić nie może. Cóż za paradoks! I w czym tkwi złudzenie?... Czy w oczywistości, że różnice są bez znaczenia, czy w drugiej, również niewątpliwiej oczywistości wagi i wartości tych różnic?... Jedna z nich jest fałszem, lecz która? Czy ta, co powstała drogą powolnej rosnącej sugestii, czy ta, co olśniła mózg teraz swą dotykającą prawdą?...

— Niepotrzebnie piłem — pomyślał — nie podobna jasno rozumować, mając we krwi ten obrzydliwy alkohol.

Wracał ku śródmieściu pieszo, idąc krok za krokiem. Nie śpieszył nigdzie. Jagoda miała rację: nie każdy jest stworzony do przerabiania swoich godzin i dni, swoich zajęć i odpoczynków na prawdziwe życie. Inna sprawa, czy prawdziwe życie, takie wyżywanie się, jak na przykład u Malinowskiego, musi być godne zazdrości. Czy wykładnikiem wyższej klasy egzystencji ma być konieczność i łkanie pełnymi haustami. W takim razie za ideał należałoby uważać człowieka-wieloryba, płynącego z wiecznie otwartą paszczą i wchłaniającego wszystko, co spotyka, a wybór w asymilowaniu pozostawiającego organizmowi.

W każdym razie opinia Jagody o Malinowskim była czymś niespodziewanym. Major jakby chciał dać Borowiczowi do zrozumienia, że powinien skorygować swój lekceważący pogląd na Malinowskiego, jakby chciał powiedzieć:

— Przyjrzyj się sobie i przekonaj się, że twoja wartość nie przewyższa wartości tamtego, a może nawet jej nie sięga.

— Zabawne — wzruszył ramionami Borowicz — po prostu wyjaśnił mi, że jakkolwiek przydatność kurantowa Malinowskiego nie jest zbyt wielka, moja równa się bodaj zeru.

W istocie Borowicz nie czuł się tym dotknięty. W głębi duszy dopatrywał się nawet pewnego tytułu do zadowolenia z siebie z racji swojej nieprzydatności społecznej. Jedno tylko zrodziło się w nim nowe zagadnienie: czy tak, jak Jagoda jest niepotrzebny sobie samemu?... Nie chciał o tym myśleć, lecz pytanie powracało z mechaniczną upórliwością. Nie spostrzegł nawet, że wchodzi do bramy ohydnej czynszowej kamienicy przy Marszałkowskiej, nie zauważył schodów, którymi przecie chodził kilka razy dziennie i dopiero na trzecim piętrze przystanął zmęczony tuż przed drzwiami swego, a właściwie pani Prekoszowej mieszkania.

Nie miał właściwie zamiaru iść do domu, ale ponieważ automatycznie tu doszedł, wyjął klucz, otworzył drzwi i jak najciszej je zatrzasnął.

Spośród czterech sublokatorów pani Prekoszowej, on jeden dostał zaszczytu posiadania klucza. Inni musieli dzwonić i czekać aż otworzy służąca, lub sama pani domu. Gdy przed dwoma laty wynajmował tu pokój musiał się zgodzić na ten rygor.

— To jest nieodzowny warunek, proszę szanownego pana — mówiła pani Prekoszowa, ściągając fałdy pluszowego szlafroka na swym bujnym biuście — czasami sublokator klucz zgubi, albo wraca w stanie zawianym. Słowo honorowe — nie mogę.

— Ależ w ogłoszeniu było podane, że wejście jest niekrępujące — upominał się Borowicz.

— A czy ja kogo krępuję? Uchowaj Boże. Każdy może przychodzić i wychodzić o której chce, może wprowadzać kogo chce i kiedy chce.

— Ja tam nikogo nie zamierzam wprowadzać — zastrzegł się Borowicz, lecz pani Prekoszowa zrobiła obojętną minę i nic nie pomogło.

Dopiero po kilku miesiącach wy dostał klucz, zagroziwszy, że się wyprowadzi. Konieczność stykania się z kimś, kto mu drzwi otwierał, była dlań nie do zniesienia. Po prostu unikał domu. Zresztą zasłużył już u pani Prekoszowej na opinię „bardzo spokojnego i solidnego sublokatora”.

Jak przekonał się nie chodziło jej zresztą o moralność i cnotę mieszkańców. Do każdego niemal przychodziły kobiety i to różnego autoramentu. Zdarzały się nawet awantury. Panna Dzwonkowska, odnajmująca pokój obok Borowicza, miewała również gości. Pani Prekoszowej chodziło o kontrolę sublokatorów z dwóch względów. Po pierwsze z obawy przed złodziejami i po drugie z wewnętrznej nienasyconej potrzeby posiadania jak największej ilości informacji o całym otoczeniu. W ten sposób wiedziała dokładnie wszystko, co można było skonstatować w każdej z nią rozmowie. Kto nie zapłacił krawca, kto „gustuje” w blondynkach, kogo wzywają do jakiegoś urzędu, kto był na balu, czy w restauracji — wszystko to, nie wyłączając przybliżonego określenia spożytych przez sublokatora potraw i wypitych alkoholów — stanowiło bogaty materiał do długich rozmów z zafaną Marcysią, lub z kimkolwiek, kto niebacznie dał się wciągnąć w rozmowę.

Borowicz mało miejsca zajmował w encyklopedii pani Prekoszowej. Płacił punktualnie, kobiet nie sprowadzał, wcześniej wracał do domu i zawsze trzeźwy.

Dzięki temu nie wzbudzał specjalnej ciekawości. Pewnego razu słyszał, będąc w łazience, na ten temat dobitne orzeczenie Marcysi:

— Ten pan Borowicz, proszę pani, to jakiś zakazany. Wciąż myśli i myśli, aż straszno.

— Mówiłam Marcysi, że on taki jest. Pewno kocha się bez wzajemności — zapewniała pani Prekoszowa.

— Ale tam.

— Dlaczegoż nie?

— Gdyby tak było, jak pani mówi to chodziłby smutny, a on nie, tylko taki poważny, aż nieprzyjemnie.

— Może chory — z zastanowieniem podsuwała pani Prekoszowa.

Służąca jednak i na to się nie zgodziła:

— Już ja tam wiem. Jak kto chory to stęka, a nie myśli. I co z tego myślenia przyjąć może! mówię pani, że nic dobrego. Mój ojczym nieboszczyk to też tak myślał.

— I co?

— Wiadomo: kościół w Piasecznie okradł.

Borowicz później to powtarzał Bognie i oboje śmieli się przez cały wieczór. Był to jeden z najcudowniejszych wieczorów przed samym jego wyjazdem do Zakopanego. Pani Bogna zdawała się znajdować w apogeum swej nieporównanej kobiecości. Miała na sobie ciemnoniebieską suknię z jakiegoś materiału, podobnego do aksamitu. Został u niej dłużej niż wszyscy i później siedzieli na tarasie. W tej sukni wyglądała ślicznie, a jej oczy stawały się prawie tegoż koloru, co szafir na palcu.

— Zaręczynowy pierścionek — uprzytomnił sobie Borowicz. I po raz pierwszy od dzisiejszego rana zrozumiał, że pani Bogna jest już inna, że nigdy nie wrócą wieczorne rozmowy, podczas których panował wszechwładnie ciepły, pogodny klimat jej obecności.

Położył się do łóżka. Obok na nocnej szafce z obrzydliwym marmurowym blatem leżały listy, które nadeszły podczas nieobecności, a które z rana zostawił sobie na wieczorną lekturę. Nie było tam nic ważnego. Dwie kartki od brata z Krakowa, kilka listów

od rodziny i gruba szara koperta, wypchana dokumentami: wuj Walery przysłał mu znowu jakąś swoją sprawę do załatwienia w stołecznych urzędach. Przy każdej takiej nowej przesyłce Borowicz obiecywał nie zajmować się nią wcale i wprost bez słowa odpowiedzi odesłać wujowi, jednakże w końcu załatwiał wszystko, wiedząc z góry, że nawet zdawkowego podziękowania nie otrzyma. Z całej rodziny, której w ogóle Borowicz nie lubił i do której miał niesprecyzowany, lecz tym niemniej wyraźny żal, wuj Walery Pohorecki był najmniej pociągający. Wiele jego dziwactw można mu było wybaczyć, lecz gruboskórnej chciwości i chamskich manier nie podobna byłoby znosić.

Zaraz po zdemobilizowaniu się Borowicz, znalazłszy się bez środków do życia, bez widoków na otrzymanie jakiegokolwiek odpowiedniego stanowiska, zwrócił się do wuja ze zwykłą przecie handlową propozycją. Nie chciał żadnej łaski. Po prostu sądził, że w tak wielkich dobrach, jak Pohorce, znajdzie się posada, jeżeli nie głównego administratora, to kierownika którejś z fabryk, gorzelni, czy któregoś klucza. Sama logika mówiła, że wuj Walery, uważający wszystkich za złodziei, a nie mogący przecie podolać osobistej kontroli swego majątku, powinien mieć zaufanie do kogoś tak bliskiego, jak własny siostrzeniec i najbliższy sukcesor.

Niestety, stary dziwak miał własną logikę i w taki sposób przyjął propozycję Borowicza, że ten odjechał z Pohorców bez pożegnania.

Jedyną osobą, której wuj Walery nie umiał obrażać była pani Bogna, jedynym sąsiedztwem, w którym się pokazywał — dwór w Iwanówce, gdy ona tam bawiła. W ogóle w jej obecności nie przestawał wprawdzie być gburowaty, lecz zmieniał się nie do poznania. Zaczynał mówić nieco kulturalniejszym słownikiem, umiał usiedzieć po kilkanaście minut na jednym miejscu i nawet się uśmiechać.

To działała jej aura. Wprost trudno było pojąć, jak silnie, jak wszechwładnie aura ta przenikała wszystkich, z kimkolwiek się zetknęła. W takim rojowisku plotek i zawiści, jak Fundusz Budowlany, nie było dosłownie nikogo, kto żywiłby dla niej bodaj niechęć.

— I dlaczego?... Oczywiście miała moc zalet, oczywiście rozporządzała niewiarygodnie doskonałym taktem, mogła oczarować swoją przejrystą inteligencją, ale to nie stanowiło wszystkiego. Biorąc rzecz całkiem bezstronnie trzeba było przyznać, że nie jest piękna, że nawet nie jest ładna. Ludzie nie oglądali się za nią na ulicy, lecz wystarczało najmniejsze, najkrótsze zbliżenie, by popaść w jakąś nagminną adorację dla niej. To coś, co tkwiło w niej i nie dawało się zdefiniować, było tajemnicą dla niej samej. A przejawiało się we wszystkim...

Borowicz leżał na łóżku z otwartymi oczami, obserwując bezmyślny deseń tapety, a przecież w każdym mgnieniu sekundy nie tracił z oczu jej całej, wszystkich jej ruchów, wyrazów i spojrzeń...

Zaczęło się na dobre ściemniać.

— Rozbiorę się — postanowił Borowicz.

Wstał, zawahał się przez chwilę i wyszedł do przedpokoju, gdzie na wprost jego drzwi wisiał telefon.

Sama podniosła słuchawkę. Była już w domu. Borowicz chciał powiedzieć, że przyjść nie może, lecz nie dała mu dojść do słowa.

— Po co pan dzwoni — udała zdziwienie — proszę natychmiast położyć słuchawkę i wziąć kapelusz. Czekam.

— Jestem trochę zmęczony — zaczął.

Przerwała mu:

— Tak? A gdzież to pan był? Nawet na obiad pan nie przyszedł!

— Dzwoniła pani do państwa Chodyńskich? — zdziwił się — myślałem, że była pani na Wiśle.

— Oczywiście byłam i telefonowałam z Klubu Wioślarskiego, by pana też wyciągnąć, ale uroczy Stefanek wpadł jak kamień w wodę. No dość. Proszę zaraz przyjść.

— Kiedy...

— Co kiedy?

— Pani... pewno ma gości.

— Jeżeli nawet tak, to chyba pana nie zjedzą — zaśmiała się.

— Jestem zmęczony.

W słuchawce zapanowała cisza.

— Naprawdę czuję się zmęczony — powtórzył.
— Panie Stefanie — powiedziała poważnie — ale ja, rozumie pan, ja chcę pana wiedzieć. I jeżeli pan zaraz przyjedzie, będę panu wdzięczna.
— Dobrze, za pięć minut będę.
— Czekam.

Borowicz przez pomyłkę wziął jakiś cudzy kapelusz i ze schodów musiał zawrócić. Wsiadł w pierwszą spotkaną taksówkę i kazał jechać na kolonię Staszica. Właściwie jechał niepotrzebnie. Sama pewność, że spotka u niej Malinowskiego, była przerażająca.

Ma się rozumieć, nie powie mu żadnej impertynencji. Wiedział z góry, że potrafi być dlań nawet uprzejmy, ale wieczór spędzony w towarzystwie tego człowieka...

Samochód stanął przed niedużą willą. Prawą stronę zajmowało mieszkanie jakiegoś sędziego, w lewej połowie mieszkała Bogna. Na drzwiach był jeszcze ślad podawnej tabliczce z nazwiskiem nieboszczyka Jezierskiego.

— No, jest pan! — przywitała Borowicza pani Bogna.

— Dobry wieczór — ucałował jej rękę.

— Chodźmy, dam panu smoczey kawy.

Smoczą kawą jeszcze za dawnych lat w domu profesorostwa Brzostowskich nazywano kawę po turecku, specjalnie przyrządzaną dla ojca Bogny. W jego gabinecie, zwanym (już nie pamiętał dlaczego) smoczą jamą, pił tę kawę, ilekroć dostąpił zaszczytu pogawędki we dwójkę ze starym uczniem.

W przedpokoju nie było żadnego męskiego kapelusza, w saloniku siedział tylko Pawełek, czarny jak smoła i demoniczny terier szkocki, który na powitanie Borowicza raczył z lekka pomachać ogonkiem, lecz nawet nie ruszył się z dywanu.

Nieobecność Malinowskiego tak uradowała Borowicza, że od razu stał się rozmowny i wesoły. Gdy pani Bogna wyszła, by przynieść obiecaną kawę, zaczął bawić się z psem:

— Wie pani — śmiał się — że to jest najmniej ruchliwe zwierzę czworonożne z tych, jakie zdarzyło mi się poznać osobiście.

— Pawełek?... O tak. Jest dostoyny.

— Lubi mnie przecie i po miesięcznym niewidzeniu nie zdobył się na tyle kurtuazji, by wstać na me powitanie. Może dla jego pamięci miesiąc czasu jest okresem zbyt długim. Po prostu zapomina.

Ponieważ pani Bogna nic nie powiedziała, dodał:

— Szkoda.

Podeszła doń i kładąc mu rękę na ramieniu zapytała:

— Co panu jest, panie Stefanie?

Zrobił zdziwioną minę:

— Mnie?

— Tak. Jest pan jakiś nienaturalny. Od rana. Nie widziałam pana przez miesiąc. Czy zdarzyło się coś przykrego?

— Ależ bynajmniej.

Potrząsnęła głową:

— A jednak...

— Droga pani Bogno — usiłował mówić niefrasobliwie — zapewniam panią, że doskonale spędziłem urlop, że nic przykrego nie zaszło, że słowem...

— Nie, nie — przerwała — jeżeli istotnie tak jest, jak pan mówi, tym gorzej.

— Dlaczego?

— Gorzej dla mnie, bo dla mnie się pan zmienił.

Zaśmiał się i zwolna zapalając papierosa powiedział lekko:

— Może jest odwrotnie... Może to pani się zmieniła i dlatego wydaje się pani...

— Panie Stefanie! — zgorszyła się — sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi!

— Dziękuję.

— Więc powiem — zdecydowała się — nie zamierzałam robić z tego przed panem tajemnicy. Tylko oczekiwałam sposobności... Bo widzi pan, jakkolwiek to dla mnie krok ważny, bardzo ważny, nie sądziłam, by pana mógł tak obchodzić, że aż będzie pan żywił do mnie jakiś żal za niepowiadomienie go o...

— Nigdy nie ośmieliłbym się rościć pretensyj — wycedził — i z jakiego tytułu?

Spojrzała nań uważnie:

- Nie przypuszczałam, by pan tak łatwo umiał zrezygnować z tytułu przyjaciela.
- Och, tego nie powiedziałem.
- Więc ironia?... Czy... czy zasłużyłam na nią u pana?

Gardło tak mu się ścisnęło, że nie mógł wydobyć słowa. Bał się, że głos mu się załamie. Nie chciał też spojrzeć jej w oczy. Należało wprost powiedzieć, że jest przybity, że niepotrzebnie tu przyszedł, że błaga ją, by oszczędziła mu tej męki i nie mówiła o tym, czego z jej ust nie może wysłuchać, by pozwoliła mu odejść. Ogarnęło go nieludzkie zmęczenie. Jakże jej powie, że nie potrafi pogodzić się z jej postanowieniem, że o powrocie do dawnego przyjaznego, cudownego stosunku nie może być mowy, a na konwencjonalny zdobyć się nie podobna. W tej chwili pragnąłby, by ktokolwiek przyszedł, bodaj nawet Malinowski.

Tymczasem pani Bogna ponownie położyła mu rękę na ramieniu lecz zaraz ją cofnęła i siedziała milcząca.

— Nie uważałam tego — zaczęła po chwili — za rzecz dostatecznie ważną, za zdarzenie takiego znaczenia, bym miała pana o tym zawiadamiać. Wychodzę za męża. Nieraz zresztą wspominałam w naszych rozmowach o tym, że zrobię to wcześniej czy później... Nie umiem żyć samotnie... Słyszał pan prawdopodobnie już w biurze...

— Owszem, słyszałem — zacisnął zęby i uśmiechnął się z przymusem — słyszałem i właściwie powinienem złożyć pani życzenia.

— Powinien pan — uśmiechnęła się do niego.

— Więc proszę uważać, że... że spełniłem ten obowiązek — wyrzucił z siebie.

Patrzyła nań szeroko otwartymi oczyma. Dostrzegł w nich zdziwienie, krzywdę i bolesny wyrzut. Zacisnął palce i powtórzył — ...że spełniłem ten obowiązek.

— Nie rozumiem pana — odezwała się pani Bogna z niespodziewanym dla Borowicza spokojem — nie rozumiem i zaczynam naprawdę obawiać się, że coś się w naszej przyjaźni psuje. Z pańskiego tonu wolno mi wnioskować, że wiadomość o naszym małżeństwie z Ewarystem oburzyła, czy zagniewała pana. I naprawdę chciałabym to wyjaśnić. Jeżeli pan, panie Stefanie, wydaje się potępiać nasze małżeństwo, nie wiem z jakiego stanowiska pan to robi, czy, jako mój przyjaciel, niechętnie usposobiony dla Ewarysta, czy odwrotnie, jako jego przyjaciel niezadowolony z dokonanego przezeń wyboru?

— Nigdy nie byłem przyjacielem Malinowskiego — zastrzegł się.

— Przepraszam pana, drogi panie Stefanie, ale to zaprzecza temu, co niejednokrotnie sam pan mówił...

— Mogłem używać słowa przyjaciel jako potocznego terminu — wzruszył ramionami.

— Przypuśćmy, że i wówczas pan tak myślał, ale Ewaryst nie tylko nazywa pana przyjacielem, lecz i uważa za przyjaciela. O ile zaś wiem, ma do tego podstawy.

— Żadnych podstaw — zaprzeczył stanowczo Borowicz.

— Panie Stefanie!

— Ależ upewniam panią, że żadnych. Wyświadczyłem mu kilka grzeczności, kolegowałam, oto wszystko.

Pani Bogna zrobiła niezdecydowany ruch ręką. Oczywiście nie wierzyła mu i on był wobec tego bezsilny.

— Zresztą użyła pani tak patetycznego określenia...

— O czym pan mówi?

— Powiedziała pani, że potępiam. Wcale nie potępiam. Nie mam wprawdzie upoważnienia do zabierania głosu w tej sprawie, ale słowo „potępienie” w każdym razie jest nieodpowiednie. Po prostu... wydaje mi się to swego rodzaju nieproporcjonalnością.

Poprawił się na krześle i dodał:

— Jest pewna niewspółmierność w zestawieniu pani z nim. I dlatego... dlatego myślę, że z tym faktem pogodzić się nie potrafię... Nie, wyraziłem się źle. Z tym faktem nie da się pogodzić moja przyjaźń dla pani, nasz dotychczasowy stosunek...

— Słowem, panie Stefanie, przecenia mnie pan, albo nie docenia Ewarysta.

— Być może — zmarszczył brwi.

— Zmieni pan zdanie.

— Wątpię.

— Niechże mi pan powie szczerze, no, panie Stefanie, całkiem szczerze: co pan ma przeciw niemu?

— Nic, zupełnie nic. Powtarzam, że absolutnie nic.

— Zatem?

— Pani Bogno, przerwijmy tę rozmowę — spojrzał na nią z prośbą w oczach.

Naprawdę nie był w stanie mówić spokojnie, lecz ona zaprotestowała:

— Dlaczego nie chce pan być szczery? Musi pan powiedzieć.

— Więc dobrze — wybuchnął — nie mam nic przeciw niemu, ale też absolutnie nic za nim! Byłoby to... raczej będzie to śmieszne i lekkomyślne... Wiem, że będzie, wiem, że moja opinia w najmniejszym stopniu nie może wpłynąć na zmianę pani postanowienia, że w ogóle nie zostanie wzięta pod uwagę. Więc po cóż dręczy mnie pani i zmusza do rzucania słów na wiatr!

— Nie, panie Stefanie — odpowiedziała spokojnie z widomą intencją złagodzenia jego tonu — gdy pan zastanowi się, nie będzie pan twierdził, że lekceważę jego opinię. Ale przecie każda opinia musi być na czymś oparta, czymś uzasadniona.

— Właśnie, a ja niczym jej nie uzasadnię. Nie mam żadnych podstaw do jej wypowiedzienia. Niechże mi pani pozwoli zostać przy moim zdaniu, gdyż...

Do pokoju weszła służąca, stara, gderliwa Jędrusiowa, niosąc tacę z kawą. Lubila Borowicza i powitała go z nieukrywany zadowoleniem. Musiał jej powiedzieć, że był w Zakopanem, że tam są góry bardzo wysokie i z kolei wysłuchać jej sceptycznego poglądu na rację istnienia gór.

Po wyjściu Jędrusiowej milczeli czas dłuższy. Wreszcie pani Bogna zaczęła mówić. Postanowiła ustalić swoje życie. Wbrew temu, co wielu może się zdawać, praca w Funduszu, czy w ogóle jakakolwiek praca biurowa męczy ją i nie zadawalnia. Nie widzi sensu i celu wleczenia dalej takiej egzystencji.

— Widzi pan — mówiła — jeżeli dom moich rodziców, który pan tak dobrze znał, nie był pod niektórymi względami ideałem domowego ogniska, jeżeli moje pierwsze małżeństwo wcale domu stworzyć nie mogło, tym silniej narastała we mnie potrzeba posiadania właśnie domu, w całym tego słowa znaczeniu, męża, dzieci, tego wszystkiego, co prezes Szubert nazywa stajenką betleemską, gdzie duch boży czuwa nad bydlątkami. Miałam więc predyspozycję, zdecydowaną predyspozycję w tym kierunku. Czy to nie jest naturalne?

— Najzupełniej.

— Zna mnie pan niemal od dziecka i wie dobrze w jakich warunkach ułożył się projekt mego wyjścia za mąż za świętej pamięci Józefa. Uwielbiałam jego umysł, szanowałam jego charakter, prawość, uczciwość, wysokie aspiracje duchowe, ale... ale... nie kochałam go. Byłam zbyt młoda, bym rozumiała potrzebę miłości. O, niech pan nie przypuszcza, bym myślała o jakiejś egzaltowanej ekstatycznej miłości. Chodziło o zwykłe ludzkie uczucie. Chyba jasne, że w tych warunkach z wiekiem, mam już przecież prawie trzydziestkę, musiał rosnąć i ten głód.

Zamilkła, a on zapytał:

— I zakochała się pani w Malinowskim?

Umieszczenie tego nazwiska w pytaniu zwróconym do niej, wydało mu się jeszcze teraz, kiedy już wiedział o wszystkim, jakimś niedorzecznym paradoksem. Ona jednak odpowiedziała spokojnie:

— Tak.

W tym krótkim „tak” było tyle powagi, tyle przeświadczenia, tyle pewności i wiary w słuszność swego postanowienia, że Borowicz aż się przeraził. Znał panią Bognę i wiedział o jej niezłomności w decyzjach. Tutaj jednak, gdzieś w podświadomości, żywił odrobinę, nieuchwytny cień nadziei, że tak ważne postanowienie nie jest jeszcze dostatecznie ugruntowane, że znajdują się w nim szczeliny, którymi można będzie dać dostęp wątpliwościom, rozwadze, bodaj tylko refleksji. Jednakże ton wypowiedzianego przez nią „tak” — zamykał wszystko.

Po cóż mówiła mu zatem o pragnieniu stworzenia domu, o niechęci do pracy biurowej, o predyspozycji psychicznej? Jakie znaczenie mogą mieć tamte rzeczy wobec uczucia, które dla każdej kobiety (dla każdej — powtórzył w myśli z największą pasją) będzie zawsze prawem i usprawiedliwieniem. Najpierw zakochała się, a później dorobiła sobie logiczne uzasadnienie. Stare jak świat...

Usiłował tym zmniejszyć, rozrzedzić, znihilować gorycz, jaka go opanowywała.

— Przepraszam — powiedział — ale nie rozumiem dlaczego właściwie w Malinowskim.

Wzięła go za rękę:

— Panie Stefanie, mówi pan jak dziecko.

— Nie sądzę.

— Czyż na to można znaleźć odpowiedź?

— Na wszystko można. Jeżeli stwierdzam jakiś swój pogląd, czy stan psychiczny, zawsze jestem w stanie odkryć jego przyczynę.

— Byłoby tak, jak pan mówi — uśmiechnęła się doń — gdyby miłość nie jednoczyła w sobie tysiąca złożonych przyczyn.

— O, przepraszam. Wiem doskonale, że lubię panią dla takich a takich powodów, które mógłbym z dokładnością wyliczyć.

— Dlatego, że pan mnie lubi. Gdyby pan mnie kochał, zapewniam pana, nie umiałby pan nic powiedzieć. Znalazłby pan tylko jakieś nic nie tłumaczące określenie: ona jest cudowna!... ale to już sędziom w rodzaju pana nie wystarczyłoby.

Borowicz pochylił się nad filiżanką i powiedział cicho:

— Pani jest cudowna...

Zaśmiała się wesoło:

— Ach nie, to nie to!

Przez głowę przebiegła mu paląca myśl: podnieść oczy i z całym naciskiem powtórzyć: — Jesteś cudowna, oceniam cię jednak i rozumiem, rozumiem ciebie i siebie! Kocham cię do szaleństwa!

Lecz zaraz w następnej chwili uprzytomnił sobie, że byłoby to kłamstwo i kłamstwo bezcelowe, gdyż nie uwierzyłaby mu, gdyż nawet wierząc, nie zmieniłaby swego postanowienia, a gdyby zmieniła... stałoby się coś bezsensownego: dla ratowania jej przed innym, obarczyłby siebie czymś, czego bał się, czego nie chciał.

Pani Bogna mówiła dalej. Była taka pogodna i bezpieczna. Borowicz miał wrażenie, że patrzy na istotę ślepą, idącą wprost do przepaści.

A ona właśnie mówiła o tej przepaści, jak o czymś bezspornie najlepszym, jak o czymś powszechnie uznanym za szczyt marzeń.

— Wiem z góry — dźwięczał jej głos — że Ewaryst nie jest geniuszem, że jest porządnym, dobrym chłopcem, zwykłym człowiekiem, że może nawet jest trochę lekkomyślny i dziecinny, tą ujmującą dziecinną prostotą myśli i uczuć. Ale wiem także, że go kocham i co równie jest ważne, że... i on mnie kocha.

Borowicz gwałtownie przygryzł wargi. Jakże byłby szczęśliwy, gdyby mógł zdobyć się na powtórzenie jej swojej rannej rozmowy z Malinowskim. To jedno wystarczyłoby, by zachwiać panią Bogną w tej pewności. Człowiek, który kocha, nie pyta innych, czy dobrze robi, nie bierze pod uwagę, czy jego ukochana posiada majątek, czy nic... Nie afiszuje się jej miłością!...

A jednak może powiedzieć?... Rozbić w drzazgi wszystko! Za jednym zamachem!..

Pokusa była zbyt silna. Nie słyszał już wcale co mówiła pani Bogna. Jej głos roztopiał się mu w uszach w huczącym tętnie krwi.

— Więc popełnię podłość, więc nawet zdyskredytuję się w jej oczach, ale powiem!... Wszystko jedno!...

— Panie Stefanie! — ocucił go jej okrzyk — co panu?

— Mnie?... Nic...

— Pan tak zbladł?! Boże, pewno kawa za mocna. Ta Jędrusiowa nigdy nie umie... Panie Stefanie?...

Przesunął ręką po twarzy. Czoło było zupełnie mokre.

— Ależ nic mi nie jest... — wyjął chusteczkę i wytarł czoło.

— Może pan się położy. Czyżby znowu coś z sercem?

Zaśmiała się, lecz urwał kaszlem, gdyż śmiech brzmiał ochryple:

— Wszystko dobrze. Przepraszam panią.

— Drogi panie Stefanie! Tak się przestraszyłam.

Powiedziała to z taką serdecznością, że obezwładniło go to do reszty. Wypił szklankę wody, którą mu przyniosła.

— Już lepiej? — zapytała.

— Dziękuję.

W przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Już pójdę — zerwał się z miejsca — mam dużo listów do napisania.

Nie puściła go:

— Musi pan zostać. Nie pozwolę panu odejść w takim stanie. Jeszcze zrobi się panu gorzej. No, proszę zostać!

W jej głosie brzmiała tyle serdeczności, że zgodził się wbrew rozsądkowi. I tak było z nią zawsze. Odmówić jej prośbie mógł tylko ktoś nieprawdopodobnie gruboskórny, lub ktoś, kto nie zdążył ulec jej czarowi. Borowicz był przekonany, że spełniłby najbardziej niedorzeczne jej żądanie, a chociaż nie wyobrażał sobie, by coś takiego mogło nastąpić, wierzył, że w takim wypadku nie byłby wyjątkiem.

W przedpokoju Malinowski głośno i wesoło rozmawiał z Jędrusiową. Bogna siedziała nieruchomo, jednak Borowicz widział, że chciałaby wybiec tam, by prędzej powitać — ukochanego. Nawet nieznacznie poprawiła sobie włosy i spojrzała w lustro. Było to w najwyższym stopniu irytujące.

Malinowski wszedł uśmiechnięty z tą swobodą, która Borowiczowi wydawała się nienaturalną, a może było to wrażenie wynikające z niechęci, uprzedzenie tak nieuczynione, jak i skrzywienie się z powodu wizytowego ubrania Malinowskiego. Czarna marynarka opięta jak na manekinie i sztuczkowe, zbyt szerokie spodnie o zbyt jasnych i zbyt czarnych pasach. Przypomniało to Borowiczowi ulubione określenie Malinowskiego, którego ten używał jako superlatywu uznania dla czyjś stroju, czy sposobu bycia: — Nienaganne. Właśnie on sam był taki „nienaganny” ze swoim obręczowato wygiętym krawatem, z lekko przechyloną, wyszczotkowaną głową, z misternie przystrzyżonymi wąsikami i z nieznośnym zapachem fryzjerskiej wody toaletowej. Wyglądał, jak zresztą zawsze, wyświeżony, nie świeży, lecz właśnie wyświeżony, odmyty, odprasowany, wykrochmalony i pachnący. I co za nonsens przychodzić do własnej narzeczonej w wizytowym ubraniu!

I co za teatralność!... Malinowski zatrzymał się w pół kroku na jedno mgnienie po to, by rozjarzonym wzrokiem powitać panią Bognę, zerknął na Borowicza, a wtedy, gdy witał się z nią, z markowanym pozorem konwenansu, gdy jeszcze nie puścił jej ręki, zawołał koleżeńskim, prawie pobłażliwym tonem:

— Stefku! Jakże się cieszę, że cię tu spotykam! Witaj.

— Dobry wieczór — podał rękę Borowicz.

— W biurze nie zdążyliśmy się dziś nagadać. Jakże tam w Zakopanem?

Usiadł i dwoma wprawnymi ruchami podciągnął na kolanach spodnie. Oczywiście zbyt wysoko.

— Czy pozwolisz kawy? — zwróciła się doń pani Bogna.

— Z przyjemnością — uniósł się jak na sprężynach Malinowski i znowu zwrócił się do Borowicza: — a my tu cały czas na wodzie. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak to świetnie wpływa na zdrowie.

Znowu uniósł się elastycznie, odbierając z rąk pani Bogny filiżankę:

— Dziękuję ci serdecznie. Pyszne! To turecka?

— Tak, tak zwana smocza — uśmiechnęła się doń z czułością.

— Voila!? Smocza?... Ach prawda, przypominam sobie... — dystyngowanie podniósł filiżankę do ust i pociągnął małe lyczek.

Palce miał „nienagannie” wymanikowane, a usta czerwone i niemal lubieżne. Borowicz przyglądał się mu jak urzeczony.

— To nonsens — starał się opanować swój wzrok i myślał: — cóż on mnie może obchodzić! Nie powinienem pozwalać sobie na to. Dostanę jakiejś obsesji na punkcie tej nieciekawej figury.

No i przecie już znał go chyba dostatecznie. W tym domu też nieraz go widywał. Pani Bogna zapraszała ich dość często i przychodzili wówczas zwykle razem. Malinowski wstępował po Borowicza. Czasami spotykali się też tu z Jagodą, ale rzadziej. Jagoda z racji swego stanowiska i usposobienia należał do „konwentu seniorów”, dla którego bywały osobne herbatki u pani Bogny. Borowicz i Malinowski zaliczali się do grupy mniej szanownej, ale liczniejszej i weselszej. Nie bywało wówczas starych profesorów, ani mistrza Pawlińskiego, ani prezesa Szuberta, ani czcigodnych matron. Kuzynki Bogny, księżę

Urusow, dwie panny Pajęckie, nieznośna panna Żukowiecka, redaktor Karaś, kilka młodych mężatek i sporo młodzieży. Na tym szerszym i gwałtownym tle Malinowski mógł nie zwracać niczyjej szczególniejszej uwagi. Trzymał się zresztą nieco na uboczu.

— Ten pański kolega — powiedziała kiedyś nieznośna ze swoją zjadliwością starzejącej się panny panna Żukowiecka — robi wrażenie, jakby specjalnie po to tu przychodził, by uczyć się manier. Niech pan mu kupi podręcznik dobrego tonu. Koleżeńska przysługa. Biedak nigdy nie zdecyduje się wziąć banana, póki nie zobaczy, jak się to je.

— Czy tak przygląda się pani?... Obawiam się, że nauczy się rzeczy pięknych.

— Złośliwość chybiona — zaśmiała się — to właśnie moja ambicja robić wszystko po swojemu. Cóż pan chce, jakoś trzeba demonstrować swoją indywidualność.

— Jeżeli się nią jest w takim stopniu, jak pani, po cóż ten wysiłek? — odpowiedział dwuznacznie.

W gruncie rzeczy uważał ją za rozwydrzoną gęś, pozującą na pozerkę po to, by domyślano się głębokiej szczeroci jej natury. Przypominała mu anegdotekę o Żydzie, jadącym do Białegostoku i mówiącym, że jedzie do Grodna, po to, by przypuszczano, że jedzie do Grodna, gdyż chce w interlokutorze wywołać podejrzenie, iż celem jego podróży jest Białystok. Symulacja podwójna, charakterystyczny symptom hysterii.

Chociaż Borowicz wówczas nie przyznał racji pannie Żukowieckiej, chociaż znajdował, że przeciwnie, Malinowski zachowuje się przyzwoicie, a nawet starał się pokryć jego odosobnienie, tym niemniej było dlań jasne, że Malinowski czuje się w tym towarzystwie niepewnie, że pomimo swojej urody nie cieszy się wzięciem u kobiet i jest pomijany przez wszystkich, za wyjątkiem pani Bogny. Wówczas widział w tym jedynie dowód jej talentu towarzyskiego i delikatności. Nawet ubawiła go podejrzliwa uwaga panny Żukowieckiej:

— Patrzcie, ile nieocenionego wdzięku ma Bogna, gdy rozmawia z tym kędzierzawym Efebem. Nie znajdujecie, że na tle tego parawanu tworzą wyjątkowo harmonijną grupę?

Borowicz wówczas po prostu śmiał się: było coś o tyle bezsensownego w kontraście pani Bogny i Malinowskiego, że podejrzenie takie mogło się zrodzić chyba w kimś tak spolaryzowanym erotycznie, jak panna Żukowiecka.

A jednak ona miała rację. Od owej rozmowy upłynęły zaledwie dwa z czymś miesiące i oto Malinowski w całej swojej wspaniałości siedział w tymże salonie z za wysoko podciągniętymi spodniami, gadał bez przerwy o najpospolitszych rzeczach w najpospolitszy sposób i z udawaną dyskrecją rzucił płomienne spojrzenia na panią Bognę.

Borowicz milczał, odpowiadając tylko monosylabami na skierowane wprost do siebie pytania. Mógł nie wysilać się, gdyż na uwagę Malinowskiego, że sprawia wrażenie przygnębionego, pani Bogna wyjaśniła:

— Pan Stefan miał dziś małą przypadłość sercową. Nie zmuszajmy go do wielomówności.

— Choroby serca to bardzo przykra rzecz — orzekł Malinowski.

Borowicz pomyślał:

— Idiota.

Nigdy go nie drażniła bardziej niż dziś ta głupia maniera Malinowskiego mówienia rzeczy zwykłych, pewnych i bezspornych. Znać przy tym było, że jest przeświadczony o pełnowartościowości swoich wypowiedzi, że bynajmniej nie uważa ich za komunały, że do tych „odkryć Ameryki” doszedł własną obserwacją i rozumowaniem. Nie zmieniało to wszakże rozpaczliwej banalności jego orzeczeń.

— Zbyt silne mrozy utrudniają życie — mówił na przykład — ale zbyt nie upały też nie wszyscy znoszą.

Przy kolacji Borowicz został przez panią Bognę umiejętnie wciągnięty w rozmowę. Zaczęło się od stylów nowoczesnych, przeszło na folklor, zakopiańszczyznę i dyskusja rozwinęła się dookoła zagadnienia kierunkowości i bezkierunkowości w sztuce od dawnej Grecji po nowojorskie drapacze chmur i dalej. Pani Bogna była zdania, że można tu wyznaczyć zdecydowaną linię rozwoju czy upadku, lecz przecież linię, Borowicz bronił poglądu odmiennego. Utrzymywał, że nie może być mowy o ciągłości, że nawet naśladownictwo czy moda ulega specyficznym, charakterystycznym dla danej epoki i dla danego narodu lub środowiska odchyleniom.

— Nie może tu być ani postępu, ani upadku w znaczeniu trwałym — dowodził — styl dojrzały wykwita tam, gdzie ludzie dojdą do dojrzałości wyraźnych i głębokich idei.

Styl to idea. To owoc ducha danego środowiska, to dążność, a raczej wyraz dążności ducha do utwierdzenia się w środowisku, to środek jego działania, oddziaływania, panowania.

Przytaczał liczne dowody. Znał się na tym gruntownie. Kiedyś zrobił nawet kilka podróży i zebrał obfite materiały do zamierzonego studium o gotyku francuskim, celtyckim, reńskim, włoskim i polskim. Na przykładzie powstawania tych różnic zaczął właśnie rozwijać swoją teorię, gdy spostrzegł czule spojrzenia, które ukradkiem wymienili pani Bogna z Malinowskim. To oblało go zimną wodą. Przypomniał sobie prezesa Szuberta i jego drwiny z nieboszczyka Jezierskiego, który nocami czytał młodej żonie Homera.

Dodał dla przyzwoitości jeszcze dwa zdania konkluzji i umilkł.

— Tak — chrząknął Malinowski — ty diabelnie wyznajesz się w tych historycznych rzeczach. Powinienbyś o tym napisać jakiś artykuł.

Bogna musiała zauważyć, co było przyczyną jego zamilknięcia, gdyż z lekka się zarumieniła i chcąc widocznie udowodnić, że słuchała uważnie, zaczęła rozwijać szczegóły i żądać podobnych przykładów na baroku. Borowicz jednak czuł się ośmieszony i wycofał się kilkoma ogólnikami.

— A mnie się zdaje — odezwał się Malinowski — że tu nie tyle można mówić o linii, czy o stefanowych wykwitach ducha, ile o zmyśle praktycznym. Decyduje postępek techniki, który pozwala na budowanie coraz wygodniejszych, coraz tańszych gmachów. Celowość! Oto jedyny wskaźnik. Co ma duch do wygodnego i taniego rozkładu mieszkania? Chodzi o oszczędność materiałów, miejsca i robocizny przy zapewnieniu maximum komfortu. Jeżeli jest tu jakaś idea, to idea zapewnienia sobie ciepłego, higienicznego, dobrze przewietrzanego locum.

Roześmiał się, a Borowicz zaciął usta, by nie odpowiedzieć mu jakimś dobitnym epitetem.

Pani Bogna zaoponowała:

— Obracasz zagadnienie w żart, ujmując tę jego stronę.

Borowicz spojrział na zegarek i wstał:

— Już jedenasta — powiedział — na mnie czas.

Wstali również i oni. Malinowski całując na podziękowanie rękę Bogny wystrzelił nowym aksjomatem:

— Gdy się tak przyjemnie rozmawia, to człowiek zapomina o godzinie.

— Nie zatrzymuję was. Jakże się pan czuje? — zwróciła się do Borowicza.

Zapewnił ją, że zupełnie dobrze. Umyślnie pierwszy wyszedł do przedpokoju, by zostawić ich samych i zdziwił się, że Malinowski okazał tyle przyzwoitości, że nie skorzystał z tego. Po chwili obaj byli już za drzwiami. W smudze światła została przez minutę pani Bogna, a gdy już dochodzili do furtki powiała ku nim ręką.

Noc była ciepła i pachniała zielenią. Od wschodu nadchodziły łagodne podmuchy wiatru, w którym drzewa potrząsały gęstymi wiechami gałęzi. Liście szeleściły jedwabście, połyskując w świetle rzadkich latarni swoją lśniącą powierzchnią i migając białawą podszewką. Ulice były puste. Po obu jej stronach pogaszono już światła, lub pozamykano okiennice i piaskowego koloru domki z dachami z czerwonych tafelek wylaniały się uśpione i ciche z gęstego zielonego poszycia. Wyiskrzone niebo piętrzyło się w górze ciszą, pogodą i niezmiennością.

— Wiesz co? — odezwał się nagle Malinowski — możebyśmy tak wstąpili gdzie na koktail?

— Co?... — ocknął się Borowicz.

— Na godzinkę, na przykład do „Adrii”. Wydamy najwyżej po sześć złotych i trzydzieści groszy na szatnię. A trochę się ubawimy.

— Dziękuję ci. Idę spać.

— Odludek z ciebie — ziewnął Malinowski — popatrzylibyśmy na występy, zobaczylibyśmy sporo ludzi. No i samemu trzeba przecie od czasu do czasu pokazać się. Co?

— Nie lubię holoty...

— Ależ tam bywa też dobre towarzystwo!

— Mój drogi — zirytował się Borowicz — powiedziałem, że nie pójdę i już.

— Starzejesz się, che, che, che — półzartobliwie i pojednawczo zaśmiał się Malinowski — nabierasz starokawalerskiej pedanterii. A rozrywka od czasu do czasu jest człowiekowi potrzebna.

— Kiedy deszcz pada jest mokro — z hamowaną furią odpowiedział Borowicz.

— Co przez to rozumiesz? — zaciekał się Malinowski.

— Nic, tak sobie, filozoficzna uwaga.

— Dziwny jesteś... Hm... Śliczna noc... Dawniej bywałeś weselszy. Jeżeli się nie obrzisz powiem ci po przyjacielsku: tetryczesz. Jesteśmy w jednym wieku, a o ile ty starszej wyglądasz! Wprawdzie ja może wyglądam za młodo. Nieraz, mam wrażenie, przeszkadzało mi to w karierze. Ty o to nie dbasz, ale mnie należałoby się awans. Żeby to człowiek mógł mieć dwa wyglądy! Jeden dla kariery, solidny, z brzuszkiem, drugi dla kobiet. Kobiety jednak zawsze wolą młodszych. Teraz che, che, che, będę mógł przytyć... Widzisz, dlaczego na przykład ty nie żenisz się. Jesteś w znacznie lepszym położeniu ode mnie. Bywasz w tych sferach, gdzie są bogate panny. Albo i mężatkę którą możesz rozwieść. Weźmy chociażby taką Butrymową. Reprezentacyjna i dama całą gębą, a poza tym majątek ziemski i trzy kamienice. Tylko zakrzętnąć się.

— Czemuż u licha ty z nią się nie żenisz? — wzruszył ramionami Borowicz.

— Pi!... Za wysokie progi na moje nogi. Zresztą Bogna wprawdzie nic nie ma, bo co tam z tej Iwanówki jej przypadnie, ale też hrabianka z domu, pod każdym względem nienaganna, a stosunki ma kolosalne. Ho!

— I dlatego z nią się żenisz? — stłumionym głosem zapytał Borowicz.

Malinowski wywinął młyńca łaską:

— No i dlatego też, że ją kocham — powiedział z przekonaniem.

Dochodzili do rogu ulicy. Borowicz nagle wyciągnął rękę:

— Dobranoc ci.

— Idziesz tędy? Odprowadzę cię.

— Dziękuję, ale... mam jeszcze gdzieś wstąpić.

Malinowski rozstawił nogi, podniósł głowę i gwizdnął:

— Fiuuu!... Taki z ciebie ananas!? — pochylił się i chociaż wokół nie było nikogo zapytał szeptem: — na dziewczynki?

— Na dziewczynki — potwierdził Borowicz, hamując się, by nie uderzyć z całej siły w tę wygoloną twarz z dowcipnie przymrużonym okiem.

— Toś w porządku — swobodnie śmiał się Malinowski — życzę powodzenia i... zadośćuczynienia, che... che... che... Ja bo obecnie nie mam hm... na zbyciu, jak się to mówi, woli bożej... che... che... che...

Borowicz prawie wyrwał rękę z jego dłoni i zawrócił w boczną ulicę. Już był dość daleko, gdy dobiegł go głos Malinowskiego:

— Dobrego apetytu!

Udał, że nie słyszy i przyspieszył kroku.

— Bydlę, bydlę... bydlę... — powtarzał raz po raz.

ROZDZIAŁ II

Data ślubu została wyznaczona na czwartego września. Bogna musiała mieć chociaż kilka dni całkowicie wolnych na dokończenie wszystkich przygotowań, a właśnie w ostatnim dniu sierpnia rozstawała się z Funduszem Budowlanym, który pochłaniał jej znacznie więcej czasu, niż przepisane godziny urzędowania. Prezes Szubert zawsze o czymś zapomniał, zawsze w najnieodpowiedniejszej porze przychodziły mu pomysły i natchnienia.

Dawniej nie przeszkadzało to Bognie wcale. Przeciwnie, wołała zawsze sama dopilnować, by nie palnął jakiegoś głupstwa. Zbyt wiele czuła dlań serdecznej przyjaźni, by miało to jej sprawiać przykrość. Jednakże należało pomyśleć i o sobie, szczególnie teraz, gdy to „o sobie” zaczynało w jej świadomości już całkiem konkretnie znaczyć „o nas”. Po raz pierwszy uprzytomniła to sobie w tę niedzielę, kiedy umyślnie poszła do kościoła, by usłyszeć swoje zapowiedzi. Było to komiczne, ale zarumieniała się wówczas i serce zabiło jej mocniej. Stała pod filarem nie daleko ambony i zdawało się jej, że wszyscy na nią patrzą, chociaż było zaledwie kilka znajomych osób, a ksiądz wymawiał ich nazwiska niewyraźnie i szybko, wśród dziesiątka innych. Nie przypuszczała, by ta formalność mogła wyrzucić

na niej tak silne wrażenie, jak na młodej panience. Uklękła i modliła się. Właściwie nie można było tego nazwać modlitwą. Po prostu rozmyślała nad nowym życiem i zwierzała się Bogu ze swego szczęścia.

Religijność jej należała do tego typu, gdzie rytuał, przepisy kościelne, nabożne zwyczaje nie miały wielkiego znaczenia. Wychowanie, jakie odebrała w domu rodziców, w otoczeniu, w którym nie kultywowano tradycji religijnych, nie obserwowano świąt i nie przywiązywano żadnej wagi do obrzędowości, nie tylko religijnej, lecz i towarzyskiej, nie wyrobiło w niej potrzeby wewnętrznej unormowania i uparagrafowania swego stosunku do Boga. Ojciec, niewojujący materialista i matka, która do śmierci pozostała ateistką, ściśle przestrzegali zasady wolności sumienia, pozostawiając córce swobodę, zarówno w uczeniu się religii, jak i czytaniu dzieł wolnomyślnych. W rezultacie Bogna przy całkowitej obojętności dla kanonów kultu znalazła w sobie gorącą i głęboką wiarę w Boga. Z biegiem czasu wyselekcjonowały się w jej umyśle pojęcie Opatrzności, zabarwione nieco determinizmem i poglądem etycznym, nie mający wprawdzie nic wspólnego z niebem i piekłem, z grzechem i karą czy nagrodą, lecz oparty o przeświadczenie, że Bóg jest dobrocią. Tu znowuż element dobroci rozszerzał się w mgliste, zbliżone do panteistycznego, rozumienie świata. Nie miała zasób wiadomości przyrodniczych nabyty podczas studiów uniwersyteckich nie zdołał w jej umyśle zatrzeć, a raczej ugruntował wyobrażenie z lat dziewczęcych, gdy przysłuchując się dysputom, prowadzonym w domu, przedstawiała sobie wszechświat jako ogromną szklanekę, w której Siła Nadprzyrodzona miesza przy pomocy olbrzymiej łyżeczki elektrony, wprawiając je w wir o zawrotnej szybkości i zmuszając do zbijania się w grudki atomów, planet i słońc. Z biegiem lat przestało to łączyć się z wspomnieniem niani, przyrządzającej „gogelmogel”, ale przecież dosypywanie cukru musiało asocjować się z łaską bożą, zaprawiającą martwe planety dobrodziejstwem życia organicznego.

Niezależnie od tego wstępowała czasem do kościoła, a w domu nad łóżkiem miała nieduży krucyfiks, rzeźbiony w kości słoniowej, pamiątkę po babce. Jednakże cieszyła się, że Ewaryst jest pobożny. Oczywiście nie wdawała się z nim nigdy na ten temat w rozmowy. Tolerancyjność, wyniesiona z domu rodziców, nie dopuszczała nawet ewentualności interesowania się tak ściśle osobistymi sprawami, jak wiara, bodaj u osób najbliższych.

O jego życiu wewnętrznym w ogóle wiedziała mało. Ewaryst nie lubił o tym mówić i w ogóle trudno było dopatrzeć się w nim tej afektacji, która u wielu ludzi tak razi nieustannym narzucaniem otoczeniu podziwu dla ich głębi duchowej. Nigdy też nie doszukiwała się w nim nadzwyczajności, wyjątkowości, tajemniczych ukrywanych skarbów, wyrastających ponad poziom wartości. Przeciwnie, tego miała dość we wspomnieniach po świętej pamięci Józefie, miała ich za dużo w domu rodziców i obecnie wśród tych, którzy w jej życiu z owych czasów zostali. Dla siebie chciała zwykłego ludzkiego chleba powszedniego, w którym może się trafić i ostre źdźbło łuski i gorzkie ziarno kąkołu, ale który żywi i syci. Przyszłość, jaka się przed nią otwierała, nie przypominała zaczarowanej bajki. Wyobrażenia Bogny nie przystrajała jej festonami kwiatów, nie naświetlała tęczę, nie opromieniała jasnością jakiegoś nadziemskiego raj. Jej miłość nie miała w sobie nic z egzaltacji, a jeżeli było tam miejsce na marzenia, nie przekraczały one granic rozsądku, a właśnie rozsądek umacniał je na trwałym gruncie rzeczywistości, rzeczywistości dlatego cennej i pożądanej, że nic ziemskiego nie było jej obce, a jeżeli miała być niebem, to takim, na którym i zorze będą i chmury i słońce i mrok. Takiego chciała szczęścia, szczęścia równie odległego od gwiazdnych wlotów, jak i od ponurych katastrof, równie dalekiego rozpaczy, jak i olimpijskiemu absolutowi wiekuistego błogostanu.

— Czy myślisz, że on może ci dać szczęście? — zapytała ją któregoś dnia Dora Żukowiecka.

W jej pytaniu brzmiało zdziwienie, ironia i nuta, która zawierała cień współczucia.

— Twoje pytanie — odpowiedziała jej wówczas — ma raczej ton zaprzeczenia.

— Może. Twój pan Ewuś nie jest, jak mówią Rosjanie, bohaterem mego romansu. Zresztą cóż?... Sama przyznasz, że na unikat nie wygląda.

Jakże chętnie to przyznała. Widziała w nim nie więcej niż przeciętnego porządnego chłopca. Właśnie chłopca. Mężczyznę, o którym można powiedzieć: „mój chłopiec”. Nie znała i nie rozumiała znaczenia tego słowa. Gdy je po raz pierwszy usłyszała, było dla niej rewelacją. Zdarzyło się to jeszcze za życia męża. Nie czytywała lżejszej beletrystyki, nie

stykała się z pannami zajętyymi sportem i danciem. Przypadkowo wstąpiła kiedyś do kina. Film był głupi, naiwny amerykański kicz. Ale zawierał jedną scenę, która wstrząsnęła wyobraźnią Bogny; jasnowłosa dziewczyna rozkapryszona i nieprzystępna została pochwycona w ramiona przez ładnego roześmianego młodzieńca. Broniła się chwilę. Na ekranie były widoczne tylko jego szerokie plecy, silny pochylony kark i na plecach piąstki bombardujące ich muskularną przemoc. Po chwili jednak ręce dziewczyny zwolniły tempo, ustały i splotły się dookoła szyi młodzieńca.

Bogna doskonale zdawała sobie sprawę z banalności tej scenki, lecz jednocześnie krew napłynęła jej do twarzy i powietrze napełniające płuca nabrało jakiegoś dziwnego przejmującego smaku: był to pierwszy moment w jej życiu, gdy poznała, że ma również zmysły, że istnieje przed nią nowe nieznanne morze wrażeń i odczuć, których nawet nie przeczuwała, a o których słysząc lub czytając, nie umiała wyrobić sobie sądu. Podejrzewała innych, a raczej inne kobiety o kłamstwo lub przesadę, to znów siebie o jakiś błąd czy brak organiczny, czy nerwowy. W każdym razie unikała rozmyślań nad tym tematem, a za nic w świecie nie poruszyłyby go w rozmowie z kimkolwiek.

Było to bardzo niemądre, ale mimo woli obejrzała się na siedzącego obok męża. W ciemności jego wyrazisty profil z wysokim jasnym czołem i szeroką siwiejącą brodą rysował się subtelnymi szlachetnymi liniami. Kochała go, ceniła, podziwiała. I nic się nie zmieniło w niej dla niego, ale przecież rozumiała, że nigdy nie był dla niej tak bliski, jak ten zakochany chłopiec na ekranie.

Pocałunek już się skończył i młodzi trzymając się za ręce pobiegli przed dom, gdzie siedział ojciec dziewczyny. Dziewczyna powiedziała:

— To jest mój chłopiec.

Powiedziała „mój chłopiec” i Bogna nie mogła oczu oderwać od tej sprężystej sylwetki wysportowanego młodzieńca o prostym beztroskim uśmiechu na opalonej twarzy.

— Tak musi wyglądać chłopiec — pomyślała i cała jej świadomość rozjaśniła się niespodziewanym odkryciem: — szczęście, prawdziwe szczęście zamyka się w tym żeby mieć swego chłopca. Kochać go, być przez niego kochaną, dzielić z nim zabawy, sporty, pracę, radości, smutki, dzielić z nim życie. Jakby podwoić swoje własne przez podzielenie go z nim.

Myśl ta opanowała ją od tego dnia, zawładnęła jej nerwami i wyobraźnią. Początkowo próbowała przemienić treść swoich stosunków z mężem. Było to jednak niewykonalne. Osiągnęła efekt najmniej spodziewany: zaczął ją obserwować tak, jak się obserwuje chorą. Mimo to nie czuła się zrozpaczona. Zawód przyjęła jako rzecz naturalną, a w jej rezygnacji nie tylko Józef, lecz i ona sama nie mogłaby doszukać się rozgoryczenia. Sama nie wiedziała czy tę zdolność przystosowania się do rzeczywistości zawdzięcza swemu spokojnemu rozsądkowi, czy wynika ona wprost z jej ustroju psychicznego, bezpośrednio, bez udziału umysłu i woli.

Na szereg lat, jedynym wyraźnym śladem, jaki pozostał w jej wrażliwości po owym wieczorze kinowym była potrzeba szukania wokół siebie takich par, które urzeczywistniły jej marzenia o szczęściu. Nie było ich wiele. Świat, w którym żyła aż do śmierci Józefa, znajdował się nieomal na odwrotnym biegunie rozumienia życia. Jedno małżeństwo, dwie pary narzeczęńskie i Dora. Lecz tej nie można było brać za przykład. Po pierwsze ukrywała się ze swymi uczuciami, a po drugie zbyt często zmieniała na nich adres.

W bliskim swym otoczeniu Bogna nie spotykała też mężczyzn, do których dałby się jako tako przystosować tytuł chłopca. Najbliższy jej Stefan Borowicz był zawsze dobrym przyjacielem, był niezastąpionym partnerem do rozmowy, a nawet, co spostrzegła od czasu do czasu, przystojnym mężczyzną. Ale typ jego charakteru, usposobienia, typ jego pojmowania życia i w ogóle on cały, było to raczej przeciwieństwo człowieka, jakiego mogłaby nazwać swoim chłopcem.

I Ewaryst nie był pod tym względem skończonym wzorem. Brakowało mu tego, co nazywała rozmachem. Brakowało mu może i drugiego ważnego rysu: nie umiał zawsze być sobą, to znaczy takim, jakim był niezmiennie ilekroć znajdowali się we dwójkę, bez świadków. Bogna jednak wierzyła swemu domysłowi, że jest to wynikiem pewnej nieśmiałości, niedostatecznego wyrobienia towarzyskiego i subtelnego wyczuwania swej niewysokiej pozycji społecznej. Nie odbierało to jej jednak przeświadczenia, że nastąpi

w nim zasadnicza zmiana pod tym względem w miarę urzeczywistnienia się jego ambicji życiowych.

Na pierwszy rzut oka istotnie mógł wywierać wrażenie zawodowego urzędniczka zadowolonego z siebie i ze świata. Gdy zaczęła pracować w Funduszu Budowlanym i poznała Malinowskiego, nie zwróciła nań większej uwagi. Uderzyła ją jego uroda, a do pewnego stopnia ujęła poprawność. Oto wszystko. Dopiero, gdy udało się jej znaleźć w Funduszu posadę dla Borowicza i okazało się, że ten jest dawnym kolegą Malinowskiego, sytuacja szybko zaczęła się zmieniać. Borowicz zbliżył ich. Z biegiem czasu stopniowo odkrywała w nim to wszystko, co czyniło go coraz bardziej podobnym do owego chłopca z amerykańskiego filmu. Prosty, wesoły, trochę dziecinny, trochę za lekko, trochę zanadto optymistycznie patrzący na życie, silny, wysportowany, zdrowy fizycznie i psychicznie, ot zwyczajny dobry chłopiec, który ma zdrowe męskie aspiracje, a aspiracje te zamknął w pragnieniu zbudowania przyszłości dla siebie i dla kochanej kobiety.

Była to jedna z pierwszych ich rozmów, gdy powiedział:

— Proszę pani, żeby pokochać trzeba najpierw mieć możliwość realizowania tego uczucia. To znaczy, trzeba wiedzieć, że się zapewni przyzwoity byt kochanej istocie. Ale co zrobić, jeżeli się pokocha wcześniej?

Był nieśmiały. Bogna wiedziała poza tym, że w biurze nie zaleca się do żadnej z pracowniczek, a gdy częściej bywali ze sobą, spostrzegła, że zupełnie nie zwraca uwagi na inne kobiety. Minęło też pół roku od ich zbliżenia się, gdy zdobył się na wyznanie. Nie umiał obchodzić się z kobietami i to stanowiło jego zaletę. Wówczas pojechali kajakiem aż pod Wilanów. Wisła tu była pusta, pomimo niedzieli. Wyciągnął kajak na piaszczystą łachę, a później przenosił Bognę na brzeg, brnąc po pas w wodzie. Oczy mu się iskrzyły, a chociaż śmiał się, miał zaciśnięte szczęki. Nie puścił jej od razu. Stał, trzymając ją mocno i lekko zdyszczonym głosem powiedział:

— Żeby pani wiedziała, jak ja panią Kocham...

Przytuliła się do niego i podała mu usta. Później położył ją na trawie i całowali się aż do utraty tchu. Było to takie proste i takie piękne. Uczucia ich powstały i rozwijały się nie mierzone, nie ważone, nie analizowane. Dlatego były jasne, przejrzyste i bezpośrednie. Nie zgłębiała ich, nie badała. Otrzymała to jako dar od życia i chciała się tym cieszyć. Toteż broniła się przed refleksjami i tym zawzięciej broniła się przed ludźmi, którzy chcieli w jej proste piękne szczęście wnieść swoje wątplenia, obawy, sądy i ostrzeżenia. Posypały się te pociski ze wszystkich stron. Szubert, Borowicz, Dora, kuzynki, nawet pocziwa Jędrusiowa. Każdy miał coś do powiedzenia, każdy chciał, w najlepszej zresztą wierze, zajrzeć do jej radości i oskubać te świeże kwiaty z płatków, by — dla dobra Bogny — zmniejszyć jej szczęście. Tylko jeden ojciec w odpowiedzi na jej list napisał:

„...cieszę się wraz z Tobą, wraz z Tobą jestem pewien, że człowiek, którego wybrałaś będzie godzien Ciebie”.

To najbardziej bawiło Bognę, że wszyscy, tu już nie wyłączając ojca, zdawali się przypisywać jej jakąś dużą wartość. Było to śmieszne. Znała przecie siebie dobrze, dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że jest zwykła, przeciętna, taka, jakich tysiące chodzi po ziemi. Jeżeli robiła coś, co w oczach ludzi uchodziło za dobre, jeżeli w jej postępowaniu dopatrywano się szczególnych zalet, w żadnym razie nie mogła brać sobie tego za zasługę. Zasługa wynikałaby z walki, z wyrzeczeń się, z przymusu woli wbrew naturze, a ona robiła to, co odpowiadało jej upodobaniom, żyła tak, jak chciała, wybierała z życia to, co lubiła. Nie pozbawiała się nawet takich wad, jak próżność. Niepotrzebnie ubierała się zbyt ładnie i zbyt kosztownie. Nie umiała sobie odmówić przyjemności dowiadywania się różnych ploteczek, nie miała siły, by zmusić siebie do pozbycia się pewnej zalotności. To były wielkie wady. Wielkie właśnie przez swoją małość. I jeszcze jedna, którą na próżno usiłowała tłumić: zmysłowość. Jakże często łapała siebie na brzydkich jej objawach. Nawet przy czytaniu dzieł naukowych spostrzegła, iż największe zajęcie wywołują w niej rozdziały, traktujące o sprawach płciowych. Wstydziała się tego przed samą sobą, ale i w uczuciach dla Ewarysta te rzeczy zajmowały za dużo miejsca. Już dotyk jego ręki wywoływał nieznaczny, ale przecież znany Bognie dobrze prąd podniecenia.

Pobudliwość jej rozwinęła się późno i tu można było szukać przyczyny nadmiernego jej nasilenia. Bogna nie uważała tego za zbrodnię, ani nawet za wykroczenie, że jeszcze przed ślubem, jeszcze zanim postanowili małżeństwo, należeli do siebie. Jeżeli z tego powodu

odzywało się w niej niezadowolenie z siebie, to tylko dlatego, że powinna była walczyć z instynktem, bezsprzecznie najniższym w naturze ludzkiej, zwierzęcym.

Nie lubiła wszakże myśleć, a raczej rozmyślać o tych rzeczach, gdyż takie rekolacje wywoływały najczęściej skutek wręcz przeciwny: przywodziły na pamięć wspomnienia, które przyspieszały tętno krwi.

Zresztą przed ślubem miała nieprawdopodobny nawal pracy. Po prostu na widywanie się z Ewem brakło czasu. Poza zdaniem wszelkich swoich obowiązków biurowych należało przemeblować mieszkanie.

Postanowili, że on przeniesie się do niej. Było to najrozsądniejsze. Jednakże Bogna, chociaż on nie miał żadnych w tym względzie obiekcji, zdecydowała się zmienić urządzenie pokoju po swoim pierwszym mężu. Byłoby jej przykro zostawić te same meble. I w ogóle całe mieszkanie wypadło odnowić, nadać mu nowy wyraz. To zagadnienie wywołało między nimi nie sprzeczkę, bo tak tego nie mogła nazwać, lecz różnicę zdań. Ewaryst, gdy już przemeblowanie gabinetu zostało postanowione, oświadczył, że zrobi to ze swoich oszczędności. Wynosiły one około trzech tysięcy złotych. Wysokość tej kwoty zdziwiła Bognę. Z niedużej pensji odłożyć w ciągu kilku lat tyle było sztuką nie lada. Zrozumiała to dopiero wtedy, gdy chcąc mu sprawić niespodziankę, wstąpiła do niego. Mieszkał na Pradze przy odległej małej uliczce. Nie zastała go w domu, lecz widziała ten ciemny pokoik, który zajmował przy jakiejś kolejarzkiej rodzinie na czwartym piętrze. Żelazne łóżko, krzywy stolik, umywalka blaszana, szafa podparta klockiem i dwa krzesła wiedeńskie. Byłoby to straszne, gdyby nie było rozczulające. Odmawiał sobie wszystkiego, byle tylko oszczędzić, a teraz, gdy powstała kwestia urządzenia ich wspólnego domu, bez wahania oddawał wszystko.

Nie było to nawet konieczne. Bogna miała dość własnych pieniędzy. Niemała pensja i dochód z części Iwanówki przynosiły tyle, że mogła nie liczyć na jego pomoc. Jednakże uparł się, co ładnie o nim świadczyło. Spór powstał na innym tle. Ewaryst chciał swój przyszły gabinet umeblować nowoczesnie, ale gdy dał to sobie wyperswadować i Bogna wyszukała w antykwariach śliczne bidermajerowskie mebelki, orzekł, że to za skromne. Zaraz nazajutrz zaprowadził ją sam do sklepu, gdzie znalazł wspaniałe empiry. Kosztowały drogo, nie nadawały się do mieszkania o niskich sufitach i niedużych pokojach, ale Ewaryst twierdził, że wyglądają reprezentacyjnie i oświadczył w końcu, że musi je mieć.

Ustąpiła. Nie przekonał jej argument, że w skromnym mieszkaniu stare, imponujące meble świadczą o dawnych dobrych czasach właścicieli. Ustąpiła raczej przez wspomnienie tego biedniutkiego pokoiku na Pradze. Poczciwy chłopiec, który przez tyle lat ograniczał swoje wydatki aż do przesady i zmuszał siebie do bytowania w takiej brzydocie, miał ostatecznie prawo na empirowe antyki ze złożonymi bronzami. Oczywiście nie powiedziała mu tego. Zataiła przed nim nawet swoją bytność u niego, przypuszczając, że sprawiłaby mu przykrość.

— Czy to ty, najdroższa, złożyłaś mi wczoraj wizytę? — zapytał, a gdy bez namysłu zaprzeczyła, odetchnął z widoczną ulgą — mówiono mi w domu, że była jakaś szykowna pani.

— Tak? Ew!... Będę zazdrosna! — zażartowała.

— Ależ przysięgam ci, że nie mam pojęcia, kto to mógł być.

— Jednakże znała twój adres. Strzeż się! Przyjmujesz w swojej kawalerce szykowne kobiety, a ja tego nie ścierpię, mój ty cudny chłopaku!

Śmiała się. Nie brała mu za złe tego, że się wstydzi swego pokoiku. Świadczyło to o jego zmyśle estetycznym, a przede wszystkim o tym, że właśnie nie przyjmował tam kobiet. W ogóle nie był zepsuty, może nawet niewyrobiony, ale to dodawało mu wdzięku. W jego komplementach nie było wyrafinowania, w jego czułych zwrotach zaznaczała się pewna szorstkość i brak zrozumiałości. Robił wrażenie, jakby wciąż powątpiewał w swoje szanse. Nieśmiałość ta, pokryta cienką warstewką nadrabianej miny, bardzo zjednywała Bognę.

A przy tym czuła, że jest mu potrzebna.

— Zapewne — mówił Ewaryst — człowiek nie opuszczał się w pracy, na żadne zbytki sobie nie pozwalał, ale i specjalnego pędu życiowego nie miał. Bo na co? Dla kogo?...

Teraz, kiedy będę miał ciebie, wyciągnę się na skos. Nie zostanę przecież przez całe życie mizernym urzędnikiem. Głupszy ode mnie porobili kariery.

— Oczywiście, kochanie, jestem przekonana, że potrafisz więcej, niż prowadzić referat w Funduszu.

— Serio tak myślisz? — pytał z odcieniem zaniepokojenia.

— Ależ całkiem serio. Zobaczysz, zostaniesz jeszcze ministrem, albo milionerem.

— Dlaczego by nie? Tylko żeby ludziom dać się poznać, żeby mieć styczność z takimi, którzy mogą człowieka popchnąć w górę.

Miał ambicje i nie zamierzała mu ich odbierać. Przeciwnie. Sama spodziewała się po nim wprowadzić nie milionów, nie teki ministerialnej, lecz w każdym razie dostatecznych zdolności, by dojść do poważnego stanowiska.

— Mnie trudniej było — mówił — niż wielu innym. Rodzice moi byli niezamożni. Wchodziłem w życie bez kapitału zakładowego. Każde przedsiębiorstwo musi mieć kapitał, a ja miałem tylko dziesięć palców i maturę. Z tym nie łatwo daleko zajechać. Człowiek jest tak samo przecie jak przedsiębiorstwo, nie?... I stosunków żadnych nie miałem, ani bogatych krewnych. Jednak, jakoś utrzymałem się na powierzchni, a odtąd da Bóg lepiej pójdzie.

I rzeczywiście jakby zaczynało się na to zanosić. W przeddzień wyjścia Bogny z Funduszu wszyscy urzędnicy zebrali się, by ją pożegnać. W wielkiej sali posiedzeń wygłoszono kilka ciepłych przemówień, a ponieważ ślub miał być cichy, bez zaproszonych gości, teraz składano Bognie życzenia. Była naprawdę wzruszona. Wśród tych stukilkudziesięciu osób nie było nikogo, kto by żegnał ją bez żalu. Prawdę powiedział w swym serdecznym zwrocie naczelnik Korf: aż dziwno, ale po długiej współpracy trzeba stwierdzić że między odchodzącą koleżanką a resztą kolegów nigdy nie było najmniejszej niechęci, najniklejszej zwady. Jakaż czuła się szczęśliwa, że w tych słowach nie było cienia przesady. W biurach Funduszu czuła się zawsze jak w rodzinie i nie dlatego, że wiadano o jej wpływie na prezesa, lecz lubiono ją dla niej samej. Ilekroć mogła komuś w czym pomóc, za kimś się wstawić, kogoś pogodzić, robiła to zawsze z radością.

Pomimo wszystko nie spodziewała się aż takiego wyrazu ich życzliwości: wręczyli jej akt własności parceli budowlanej na Saskiej Kępie. Biedacy musieli się wykosztować i wielu z nich będzie spłacało raty za ten upominek przez szereg miesięcy!...

— Po co takie wydatki — mówiła zakłopotana i rozrzuwiona — moi drodzy, moi kochani...

Żegnała się z wszystkimi po kolei, a nie mogąc ścisnąć kolegów, tym goręcej odbijała to sobie na koleżankach, przy czym oczywiście popłakała się, jak i one.

Jedno tylko dotknęło ją boleśnie: nikogo tu nie brakowało oprócz Borowicza. Nie przyszedł. Na pożegnalnej „laurce” był wprowadzić jego podpis, ale sam nie chciał się pokazać.

— A gdzież pan Borowicz? — mimochodem zapytała Jagodę.

— Borowicz zdaje się niezdrów. Zwolnił się dziś od południa — odpowiedział major niepewnym głosem, potem chrząknął i dodał: — prosił mnie, bym go wytłumaczył i w jego imieniu... hm...

Nie skończył, zmarszczył czoło i zrobił nieokreślony ruch ręką. I tak wiedziała, że mówi nieprawdę. W ogólnym gorącym nastroju szybko o tym zapomniała, tym bardziej, że do sali wszedł prezes i wezwał ją do siebie.

— Prezesku kochany — zawołała, gdy znaleźli się sami — niech pan patrzy, co ci szaleńcy zrobili! Plac na Saskiej Kępie!

Szubert jednak ani spojrzał.

— Wiem, wiem — gniewnie machnął ręką i zaczął chodzić zataczając się wzdłuż gabinetu.

— Ależ to moje marzenie!

— Co jest pani marzeniem? He?... Siedzieć na gołym placu?... Zachciało się smarkatej przejść się za mąż. Szast prast za pierwszego z brzegu. Mydłek, hołysz!... Z czego wy w ogóle będziecie żyli?... Owszem, nic złego o tym durniu nie mówię. Może ten cymbał okazać się całkiem przyzwoitym człowiekiem. Ale rzuca pani posadę, a on przecie zarabia mało. Umyślnie zaglądałem do listy plac.

— Jakoś sobie damy radę — śmiała się Bogna.

— I po co w ogóle ludzie żenią się! — wybuchnął Szubert — każdy osioł i każda gęś muszą koniecznie siedzieć na kupie. W przyrodzie tego nie ma, a zatem...

— Przepraszam — przerwała — sam pan sobie przeczy.

— Jakto?

— No, osioł i gęś — powiedziała poważnie.

— Co?... Gęś?... Jaka gęś... — zatrzymał się przed nią zaskoczony.

Bogna najspokojniej podeszła do biurka, odsunęła szufladę i wydobyla z niej papierową torbę.

— Łyżeczkę cukru, prezesie. Intelkt nie zasilany węglem przestaje logicznie działać.

Zachmurzył się, ale zjadł łyżkę cukru i posmakowawszy z namysłem, oświadczył:

— Z kobietami nie można mówić poważnie. Czy zastanowiła się pani, co ja tu bez pani pocznę?... Nie. Czy rozważyła pani socjalne podstawy małżeństwa?... Nie!... Do licha! Jakże nie wierzyć w dziedziczność, skoro wdowa po Jezierskim musi popełniać wariactwa. To jasne. Zrobił tylko dwie rzeczy godne wspomnienia i obie najgłupsze w świecie: najpierw ożenił się z panią, a później umarł. Żeby go chociaż stać było na tyle pomysłowości, żeby zrobić to w odwrotnym porządku. Zawsze brakowało mu klepki, a kto nie uznaje teorii dziedziczności niech się przyjrzy pani.

— Ależ nie mogę tych pożytecznych przedmiotów dziedziczyć po mężu — śmiała się Bogna.

— Jakich przedmiotów?

— No, klepek.

— Więc po ojcu. Też mu dzięki Bogu niczego nie brakowało. Jak można, będąc uczciwym człowiekiem z dobrej rodziny wyklądać ontologię! Pytam, jak można?! Co? — To już lepiej od razu wleźć na ratusz i krzyżeć: tere-fere kuku! Tere-fere kuku!... Ontologia, nic już lepszego nie znalazł. Piękna nauka: dowodzić, że się nic nie wie o tym czego nie było! Kupa wariatów, jak Boga kocham!... A tu tymczasem nieład, od nikogo nie mogę dowiedzieć się dlaczego ministerstwo Skarbu zamyka mi kredyt za drugi kwartał, kiedy z tego kredytu dawno już złamanego grosza nie zostało, nie mogę ustalić daty porozumienia z radomską dyrekcją lasów państwowych, słowem nic. Jak tabaka w rogu. A dlaczego, bo się paniencie zachciało drugiego męża! Może mam się i płakać? Co? Proszę mi od razu powiedzieć: siadaj i płacz!... Oto do czego prowadzi zbrodniczy zwyczaj biurowej pracy kobiet. Idzie za mąż i fiut! Niech się świat zawali, a ona fiut... W dodatku szef może dziesięć razy pytać, to mu nawet nie raczy taka pani odpowiedzieć! No? Na klęczkach mam prosić?...

Ze swoim czerwonym nosem, z rękami wirującymi dookoła tęgiego torsu przypomniał groźny wiatrak z „Piotrusia Pana”.

— Wszystko zrobię, wszystko wyszukam — z rozczuleniem zapewniała Bogna — zresztą już przyrzekłam, że ile razy prezes będzie mnie potrzebował...

— Wcale nie będę — tupnął nogą Szubert — nie potrzebuję niczyjej pomocy. Żądam tylko odpowiedzi: z czego będziecie żyli?

— Nie będziemy opływali w zbytki — uśmiechnęła się Bogna — ale i z głodu nie umrzemy.

— Nie umrzemy! Nie umrzemy! Babskie gadanie. Z tej pensyjki? Otóż zastanawiałem się nad tym. I tego... wicedyrektor Żejmor przechodzi z powrotem do wojska. Ale skąd ja mogę wiedzieć, czy ten pani Malinowski da sobie radę na tym stanowisku... Oto kwestia!

Bognie serce ścisnęło się mocno. Wiedziała od dawna o ustąpieniu Żejmora. Przez jej ręce przechodziło pismo z ministerstwa spraw wojskowych. Nie przeszło jej jednak przez myśl, by Ewaryst mógł zabiegać o taki awans.

Naprawdę zaczynało iść mu lepiej. Boże, jakże się on ucieszył!

Stała nieruchoma z oczami pełnymi łez. Prezes kiwał się przed nią na rozstawionych nogach i coś mruczał pod nosem. Nagłym ruchem zarzuciła mu ręce na szyję i rozbeczała się na dobre. Na głowie czuła szeroką, ciężką dłoń Szuberta. Gładził jej włosy i cmokał od czasu do czasu w skroń, aż dzwoniło w uszach.

— Dziecko moje — mówił surowo i gniewliwie — moje kochane dziecko, nie przejmuj się tym zanadto. Chcę, żeby ci było dobrze. Nic w tym nie ma nadzwyczajnego. Tylko proszę powiedzieć temu durniowi, żeby jakiego głupstwa nie palnął. Jagoda wydał o nim

bardzo pochlebną opinię. Ale to trochę nieładnie wobec Jagody zabrać mu podwładnego na zwierzchnicze stanowisko. Zresztą pał go sześć. Na razie Malinowski ma urlop, po urlopie od razu przejdzie do dyrekcji. Z początku musi zostać pełniącym obowiązki, a nominację otrzyma, jeżeli nie okaże się, że jest beznadziejnym idiotą. Ostatecznie nie święci garnki lepią. W razie czego niech we wszystkim radzi się pani. I proszę mu powiedzieć, że tylko dla pani to robię. Wpychają mi tu ze wszystkich stron różnych protegowanych. No, już dobrze, drogie dziecko. Niechże ci się szczęści.

Bogna wracała do domu półprzytomna. Oczywiście ani przez chwilę nie przyszło jej na myśl zastosować się do życzenia Szuberta: jakże mogłaby Ewarystowi powiedzieć, że jej zawdzięcza awans. Najchętniej w ogóle zamilczałaby o wszystkim, by dowiedział się o nowym stanowisku drogą oficjalną, by w głowie postać mu nie mogło, że coś innego poza jego własnymi kwalifikacjami wpłynęło na nominację. Jednakże pokusa przeżycia z nim radości jak najprędzej była zbyt silna.

Zastała go w saloniku. Bez marynarki, z zawiniętymi po łokcie rękawami koszuli stał na drabinie i przybijał firanki, które podawała mu Jędrusiowa. Wyglądał ślicznie z tą zaaferowaną miną i wilgotnym czołem, do którego przylepił się zwisający kosmyk włosów. Spostrzegła od razu, że firanki zostały zawieszane niegustownie, poniekąd pretensjonalnie, ale nie chciała tym drobiazgiem psuć nastroju.

— Fu, jaki jestem zmachany — przywitał ją wesoło — ale zdaje się, że tak będzie ładnie. No, cóż tam? Bardzo czule cię żegnali czcigodni koledzy?

— Wzruszyli mnie naprawdę. Nie masz pojęcia jacy oni wszyscy dobrzy!

— No — zastrzegł się z powątpiewaniem.

— Wstydz się, Ew!

— Wstydzę się — zapewnił i nie wyjmując szpilek, które trzymał między wargami, dodał — dla ciebie, kochanie, nie trudno być dobrym.

— Uważałby pan lepiej — odezwała się Jędrusiowa — znowu prawa strona opadła.

— Psiakrew! — zaklął.

— Ew — zapytała Bogna, zdejmując kapelusz — zgadnij jaką otrzymałam od nich pamiątkę?

— Coś wartościowego? — zapytał z zaciekawieniem.

— Śliczną parcelę budowlaną na Saskiej Kępie.

Znieruchomiał:

— Plac?

— Tak. Oto akt własności — pokazała mu rulon.

Gwizdnął przeciągle z podziwem, po czym pośpiesznie zszedł z drabiny.

— Pokaż — otrzepnął dłonie i z szacunkiem rozwinął papiery.

Biedactwo, tak był tym przejęty, że nawet nie zauważył, że się doń przytuliła. Czytał z natężoną uwagą, przejrzał sumiennie plan, znowu przeczytał akt i podniósł rozjaśnioną twarz:

— Wszystko formalnie i w porządku. To, to lubię! Ale się wypuczyl. Musieli beknąć forszę. Wprawdzie i tak otrzymali cenę ulgową, ale i to nie byle co. Z wolnej rączki wart ten plac cztery tysiące, jak drut. Znam ceny.

— Cieszysz się, Ew?

— Ja myślę.

— To jednocześnie i prezent ślubny dla nas.

— Ale zapisany na twoje nazwisko — zauważył — zresztą to wszystko jedno.

— Gdy dorobimy się, wybudujemy tam sobie willę, prawda?

Ewaryst znowu zagłębił się w badanie planu, mruczał coś pod nosem, obliczał i wreszcie oświadczył:

— Co prawda mogliby wziąć parcelę o trzy numery dalej. Znam to miejsce. Dodaliby jeszcze kilkaset złotych, a plac byłby pierwsza klasa. Ten bo niewiele pójdzie w cenie, a tamten, narożny, za pięć lat wart będzie dwa razy tyle.

Nie podobały się jej te uwagi.

— Ew — odezwała się tonem upomnienia — to nieładnie.

— Co?

— Takie... taksowanie...

Wydął wargi:

— Oczywiście. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

— Przecież i tak nie spodziewaliśmy się tego.

— Ja też nic nie mówię, najdroższa. I tak się wysilili. Myślałem tylko, że gdyby każdy z nich dołożył po kilka złotych, mielibyśmy plac co się zowie. Przy dobrej koniunkturze można by sprzedać i kupić mniejszy. Zdobyłoby się trochę grosza na rozpoczęcie budowy. Bo jeżeli...

— Będzie pan dalej robił — przerwała Jędrusiowa — bo jak nie, to ja muszę obiad szykować.

— Jakoś nie mam chęci — spojrzał na Bognę.

— Odpocznij. A Jędrusiowa niech podaje. Głodny jesteś?

— Porządnie!

Bogna sama nie wiedziała dlaczego, ale straciła nagle ochotę do oznajmienia mu radosnej nowiny. Wracała podniecona i pełna zachwytu, a teraz odczuwała coś, jakby cień zniechęcenia. Ma się rozumieć winę tego stanu przypisywała tylko sobie. Nie należało do tego stopnia ulegać egzaltowanej radości, lecz brać rzeczy trzeźwiej.

Ewaryst poszedł do łazienki umyć ręce, w jadalni Jędrusiowa nakrywała do stołu. Okna były zamknięte i w pokoju czuło się duszność, zapach obiadu i dym papierosów. Ewaryst palił jakiś nieszczególny gatunek tytoniu, od którego powietrze nabierało kwaśnego smaku.

Przy obiedzie nastrój Bogny poprawił się. Ew zaczął wypytywać o ceremonię poże-gnalną w Funduszu i z zajęciem słuchał sprawozdania. Mimochodem wspomniała o nie-obecności Borowicza.

— On w ogóle ostatnimi czasy jakoś mnie unika — dodała.

— Dziwak jest. Zdziwaczał do reszty. Śmieszny chłop.

— Bardzo go lubię — powiedziała Bogna.

— Ja też, ale wiesz, najdroższa, co mi przyszło do głowy?... Zdaje się, że Stefan złości się na mnie, że się z tobą żenię.

— Cóż znowu! — zaprzeczyła żywo.

— Mówię ci. To się jemu nie podoba. A może jest zazdrosny?!

Wybuchnął śmiechem.

Bogna spojrzała nań zdziwiona:

— Co też ty wygadujesz!

— Żartuję, ale na to może wyglądać. Przecie gdyby kochał się w tobie, nie pozwoliłby mnie sprzątnąć ciebie przed nosa...

— Brzydko się wyrażasz — przerwała — a poza tym Stefan, moim zdaniem, przeżywa po prostu jeden ze swoich okresów psychostenicznych.

— Może.

— Na pewno — podkreśliła.

Za nic w świecie nie chciałyby, by Ewaryst domyślił się prawdy. Gdyby doszedł do przekonania, że Borowicz tak zawzięcie przeciwstawiał się ich zamierzonemu małżeństwu, stosunki między dawnymi przyjaciółmi musiałyby zerwać się na zawsze, a tym bardziej i ona z konieczności musiałyby wyrzec się widywania Borowicza i rozmów, które tak lubiła. Tymczasem była przekonana, że w końcu dawne stosunki powrócą w miarę tego, jak Borowicz przekona się o bezzasadności swych zastrzeżeń i niechętniej oceny Ewa. W gruncie rzeczy miała jednak żal do Borowicza, żal za brak zaufania i za to usuwanie się. Czemuż nie chce przekonać się, że się myli?... Oczywiście domysł o jego rzekomych uczuciach dla siebie uważała za absurd. Znali się od wielu lat, a nigdy, ani przez chwilę ich rozmowy, wspólne wycieczki, nawet spojrzenia nie były zabarwione czymś, co mogłoby być nazwane inaczej niż przyjaźnią. Zresztą od samego Stefana wiedziała, że nigdy w nikim się nie kochał, że jego stosunek do kobiet ograniczał się do „wymiany świadczeń”, jak to sam zimno nazywał.

Jeżeli coś z tego gatunku podejrzeń mogło w danym wypadku wchodzić w rachubę, to jedynie poświadome podrażnienie ambicji. Widocznie czuł się dotknięty tym, że kobieta, dla której żywi przyjaźń, wybrała sobie człowieka z prawdziwego życia, a nie królewicza z bajki. Gdyby mogła tu być mowa o innych pobudkach niezadowolenia Borowicza, jakiz

sens miałyby wówczas jego serdeczność dla ś. p. Józefa i niewątpliwa sympatia, jaka ich łączyła?...

Pomimo przeświadczenia, że złe humory Borowiczowi miną, korciło Bognę, by go zobaczyć i postanowiła sobie zaraz po wyjściu Ewa zadzwonić. Ewaryst jednak wyszedł zbyt późno. Wynikło to stąd, że dopiero po kolacji zdecydowała się oznajmić mu rzecz najważniejszą: wiadomość o nominacji.

Poczerwieniał i zaniemógł. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Poprawił krawat i wybełkotał:

— Nie rozumiem... zupełnie nie rozumiem.

— Kochany — rozczuliła się — tak się cieszę!

Ewaryst wstał, usiadł, znowu wstał i zapytał ochryplym głosem:

— Czy to pewne?

— Naturalnie. Po powrocie z urlopu pan wicedyrektor Malinowski obejmie urządowanie. Na razie jako pełniący obowiązki, bo Szubert chce przekonać się, czy dasz sobie radę na tym stanowisku, ale ja jestem przekonana, że szybko się zorientujesz.

Przygryzł wargi.

— Do licha, to nie jest takie pewne.

— Jesteś zbyt skromny.

Wzruszył ramionami.

— Nie o skromność chodzi. Ale wszyscy będą się starali podstawić mi nogę. Znam ja ich. A cały zarząd będzie wciąż mi patrzył na ręce. Poza tym robota trudna. Odpowiedzialność.

— Tak mówisz, jakbyś się martwił — zauważyła.

— Taki głupi nie jestem — zaprzeczył żywo — ale z początku będę się sypał.

— Co będziesz robił? — nie zrozumiała.

— O jej, no, zdarzą mi się błędy. Ale uważasz: ty przecież miałaś z pracą zarządu stałą styczność, więc w razie czego...

— Ależ oczywiście! Zawsze ci pomogę. Zresztą nie ma tam żadnej filozofii.

Ewaryst chrząknął i obciągnął kamizelkę:

— Tak... hm... Nie wiedziałem, że Żejmor ustępuje. Ale szlagier! Czcigodni koledzy popękają! Cha... cha... cha... Powiadam ci, popękają. No cóż?... Nie każdy awansuje skokami. Ten idiota Żejmor spoglądał na mnie z góry i teraz dostanie po nosie. Prawdę powiedziawszy, zasłużyłem sobie na ten awans. Zawsze wiedziałem, że prezes musi wreszcie zwrócić na mnie uwagę. Nie wielu jest takich urzędników, którzy by tak pracowali, jak ja. A poza tym na stanowisko w dyrekcji musi być ktoś, wyglądający reprezentacyjnie. Nieraz trzeba do ministerstwa pójść, czy jakaś konferencja, bankiet. Do licha! Nasz piernik nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

— Ew!...

— Owszem, nie mówię. On sam wprawdzie nic nie umie porządnie zrobić, ale ma nosa. Ma. Ma, taki nos! Ma nosa do wyszukiwania współpracowników. To nie żadna tajemnica, że cały Fundusz Budowlany stoi na dyrektorze Jaskólskim. A teraz i moja skromna osoba odegra też swoją rolę. Co?... I wiesz, myślę, że trzeba będzie sprawić sobie granatowe ubranie. Na ciemno człowiek solidniej wygląda. Granatowe chyba najodpowiedniejsze... I może wąsy nieco zapuścić?... Co?

Zbliżył się do lustra i wyznaczwszy końcami palców szerszą przestrzeń na górnej wardze odwrócił się do Bogny.

— Tak. Co?

Śmiała się serdecznie. Przez cały czas przyglądała się mu, jak dziecku, które dostało nową zabawkę i na różne sposoby usiłuje nacieszyć się nią. On miał w sobie tyle jeszcze dziecińczych cech i to było takie pociągające. Bezpośredniość, która kazała mu pleść, co ślina na język przyniesie, zabawne obmyślanie scenerii nowego stanowiska, szczerłość, z jaką mówił jej o sobie. I że w ogóle przyjął to tak po ludzku. Może wolałaby, by po prostu zaczął skakać po pokoju, krzyać na wiwat, by uściskał ją z radości, ale i tak zareagował właśnie jak chłopiec, jak jej chłopiec.

Było już po północy, gdy wyprawiła go za drzwi, a jeszcze od furtki wrócił z pretensjami, czemu nie powiedziała mu o mianowaniu od razu.

— Po Szubercie wszystkiego można się spodziewać — mówił — a nuż cofnie się? Należało zaraz mi powiedzieć.

— Czyż to nie wszystko jedno?

— A nie. Zaraz bym poleciał do domu przebrać się po wizytowemu i sztywno, równo, z bukietem w rękę, złożyć wizytę panu prezesowi, by mu podziękować. Trzeba ludziom okazywać uwagę.

— Ale dlaczego z bukietem? — śmiała się Bogna.

— Jakaś ty naiwna! To tylko takie powiedzenie: sztywno, równo, z bukietem w rękę.

— Nie bardzo mi się podoba.

— Dlaczego?... A no tak, trochę trywialne.

— Poza tym nie znasz Szuberta. Wyprosiłby cię za drzwi z całym podziękowaniem. Nie znosi wizyt i podziękowań.

— Pał go sześć — machnął ręką — tym lepiej. No, dobranoc, kochanie.

— Dobranoc, mój chłopaku.

— Ale dla ciebie to też niespodzianka, co? Myślałaś, że wychodzisz za mąż za zwykłego referenta, a zostaniesz panią dyrektorem! Mówię ci: Malinowski nie należy do tych, co dadzą się zjeść w kaszy. Pa, najdroższa, pa...

— Dobranoc.

Zamknęła drzwi, pogasiła światła i zaczęła się rozbierać. Dobrze postąpiła, że nie wspomniała mu ani słowem o pobudkach, jakimi kierował się Szubert przy tym awansie. Zmroziłoby to całą dziecinną radość Ewa i w dodatku niepotrzebnie zachwiało by jego wiarę w siebie. Bognie wprawdzie nie imponował tytuł dyrektorskiej, było jej absolutnie obojętne, jakie stanowisko zajmie jej mąż. Nawet sprawa dochodów nie obchodziła ją do tego stopnia, by dla siebie samej miała się starać o większe. Walka o byt stanowiła dla niej pojęcie czysto akademickie. Rozumiała jednak, że każdego mężczyznę z krwi i kości musi to pociągać. Osobiście nie walczyła nigdy. Do walki trzeba mieć wroga, trzeba bodaj spotykać przeciwności, a Bogna wrogów nie miała, na zaspokojenie swoich potrzeb materialnych i w domu, i w pierwszym małżeństwie, i wtedy, gdy została sama, wystarczało jej zawsze. Toteż po cichu, w głębi duszy podejrzewała, że w patetycznej nazwie „walki o byt” kryje się spora przesada.

Jeżeli jednak chodziło o Ewa, czuła to dobrze, postępowanie naprzód było dlań koniecznością. By utrwalić to przeświadczenie, wystarczało obserwowanie zmian, jakie w nim zaszły od chwili, kiedy dowiedział się o swoim awansie. On, oszczędny aż do przesady, nazajutrz przyjechał taksówką, co więcej, oświadczył, że mu się nie chce kończyć zawieszania firanek, że to się nie opłaci, skoro za kilka złotych zrobi to tapicer. Dawniej uważał, że na to szkoda pieniędzy.

Poza tym nie żartował już z Jędrusiową i nie wdawał się z nią w rozmowy, a gdy kobicina zwróciła mu uwagę, że zostawił niedopałek na kredensie, odpowiedział jej prawie wyniośle:

— Właśnie obowiązkiem Jędrusiowej jest sprzątać.

— Miałabym tam czas — odburknęła.

— Proszę nie wdawać się w dyskusję, tylko sprzątać.

Bogna słyszała to ze swego pokoju i uśmiechała się do siebie:

— Pocziwy Ew, ma przyплыw dyrektorskiej godności i powagi, ale przejdzie mu to.

Jednakże nie przychodziło.

W dzień ślubu na tym tle doszło do małej awanturki, przy której Jędrusiowa popłakała się i nie chciała złożyć Ewarystowi życzeń.

— Nie takich panów widziałam — krzyczała z kuchni — a też człowieka umieli uszanować.

— Przeprós ją, Ew — szepnęła błagalnie Bogna.

— No, wiesz — oburzył się — mam kuchnię przeproszać.

— Nie miałaś racji — dodała miękko.

— A chociażby — wzruszył ramionami — wolno mi nie mieć racji, a jej rzecz słuchać i milczeć.

— Zrób to dla mnie — prosiła — dziś taki ważny dla nas dzień. Nie chciałabym go mącić.

Zawahał się:

— Hm... może rzeczywiście byłaby to zła wróżba... Ale przecie nie będę jej przepraszać...

— Co ci szkodzi, kochany?...

— Poczekaj — podniósł palec — już ja to załatwię.

Poszedł do kuchni i Bogna przez otwarte drzwi słyszała, jak mówił:

— No, niech się Jędrusiowa uspokoi. Dziś mój ślub, a Jędrusiowa jest niegrzeczna, ale ja chcę, żeby знаła moją dobroć. Ma tu Jędrusiowa dziesięć złotych. No, proszę.

— Po co mi te pieniądze — odburknęła staruszka.

— Niech Jędrusiowa weźmie. Przyda się. No i dobrze. W porządku.

Wrócił do jadalni z zadowoloną miną i przymrużył oko:

— Słyszałaś?

— Owszem — powiedziała bez pochwały w głosie.

— Pieniądze, moja droga, to najlepsze lekarstwo na wszystko.

Spojrzała nań z przestachem:

— Chyba nie mówisz tego poważnie?...

Roześmiał się i wyciągnął do niej rękę:

— Ależ oczywiście, oczywiście, najdroższa. Żartowałem. Ale widzisz, w stosunku do służby, do osób, którym płacimy za ich pracę, takie — jakby to powiedzieć — odszkodowanie jest najprostszym wyjściem.

Bogna nic nie odpowiedziała. Zupełnie nie zgadzała się z nim, ale nie chcąc psuć dalej nastroju, postanowiła jeszcze powrócić kiedyś do tej sprawy.

Ślub odbył się cichy przy bocznym ołtarzu. Nie rozesłali zawiadomień i w kościele znaleźli się tylko najbliżsi krewni Bogny, stryjeczny brat Ewarysta, nauczyciel gimnazjalny z Galicji Feliks Malinowski i jedyny obcy — prezes Szubert. Borowicz nie przyszedł, chociaż przyrzekł solennie. Pod koniec obrządku zjawił się Jagoda, który jednak nie zbliżył się do nich i stał daleko pod filarem. Bogna była spokojna i nie odczuwała spodziewanego wzruszenia. Raczej była mocno zdenerwowana, co tylko wyczuliło jej spostrzegawczość. Widziała ciężko kłęczącego Szuberta, biały włos na żakiecie Ewarysta i dość wyraźne wypieki na jego twarzy. Lola Symieniecka zakryła się tak skrętami swoich srebrnych lisów, że widać było tylko jej ogromne szare oczy, ciekawe i obojętne. Dina przejęta była widocznie: za kilka miesięcy miał być jej własny ślub z redaktorem Karasiem.

Z największym zajęciem przyglądała się Bogna Feliksowi Malinowskiemu. Z tego, co opowiadał o nim Ewaryst, który w ogóle rzadko i niechętnie wspominał o swoich krewnych, domyślała się, że Feliks był osobą najbardziej szanowaną w ich rodzinie, swego rodzaju jej luminarzem i uznanym przedstawicielem. Wykładał literaturę w starszych klasach gimnazjalnych, a poza tym wydał kilka tomów własnych wierszy, podobno dużej wartości, chociaż niedocenionych przez krytykę. Przyjechał do Warszawy przed samym ślubem i Bogna zdążyła zamienić z nim zaledwie kilka zdań.

Wyglądał poważnie i zażywnie z krótką kwadratową blond brodą i zaznaczającym się brzuszkiem. Przypominał raczej zamożnego kupca, czy kamienicznika, niż poetę. W istocie by potrosze burżujem, gdyż ożenił się z panną, posiadającą dwie kamienice w Krakowie.

Bogna, niezwykle ostrożna w wyrabianiu sobie sądów o ludziach, starała się nabrać sympatii do tego jedyne go znanego sobie krewnego Ewarysta. Jednakże doznała pewnego zawodu. Spodziewała się poznać w Feliksie człowieka nie tyle może światowego, ile wysoce kulturalnego i dobrego. Pod obu tymi względami mogła wszakże mieć duże wątpliwości: nadmiar pewności siebie, zimne spojrzenie oczu i zadowolenie z własnej osoby, widoczne niemal w każdym ruchu, nie wywoływały wrażenia pociągającego. Nadto cała duża i solidna postać Feliksa zdawała się promieniować sytością. Sytość ta otaczała go aurą, rzucała się w oczy na odległość, wysuwała się na plan pierwszy.

Gdy po wyjściu z kościoła wsiadali do samochodu prezesa Szuberta, a on sam zaczął się żegnać i oświadczył, że chce się przejść, Feliks wpakował się do środka. Już to nie było zbyt delikatne. A poza tym, gdy Ewaryst, jak wypadło, zaproponował mu miejsce obok Bogny, Feliks usiadł bez słowa protestu.

— Niech i ja jeszcze raz w życiu — powiedział, lokując się wygodnie — odniosę wrażenie pana młodego.

Ewaryst wobec niego był uprzedzająco grzeczny, prawie mu nadskakiwał. Posunął się nawet do tego, że zaproponował mu przeniesienie się z hotelu na te kilka dni do ich mieszkania.

Na te pierwsze ich dni po ślubie!

Bogna już chciała dodać uwagę o niewygodach i dać Feliksowi do zrozumienia, że zaproszenia przyjąć nie powinien, lecz on sam podziękował:

— Bóg zapłać, ale już zostanę w Bristolu. Numer mam komfortowy, a gdy człowiek raz na rok zostaje słomianym wdowcem, to już woli che, — che, — mieszkać po kawalersku.

Ponieważ Bogna nie spodziewała się takiej odpowiedzi, poprawiło to jej humor. Jednak Feliks siedział u nich do kolacji i gdy wreszcie wyszedł, oboje czuli się zmęczeni.

— Z nim trzeba bardzo uważać — powiedział Ewaryst — gość przyzwyczajony do dostatku. W najlepszych sferach się obraca. Jakże ci się podobał?

— Owszem, bardzo miły — zapewniła Bogna.

— I tyś mu się podobała. Wiesz co powiedział?...

— Cóż takiego?

— Że mam gust!

— O!...

— Daj spokój, moja droga. Feliks zna się na tym.

— Na czym?

— No, na kobietach.

Podano kolację. Jędrusiowa już udobruchana, spoglądała na nich życzliwie. Chciała nawet coś powiedzieć, ale Ewaryst zaczął opowiadać o kamienicach Feliksa i o tym, jak mu zaimponował swoim tytułem dyrektorskim.

Bognę trochę bolało, że właściwie wszystko między nią i Ewarystem pozostało bez zmiany. Ani słowem nie wspomniał o ślubie i o tym, że są już małżeństwem.

Na dworze zaczął padać gęsty deszcz, od otwartych okien powiało chłodem i wilgocią. Na zagłębieniach asfaltu grube krople pluskały monotonicznie w małych kałużach, najeżonych piramidkami wody, zapowiadającymi długotrwałą słotę. Światło latarni wpadało obco i jaskrawo do pokoju. Z jadalni brzęczały nakrycia, chowane do kredensu.

Bognie zrobiło się smutno. Nie chciała tego, ale wciąż powracało na myśl zdziwione słowo: dlaczego?... Dlaczego nie jest inaczej?... Zaszła zmiana tak ważna, nastąpił tak zdecydowany zakręt w jej życiu, uzyskała to, czego tak bardzo pragnęła... Oto tam na fotelu siedzi kochający ją i kochany przez nią jej chłopiec, jej własny chłopiec śliczny, giętki i smukły, o wspaniałych płonących oczach i rzęsach, rzucających długie cienie na policzki. Spod wysoko podciągniętych spodni klasycznymi liniami rysowała się wąska kostka i prawdziwie piękna stopa w czarnym lakierku.

Uśmiechał się, nalewając sobie kawę i mówił:

— Ten czarny nektar byłby moją namiętnością, ale źle po nim sypiam, bo kawa zawiera kofeinę, a kofeina pobudza pracę serca.

Odpowiedziała coś nie ruszając się od okna i wróciła do upartej myśli: dlaczego?... Dlaczego jest szaro i monotonicznie, dlaczego nie może odczuć tego, co rozumie, bo przecie rozumie, że jest szczęśliwa... Przecie nie może być mowy o żadnym rozczarowaniu. To byłoby możliwe tam, gdzie istniało jakieś oczarowanie, poryw, egzaltacja, dziecinne marzenia, nie zaś świadoma i dojrzała ocena i miłość nie zaciemniająca rozsądku. A poza tym nie zdarzyło się nic, co by w czymś istotnym zachwiać mogło jej przeświadczeniem o słuszności swego kroku.

Zatem po prostu jakiś nastrój, reakcja nerwów, odprężenie i znużenie. Tylko to. A właśnie nie wolno takim nastrojom poddawać się. Właśnie należy wysledzić przyczyny takiego usposobienia i wyteńczyć wolę, by opanować jego skutki. Nawet słotę za oknami można odczuć jako zdarzenie pomyślne i miłe: oto oddziela ich dwoje od reszty świata, podkreśla zaciszność i pogodę ich mieszkanka...

Jeżeli nawet tak nie czuje, trzeba walczyć z nastrojami, które mogą zrujnować szczęście. Jakże często widywała wokół siebie istne spustoszenia, jakie zdarzają się w życiu dwojga ludzi wówczas, gdy nie umieją ani przewyciężyć chwilowych rozdrażnień, prze-

mijających zniechęceń i smutków, gdy nie zadają sobie trudu, by zagrać to, co wypada z roli wbrew chwilowemu usposobieniu.

Zbliżyła się do Ewarysta i przesunęła dłonią po jego włosach.

— Tak tu zacisznie u nas, prawda, kochanie?

— Cisza domowego ogniska — potwierdził, wciągając powietrze nosem.

— Zmęczony jesteś?

— To nie, ale buty trochę są za ciasne — sięgnął ręką do nóg i rozluźnił sznurowadła — czytałem gdzieś byczy dowcip. Posłuchaj: ciasne obuwie to prawdziwe nieszczęście, ale i ono ma wielką zaletę... Zgadnij jaką?...

— Nie wiem.

— ...Że przy nim zapomina się o wszystkich innych nieszczęściach.

Zaczął się śmiać i zacierać ręce. Bogna zrobiła wszystko, by śmiać się również, ale jakoś nie wychodziło.

— Weź pantofle — powiedziała.

— Co?... Mam już być takim przysięgłym małżonkiem?... — zaprotestował żartobliwie i objąwszy ją wpół posadził sobie na kolanach.

— Czyżby to było owym nieszczęściem, o którym zapominasz dzięki bucikom? — przytuliła się doń.

— Ależ nie, najdroższa, przeciwnie. To jest tak wielkie szczęście, że czuję się jak... jak okręt, który przybił do portu. Właśnie tak. Pomyśl tylko, czy to nie dużo? Ja, do niedawna tułacz i samotnik, mam eleganckie mieszkanie, żonę, której mi niejeden pozazdrości i nie byle jakie stanowisko. Czegóż mi więcej brak?

Pocałowała go w czoło, lecz on z lekka uchylił głowę i mówił dalej:

— Ale przysięgłym małżonkiem nie chcę być. To takie gminne, takie mieszczańskie. Nie, moja droga, mnie nie zobaczysz chodzącego po domu w pantoflach czy w szlafroku. Pantofle przydeptują miłość... Prawda?... Dobrze to sformułowałem?... Mężczyzna w domu powinien być pod każdym względem nienaganny. Wobec żony szarmancki, rycerski i zawsze gotowy do usług, żeby ludzie wiedzieli, że umie być dżentelmenem. Prawda? — Widzisz jakie mam w tej sprawie poglądy. Nie wywodzę się z arystokracji, ale dlatego nie mam przyjąć jej obyczajów, skoro jest piękny i comme il faut. Życie trzeba upiększać w miarę możliwości. To samo zresztą dotyczy żony. Zachować wszystkie formy, by nie obrzydzić sobie wzajemnie wspólnego życia. Nieprawdaż, najdroższa?...

Rozbawiło to Bognę i rozczuliło. Początkowo zdawało się jej, że Ewaryst poważnie wygłasza to swoje exposé małżeńskie, zrozumiała jego zamiar: chciał ją pouczyć, zabierał się do jej wychowywania, kochany chłopak, a zrobił to tak prostodusznie, tak pocziwie.

— Ależ tak, tak, mój jedyny — zarzuciła mu ręce na szyję.

Przygarnął ją mocno i po kilku pocałunkach zapytał półgłosem:

— A może byśmy się tak udali na spoczynek?

— O!... Jesteś taki... uroczysty — szepnęła.

— Przecie to nasza noc poślubna.

— Tak, najdroższy...

— Nie żałujesz?...

— Nie, nie... kocham cię, nawet wiedzieć nie możesz, Ew, jak bardzo cię kocham.

— I ja cię, najdroższa.

— Mój jedyny, mój chłopaku...

Krew tętniła gwałtownie w jej żyłach, oczy zasnuwały się nieuchwytną mgiełką, powietrze chwywane ustami między jednym a drugim pocałunkiem było ostre i drażniące. Zły nastrój minął, a przyszła noc, jak morze uderzające falami rozkoszy i zapadające się w głębię nieprzytomnego wyczerpania i bezsily. Po wieczornych smutkach, po szarych refleksjach, po dniu, z jego dokuczliwym posmakiem gorzkich zamyśleń — nie zostało śladu.

Ranek wstał jasny, pogodny, słoneczny. Na gałęziach drzew przed domem odbywał się masowy koncert wróbli, których świergot przenikał przezroczyste powietrze milionami szpilek, brzmiał, jak potok śrutu, zsypującego się po srebrnej blasze. Wśród rzędnych, poczerwieniałych i złotawych liści przylepione do najdrobniejszych gałązek ptactwo wyglądało, jak gęsto porośnięte jagody.

Z daleka dobiegały roześmiane głosy dzieci, bawiących się w sąsiednim ogródku.

Bogna wyprężyła ręce i powiedziała głośno:

— Nie trzeba myśleć, nie trzeba badać i analizować... Trzeba żyć. Żyć i pamiętać o dobrym, a zapominać o złym. Na tym polega cała sztuka.

Ostrożnie uchyliła drzwi i portierę: w pokoju Ewarysta panował półmrok. Spał wtulony w poduszki i spod kołdry widać było tylko jego ramię w różowej, pasiastej pidżamie i zwichrzony włosy.

Wyszła na palcach i starannie zamknęła za sobą drzwi.

— Umieć pamiętać i umieć zapominać, oto cała sztuka — powtórzyła sobie.

Tak zaczęło się ich życie: ranki jasne, pełne otuchy, zaufanie do losu i nadziei, dni szarzące ku wieczorowi i noce, które uczyły zapomnień.

Nie przyjmowali nikogo i nie składali wizyt. Wyjątkiem był kuzyn Feliks, ale i ten wkrótce wyjechał, wyjechał wcześniej, niż zamierzał, a to dlatego, że struł się w jakiejś restauracji linem po nelsonsku. Musieli go nawet pielęgnować i wysłuchiwać złorzeczeń pod adresem „warszawiaków” i ich zbrodniczych tajemnic kulinarnych. Gdy odprowadzili Feliksa na dworzec — zostali sami.

Zwykle do obiadu spędzali czas na Wiśle, obiad jedli w domu, po czym Ewaryst kładł się na godzinkę wypocząć. Bogna zaś zabierała się do tłumaczenia „Historii ustawodawstwa społecznego” de Martin’a na język polski. Od czasu do czasu miewała tego rodzaju zamówienia z wydawnictw naukowych i chociaż przynosiły jej niewiele zysku, z przyjemnością oddawała się tej pracy, gdyż interesowała ją sztuka odnajdywania w polszczyźnie ścisłych i wyrazistych odpowiedników danych zwrotów francuskich.

Okolo szóstej Ew wstawał i od niechcienia czytał to, co zdążyła napisać.

— Ty świetnie znasz francuski — powiedział kiedyś — a ja, chociaż w gimnazjum miałem z tego czwórkę, dziś już nic nie pamiętam. Zamiast robić przekłady, lepiej byś pomogła mi w przypomnieniu sobie tego języka.

— Ależ, kochany, z rozkoszą.

— Moglibyśmy prowadzić konwersację. Zwłaszcza teraz, na stanowisku wicedyrektora, no, a później... Do licha, przecież na tym chyba nie zatrzyma się moja kariera!... Obce języki zawsze mogą się przydać.

— Naturalnie — podchwyciła — znam ich pięć i jestem przekonana, że jeżeli tylko zechcesz... Bardzo się cieszę! Naprawdę, Ew, szalenie mi będzie miło!

— Aż pięć? — zdziwił się. — Poczekaj: francuski, niemiecki, angielski...

— Rosyjski i włoski — uzupełniła.

— Psiakrew! Nic mi o tym nie mówiłaś.

— No, nie pytałaś, a to nic nadzwyczajnego. Dora zna dziewięć.

Ewaryst strzepnął palcami:

— I po co to kobietom! Tyle języków... hm... To przecie majątek! Jakiś filozof powiedział nawet, że ile znasz języków, tyle razy jesteś człowiekiem, czy coś w tym guście. Ja, widzisz, nigdy nie miałem czasu, by się tego nauczyć. Jak sądzisz, w ile miesięcy wytrenowałbym się na fest, tak, żeby mówić jak paryżanin?...

— To trudno określić...

— Ale mniej więcej?

— Musisz mi dla próby przeczytać coś. O, na przykład węz stąd.

Ewaryst wziął książkę, przyglądał się przez chwilę, skrzywił się i zapytał:

— Nie masz czegoś łatwiejszego?...

— Zaraz poszukam w beletryście — zerwała się.

— A ty ile czasu uczyłaś się każdego języka?

— To trudno określić...

Wydobyła z biblioteczki jakąś powieść francuską, wyszukała łatwy ustęp i podała Ewarystowi. Zaczął czytać, jękając się bardzo, co przypisać należało zażenowaniu, które z widocznym wysiłkiem przezwyciężał, i z fatalnym niestety akcentem. Najgorzej brzmiały te dźwięki, których w języku polskim nie ma, również z końcówkami było źle. Natomiast „r”, które w jego polszczyźnie brzmiało wyraźnie, tu niepotrzebnie zastępował jakimś niedorzecznym charkotem, mającym naśladować wymowę paryską. Poprosiła go z kolei o przekład przeczytanego ustępu, lecz tu okazało się, że rozumie zaledwie kilka słów, mieszając czasowniki z rzeczownikami.

Zamyśliła się, a on wstał i zaczął chodzić po pokoju, chrząkając raz po raz. Był widocznie zawstydzony i zdenerwowany.

— No i jak? — zapytał — niżej wszelkiej krytyki? Co?...

— Trzeba popracować — odpowiedziała łagodnie.

— Co się na nic nie przyda — zakończył, nadrabiając miną.

— Ależ bynajmniej, kochanie. Lepiej jednak będzie zacząć od początku, od gramatyki i pisowni.

— Pisownia i gramatyka?... To mi nie potrzebne. Szkoda na to czasu. Ja chcę tylko nauczyć się konwersacji. O, swobodnie mówić. Przynajmniej tak, jak Borowicz, jeżeli nie tak, jak ty.

— Stefan lepiej mówi ode mnie, ale nie o to chodzi. Rzecz polega na tym, że nie można poprawnie mówić nie znając ducha języka, jego morfologii, fizjologii, mechaniki. Stanowczo radziłabym ci zacząć od początku.

Zgodził się. Odtąd zaczęli codzienne lekcje. Widziała jego dobrą wolę, nie mogła mu odmówić pilności. Często nawet na swoje poobiednie drzemki zabierał książki i czytał głośno. A jednak lekcje te stały się dla Bogny istną męczarnią. Każda jej uwaga, poprawka, wskazówka irytowała go do tego stopnia, że krzywił się, obrzucał ją nienawistnymi spojrzemieniami, zawzięcie sprzeczał się, że wymówił tak, a nie inaczej, że jego zdaniem jest to kwestia sporna i należy odwołać się do jakiegoś autorytetu. Czasami zniecierpliwiony mówił pobłażliwym i łaskawym tonem:

— No, już dobrze, dobrze, jedźmy dalej.

Pomimo wszystko robił postępy. Okazywał tyle chęci do pracy i wytrwałości, że należało to uznać. Dlatego Bogna umiała i mogła znosić te godziny prawdziwych tortur, podczas których nieraz z trudem hamowała łzy. Gdyby nie świadomość, że irytacja i opryskliwość Ewarysta są tylko wyrazem jego niezadowolenia z samego siebie, że on musi bardzo cierpieć, że to w jego rozumieniu poniża jego ambicję — nie zdobyłaby się na tyle wysiłku. Początkowo nie zdawała sobie z tego sprawy i była przerażona wrogimi błyskami w jego oczach. Zrozumiała jego stan psychiczny dopiero wówczas, gdy spostrzegła, że natychmiast przerywa lekcję, ilekroć Jędrusiowa wejdzie do pokoju. Nie chciał tego wyraźnie powiedzieć, lecz wstydził się tych lekcji. Czyż można mu było brać za złe takie niesłuszne, może dziecinne, ale jednak ludzkie pojmowanie swojej godności?...

Zresztą z końcem lekcji zmieniał się natychmiast. Stawał się czuły, serdeczny, wesoły, jakby starając się wynagrodzić jej swoją opryskliwość i dać do zrozumienia, że czuje dla niej wdzięczność, chociaż o tym nie mówi.

Lekcje te sprawiły jeszcze jedno: jakoś mimo woli wytworzył się między nimi trochę dziwny, nieuchwytny i przez obie strony maskowany stosunek nauczycielki i ucznia. Coraz częściej Bogna oczywiście z najdalej posuniętą delikatnością zwracała mu uwagę na niewłaściwość używania bardziej rażących słów i zwrotów już i w języku polskim, na pewne chropowatości form jego sposobu bycia. Znając nadmierną drażliwość Ewarysta, posługiwała się przy tym wielce skomplikowaną i misterną aparaturą wybiegów od żartobliwej zgrozy, aż do przenośni i przykładów, od ostrożnych aluzji aż do naiwnego zdziwienia.

Reagował na to w sposób czasem przykry, lecz nie miała mu tego za złe. Wiedziała w jakich warunkach wyrósł i wychował się, nie mogło ująć jej uwagi, że ciążył mu jego brak ogłady, lecz widziała również jak bardzo się stara zapamiętać wszystko i uzupełnić swoje braki. I kochała go za to jeszcze bardziej. Roli swej nie pojmowała bynajmniej jako pedagogicznej. Była to najwycyżniejsza pomoc, udzielana komuś bliskiemu, najbliższemu, którego chciało by się widzieć nie ideałem, broń Boże, lecz swobodnym, miłym i powszechnie lubianym człowiekiem. Nie znajdowała też, by Ewaryst nie miał kultury. Brak kultury zaznaczałby się właśnie wtedy, gdyby nie starczało mu woli wyzbycia się pewnych niekulturalnych nalotów, gdyby nie żywił pragnienia ulepszenia, udoskonalenia siebie.

Wprawdzie dotyczyło to tylko rzeczy zewnętrznych, lecz sam fakt istnienia takich, a nie innych jego dążeń, sama jego wyczulona ambicja i wysokie poczucie godności świadczyły o jednoczesnym doskonaleniu się wewnętrznym.

Nie wiele wiedział o malarstwie, muzyce, stosunkowo słabo znał literaturę, lecz zawsze chętnie wdawał się w rozmowę na te tematy, słuchał z zainteresowaniem, a sądy wygłaszał ostrożnie i powściągliwie, trafne, choć może nieco stereotypowe.

Zresztą o bogactwie psychiki Ewarysta świadczyło już to jedno, że kochał Bognę jasną, prostą miłością.

Wieczorami chodzili na dłuższe spacery, lub wstępowali do kina. Na filmach znał się wybornie, pamiętał nazwiska wszystkich wybitniejszych aktorów i aktorek, oceniał zalety reżyserii i scenariusza i zajmował się tym do tego stopnia, że co tydzień kupował kilka czasopism filmowych.

Kiedyś powiedział ze śmiechem:

— Wyobraź sobie, że przed kilku laty omal nie zostałem sam gwiazdorem.

— Ty? — zdziwiła się.

— A tak. Powiedziałas to takim tonem, jakbyś uważała, że nie potrafię.

— Nie to, ale nie wspomniałaś mi o tym.

— Bo to był wypadek nic nie znaczący.

— Aż wypadek?

— Wpadł mi w ręce niemiecki tygodnik „Filmia”, gdzie urządzono konkurs na amanta. Pomyślałem sobie: kupić nie kupić, potargować można i wysłałem fotografię.

— Do tego tygodnika?

— Tak.

— I wydrukowali?

— No wiesz — oburzył się — zapewniam cię, że z tych kilkuset, którzy posłali swoje, ja miałem najlepsze warunki.

— Jakto warunki?

— No, urodę.

— Ach tak, ale czy potrafiłbyś być aktorem?

— Dlaczego nie? Występowałem kiedyś w teatrze amatorskim...

— Gdzie?

— Na prowincji, ale w każdym razie miałem możliwość sprawdzić, że talent mam. Wszyscy zachwycali się.

— No i cóż z tym konkursem?

— Ach... — machnął ręką.

— Nie udało się?

— Mogłem przejść, miałem sporo głosów, ale w takich rzeczach trzeba dopilnować. Gdybym wówczas pojechał do Berlina, pokazał się osobiście, złożył wizyty członkom jury... Zresztą Niemcy, rozumiesz, niechętnie wyróżniliby Polaka. Szowinizm pruski. Jednakże w rezultacie zająłem czternaste miejsce! To też nie było co. Pierwsze otrzymał jakiś Berger. Powiadam ci, bez najmniejszych warunków. I oczywiście nic o nim nie słyhać. Zaangażowali go do filmu „Kajdany namiętności”, grał, jak szewc, pewno widziałas? Szło w „Apollo”?

— Nie.

— Na tym się skończył. Od razu wiedziałem, że tak będzie. A takiego Anatola Tramma zepchnęli na ósme miejsce i co się okazało?!... Sława, gwiazda pierwszej klasy. Dziś już jest w Hollywood magnatem, zarabia osiemset tysięcy dolarów rocznie! Miliarderki za nim szaleją i ożenił się z rosyjską wielką księżniczką. Ale przypatrz mu się kiedy, jaki on podobny do mnie, tylko nos ma znacznie brzydszy i o te dwa zęby skrzywione.

Podniósł górną wargę i wskazał przednie siekacze.

— Biedaku — śmiała się serdecznie Bogna — tak ciebie pokrzywdzono.

— Wszystkie te konkursy to zwykłe oszustwo. Protekcja, względziki, zakulisowe intrygi.

— I mój kochany Ew nie został gwiazdorem, nie zarabia milionów, nie ożenił się z wielką księżniczką, a został skazany na mnie.

— Kariera nie zając, nie ucieknie — rozpozgodził się — a takiej żony to i między księżniczkami nie znalazłbym.

— Mój ty kochany! Więc nie żałujesz?

— Pal ich sześć! Nie żałuję. Tym bardziej, że widzisz, aktor to zawsze trochę niepoważne. Musi robić miny dla zabawienia gawiedzi, a gdy się zestarzeje to wylewają go na pysk i koniec.

— Jak ty zabawnie to mówisz „wylewają na pysk”! To znaczy że wyrzucają na bruk?
— zapytała prostodusznie — w tym żargonie filmowym są niezbyt wykwintne zwroty.

Chrząknął i potwierdził:

— Właśnie. To środowisko poza tym nie odpowiada mi. Wszystko tam jest dęte.

— Jakie?

— Dęte, hm... — to znaczy sztuczne w tym... w żargonie filmowym. A ja raczej widzę swoją karierę gdzieś w solidnej branży... O, przemysł na przykład.

Przeszedł się po pokoju i dodał sentencjonalnie:

— Nigdy nie można wiedzieć, czy to, co w danej chwili uważamy za pech, nie przyniesie szczęścia.

Pochylił się przy tym i stuknął trzy razy w stół od spodu. Był przesądny, jak lotnik, a chociaż śmieszko to po trosze Bognę, nie dawała tego poznać po sobie. Przesady zaliczała do dziedziny, w której z grubsza mieściły się poglądy społeczne, polityczne i religijne, sprawy gustu i smaku, czyli wszystko to, co wymagało najdalej sięgającej tolerancji. Zgadzała się z Miszutką Urusowym, który poza wszystkim innym dlatego stawał w obronie przesądów, że dopatrywał się w nich nieomylnego znaku istnienia w duszy ludzkiej poczucia nadprzyrodzoneści.

— Jest to jakby świadectwo szlachetności rudy, z której kiedyś da się wytopić czyste złoto głębokiej wiary — mówił z przekonaniem — wolę to, niż niebezpieczny logiczny stosunek do zagadnień bytu.

I dalej tym samym tonem przytaczał przykład:

— Mój felczer, który pielęgnuje wspomnienie mojej biednej nogi, ma duże zaufanie do proroczych właściwości swoich snów. Ten jego przesąd sprawił już wiele przykrości najniewinniejszym ludziom, gdy kogo zobaczy we śnie, ten niechybnie umiera w ciągu kilku dni. Dlatego ja osobiście, w miarę moich sił, staram się śnić mu się możliwie rzadko.

Kochany Urusow, który nie wiedział nic o ślubie Bogny, gdyż bawił na zjeździe emigrantów rosyjskich w Pradze, był też pierwszą osobą przerywającą odosobnienie młodego małżeństwa. Bardzo przeproszał, winał, życzył wszelkich szczęśliwości i zapowiedział, że natychmiast wychodzi, lecz w rezultacie został na kolacji i siedział do pierwszej w nocy.

Oboje zresztą byli mu radzi. Bogna, gdyż żywiła dlań prawdziwą sympatię, Ewaryst dlatego, że — jak zauważyła — trochę się snobizował na punkcie arystokracji. Uważała to za drobną i dostatecznie powszechną wadę, która w Ewarystyce tym bardziej nie mogła dziwić, że pochodząc ze środowiska skromnego, żywił przeciw szersze życiowe aspiracje i było naturalne, że chciałby podnieść poziom swoich stosunków.

Zresztą, jeżeli chodziło o Urusowa, był to człowiek, którym nie podobna było nie zachwycać się. Wysoka kultura jego umysłu i uczuć, pogoda, z jaką znosił swoją biedę i kalectwo, wreszcie niemal kobiecy wdzięk i świeżość reakcyj psychicznych, niezarta tragicznymi przeżyciami, składały się na całość tak ujmującą, że Miszutka był dosłownie rozrywany przez licznych swoich znajomych. Jego zażyłość z Bogną wynikała stąd, że kolegował kiedyś w Korpusie Paziów z jej stryjcem Maciejem Brzostowskim, a poza tym od lat przyjaźnił się z rodziną Borowiczów, z którymi był pokrewniony przez babkę, Dowmuntównę z domu.

Bogna bardzo ceniła sobie zdanie Miszutki i teraz, korzystając z chwilowej nieobecności Ewarysty, zapytała po prostu:

— Podoba ci się?

— O, zapewne — skinął głową — znałem go zresztą dawniej. O ile się nie mylę, jest ścisłą kopią tego, czegoś szukała.

— Dlaczego nie oryginałem? — zaśmiała się.

— Bo widzisz... jakby tu powiedzieć...

— Szczerze! — zachęciła go.

— Ma się rozumieć. Otóż oryginał tego typu miałby już lat ze sto. Był to prawdopodobnie jeden ze zdobywców życia z czasów rozkwitu drugiego Cesarstwa. Wiesz, że nie należą do konserwatystów i gdybym zobaczył wówczas w Lasku Bulońskim zbyt świeży lakier powozu i zbyt nowe liberie służby owego oryginału, nie tylko nie zżymałbym

się, lecz zgodliwie uchyliłbym kapelusza w odpowiedzi na ukłon nowego pana, w którego krwi więcej jest czerwonych ciałek niż rtęci, którego energia witalna podbije Paryż, Francję, Ziemię i kilka pobliskich planet.

— Miszutka, jesteś zbyt enigmatyczny.

— Nie sądzę.

— Ale dlaczego kopia?

— Ach, oryginał był tak udatny, że życie, zapoznawszy się z Darwinowską teorią o przetrwaniu najlepiej przystosowanych, przystąpiło do masowego kopiowania. Na szapirografii niektóre odbitki wychodzą słabiej, ale twój mąż jest, zdaje się, pierwszorzędnym, doskonałym okazem.

— Nie lubię tak — skrzywiła się — powiedz po prostu: podoba ci się?

— Bardzo ładny...

— Miszutka!

— Nie dałaś mi skończyć. Bardzo ładny i miły. Odbitka dobra, przy nieznacznym retuszu, dokonanym twoją subtelną rączką, odbitka nabierze reliefu w jednych miejscach, a straci zbędne wypukłości w innych.

Wszedł Ewaryst i dosłyszawszy ostatnie słowa, zapytał:

— Mówicie państwo o fotografii?

— Tak — potwierdził Urusow — zrobiłem teraz masę zdjęć w Czechosłowacji.

I rozmowa zeszała na kwestie obojętne.

Bogna nie była zadowolona z zawołanych odpowiedzi Urusowa. Polegała tu więcej na swoim zmyśle obserwacyjnym: obaj rozmawiali ze sobą swobodnie i z zajęciem, a już samo to, że Miszutka nie korzystał wcale ze swego talentu ironizowania, zdawało się świadczyć o jego życzliwej ocenie Ewarysta.

Na pożegnanie powiedział:

— Zakłóciłem wam okres kwarantanny, tak pięknie nazywającej się w waszym języku miodowym miesiącem. Wybaczone mi to przekroczenie prohibicji. To wasza jednak wina. Młode małżeństwa powinny przyklepać na drzwiach ostrzeżenie: „Uwaga! Prąd wysokiego napięcia”. Ale nie obawiajcie się, po upływie kwarantanny będę zaglądał do was częściej. Na razie do widzenia i... Boże dopomóż!

— Jaki to cudowny człowiek — zawołał Ewaryst, gdy zostali sami — pan z panów, książę, prawda, że goły, ale zawsze książę i żadnych fum, żadnego zadzierania nosa. To rozumiem. Denhoff jest tylko baronem, a bez kija do niego nie przystępuj. Tylko wiesz... hm... to jakoś dziwnie, że on z tobą jest na ty, a ze mną na pan. Jak myślisz?...

— Chyba nie sprawia ci to przykrości, że jestem z nim na ty?

— Ależ skąd! Broń Boże! Tylko, czy nie sądzisz, że byłoby przyzwoiciej, gdyby on i ze mną wypił na „brudzia”.

— Czyż to nie obojętne?

— Owszem, ale wołałbym. Przy sposobności zaproponuj to mu, bo mnie nie wypada. Gotów pomyśleć, że imponuje mi jego książęca mitra.

— Dobrze, najdroższy — zgodziła się z uśmiechem.

Ewaryst był w świetnym humorze, a ponieważ z racji wizyty Miszutki przy kolacji było wino, rozdokazywał się nawet trochę i był szczególnie czuły.

Pomimo to nie zapomniał o swoich pacierzach. Co rano i co wieczór odmawiał je zawsze, klęcząc przed łóżkiem.

Również każdej niedzieli chodził na mszę, a zawsze, ilekroć mijał kościół, uchyłał kapelusza. W tej jego pobożności nie było przesady, nie było zarówno demonstracji, jak i ukrywania się. Nie egzaltował się swą wiarą, nie wtrącał się w cudze sprawy religijne, nie apostołował. Spełniał to, co zgadzało się z jego przeświadczeniem, nie wstydił się tego i Bogna ceniła w nim to bardzo. Właśnie taki stosunek do religii dowodził kultury wrodzonej.

Dzień, w którym doszła do tego wniosku był jednym z tych, jakie napełniały ją radością. Pomimo bowiem powziętego postanowienia nie szukania plam na słońcu, nie analizowania — coraz częściej musiała bronić się przed tym, czego nie chciała nazwać rozczarowaniem, a co w każdym razie zmuszało do powątpiewania o trafności dawnej oceny Ewarysta. Ta samoczynna, mimowolna, narzucająca się rewizja zaczęła się od nowej, drobnej awanturki z Jędrusiową. Rzecz sama w sobie była na wskroś błaha, lecz postawiła

pod znakiem zapytania to, co Bogna uważała u niego za męską twardość charakteru, za wolę nie znoszącą oporu i za usposobienie sangwiniczne, za tę może czasem i pozbawioną hamulców, lecz szlachetną porywczosć, za brutalność nie kolidującą z rycerskością.

Owo zajście zachwiało tym przekonaniem Bogny, a dalsze obserwacje jeszcze bardziej je podważyły. Oczywiście nie był gburem, ale zdarzało mu się zachować się niegrzecznie wobec służącej, stróża, czy listonosza, traktować ich z góry, podnosić głos, lub przybierać ton wzgardliwy.

Było to nad wyraz przykre i Bogna zaczęła z tym walczyć, lecz on zdawał się wprost nie rozumieć jej niezadowolenia:

— Kto bierze za swoją robotę pieniądze — mówił — musi spełniać obowiązki, a jeżeli nie, zasługuje na obsztorcowanie.

— Nie chodzi mi o kogoś innego, lecz o ciebie — tłumaczyła.

— Ja się patyczkować z byle chamem nie lubię.

— Ależ unosisz się, najdroższy i używasz wyrazów...

— Gdy mówię o chamie nie będę dobierał salonowych słówek. Dla wszelkiego tałałajstwa moja metoda jest najlepsza. Inaczej wleźliby człowiekowi na łeb... chciałem powiedzieć na głowę.

To było jedno, a drugie, że zbyt pochopnie wypowiadał sądy o ludziach, że przeceniał wartość bogactwa i często według skali majątku taksował znajomości i stosunki. Tłumaczyło się to wprawdzie tym, że sam będąc od dziecka w ustawicznym zmaganiu się z niedostatkiem, musiał nabrać niezdrowej czci dla pieniędzy, ale przecież usprawiedliwienie takie nie wystarczało.

Poza tym wszystkim szybko dostrzegła w nim kilka drobnych przywar, lecz do tych nie przywiązywała większego znaczenia, tak, jak i do niektórych upodobań Ewarysta, które ją raziły.

Tym namiętniej jednak doszukiwała się w nim zalet, a znalezienie każdej nowej równowazy tamte bolesne odkrycia.

— Cóż — mówiła sobie — nie ma człowieka bez wad. Byłabym niemądra chcąc w kimkolwiek widzieć ideał dlatego tylko, że mnie się podobało w nim ulokować swoje uczucia.

Pod koniec urlopu Ewarysta zdecydowali się złożyć wizyty. Było ich w planie niewiele: państwo Pajeccy, państwo Karasiowie, ciotka Symieniecka, dyrektorstwo Jaskółscy, no i prezes Szubert, oczywiście z tym, że wizyta u niego nie mogła niczym przypominać konwencjonalnego obowiązku towarzyskiego. Tam należało „wpaść” na kieliszek dębniaku, klonowca, czy wina owocowego i właśnie od tego „wpadnięcia” zaczęli.

Szubert był zajęty okopywaniem w ogrodzie krzaków róż na zimę. W spodniach i koszuli ze zgrzebnego płótna z nienakrytą szpeciniastą głową i rękami ubłoconymi po łokcie wymachiwał łopatą, podśpiewując pod nosem jakąś piosenkę, której melodii nie można było ustalić z dwóch przyczyn: po pierwsze nie miał za grosz słuchu i nielitościwie ryczał, po drugie, przerywało mu potężne sapanie. Jednak już od furtki odróżnili powtarzające się słowa refrenu:

— Oj, gudy, gudy dyk, młoda krowa, stary byk...

Ewaryst zrobił oko do Bogny i zachichotał:

— A to opera!

— Prezesie! — krzyknęła Bogna — hop! hop!

— Hop! hop! — powtórzył Ewaryst.

Szubert wbił w ziemię łopatę, a ponieważ biło mu w oczy zachodzące słońce, przysłonił oczy ręką i zawołał:

— Oho! A kogo to wszyscy diabli?... O, do stu piorunów! To pani?

— Dobry wieczór, kochany prezesie.

— Uszanowanie panu prezesowi — wesóło podniósł kapelusz Ewaryst.

Szubert rozłożył ręce i pocałował Bognę w czoło:

— Pokaż że się kobieto! Jeszcześ wyładniała... A, Malinowski, jak się pan masz.

Wyciągnął doń rękę i na dłoni Ewarysta zostawił czarne plamy, a widząc, że ten obciera je chusteczką, uspokoił go:

— To nic, zwykła ziemia. Ziemia nie brudzi, kawalerze.

— *Tempi passati* — nadrabiał miną Ewaryst — *tempi passati*, panie prezesie. Kawalerstwo minęło jak dym z papierosa. Jestem żonaty.

— Co? — zdziwił się Szubert — a prawda! To niema znaczenia, mój panie Malinowski. Są ludzie, którym do grobowej deski, w obecności ich wnuków i prawnuków trzeba mówić „panie kawalerze”. No, Bogna, niechże się pani pokaże. To ładnie tak zapominać o starym przyjacielu?

— Nasz miodowy miesiąc — uśmiechnęła się.

— Nie wychylaliśmy się z naszego ula — dodał Ewaryst.

— Dlaczego z ula?... Aha!... Ale uważasz pan, to niebezpieczne porównanie.

— Czemuż niebezpieczne, panie prezesie?

— Bo dla Bogny w ulu jest rola pszczoły, ale pan chyba nie zabiegasz o tytuł trutnia?

Wybuchnął śmiechem i klapnął Ewarysta zamasyście po ramieniu, zostawiając ślad na jasnej marynarce. Ewaryst śmiał się również, powtarzając „co to, to nie”, lecz Bogna wyczuła, że rubaszne przycinki prezesa muszą mu być przykre. Zaczęła więc wypytywać o różę, o nowe zamierzenia Szuberta w ogrodzie i w laboratorium, czym odwróciła rozmowę na sprawy o tyle zajmujące gospodarza, by dał spokój Ewarystowi. Po trochu bała się porywczoci męża, ale ten widocznie należycie oceniał uszczypliwe uwagi prezesa, gdyż był w doskonałym humorze, uprzejmy, wesoły i uprzedzający. Z ochotą nawet zabrał się do odepchnięcia taczek z wykopaną ziemią aż pod parkan, a na nową prowokującą uwagę odpowiedział szczerym śmiechem.

— Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze — powtarzała w myśli Bogna — i Szubert i inni muszą przekonać się, jaki to dobry chłopak, polubią go, tylko niech zblizną się doń, niech mają czas wyrzec się swoich uprzedzeń.

I rzeczywiście prezes udobruchał się zupełnie. Rozmawiał z Ewarystem życzliwie, objaśniając mu szkodliwość jakiegoś gatunku chrząszczy, tłumacząc swój system nawadniania ogrodu i działanie chemicznej kąpieli, która ratuje agrest przed pleśnią. Ewaryst wypytywał z wielkim zajęciem o wszystko, a gdy w odpowiedziach prezesa znalazła się jakaś zaczepka, Bogna czujnie wstawiała kilka swoich zdań i tak po upływie godziny ustalili się nastrój całkiem już miły i swobodny.

Szubert zaprosił ich do środka, do ładnej willi, z czerwonej cegły, wyglądającej z zewnątrz prawie pretensjonalnie, lecz wewnątrz przypominającej warsztat stolarski, skład nasion i w ogóle rupieciarnię. Bogna była tu już nieraz, lecz Ewaryst musiał ukrywać zdziwienie. W całym domu nie było jednego mebla, a sprzęty, stoły, krzesła, taborety, szafy, z których dosłownie wysypywały się książki, niezliczone półki obstawione doniczkami, butlami i słoiczkami, wykonane były z nieheblowanych desek. Na podłodze, na rozesłanych płótnach i gazetach leżały kupy nasion, cebulek i korzonków. Po kątach stały ogromne gliniane gąsiorzy, blaszanki i szklane balony, oplecione wikliną, na ścianach wisiały części garderoby gospodarza, siatki, grabie i oprawne dyplomy z wystaw ogrodniczych.

Na głośnie pukanie prezesa zjawiała się stara kobiecina w czepku, babcia Kamińska, gospodyni prezesa, milcząca starowina, blisko dziewięćdziesięcioletnia wieczna ofiara despotyzmu „panicza”.

— Niechno babcia Kamińska da nam czegoś dobrego do wypicia. No, co się gapi jak ciele na malowaną karetę? Z życiem, z życiem, ruszać się! Dębniaku im damy. Zobaczycie co to za delicje.

Po chwili staruszka przyniosła pękaty dzbanek i szklanki, a dla gospodarza gruby, fajansowy kubek z mlekiem, garnuszek miodu i kromkę czarnego chleba.

— Pijcie, nalewajcie sobie i pijcie. Prawdziwy dębniak — zachęcał Szubert — na patoce pędzony. Tego już w Polsce nigdzie nie dostaniecie. Ludzie wolą fabryczne paskudztwa, a tradycyjne napitki staropolskie idą w niepamięć. Ale jeszcze ja żyję. Co się pan na mnie gapisz? Oczywiście nie jestem polskim szlachcicem. Pochodzę, panie, z bawarskich chłopów. Mój dziad na psach do Polski przyjechał, ale to nie zmienia smaku dębniaku, ani faktu, że taki dobry ze mnie Polak, jak i z pana. Nawet lepszy. No, pijcie, pijcie.

— A pan prezes tylko mleko?

— Nie pańska sprawa. Piję mleko, bo mi smakuje. Baaabciu! Babciu!... Dajno im jeszcze agrestowego!

Dębniak i kilka gatunków win owocowych były istotnie wyborne. Szubert rozgadał się o swych projektach rozwinięcia w kraju produkcji swych wytworów na wielką skalę, Ewaryst dorzucał uwagi o pojemności rynku i możliwościach wywozu.

Było już ciemno, gdy prezes odprowadził ich do furtki i serdecznie pożegnał.

Szli jakiś czas w milczeniu, gdy zaś znaleźli się na Puławskiej Bogna powiedziała:

— Jaki to złoty człowiek.

— Fuuu — odetchnął Ewaryst — wolałbym drzewo rąbać, niż z nim przestawać.

— Mówisz to na serio?

— Masz ci los! Gdzież tu miejsce na żarty? To chyba ty żartujesz? Brudas! Cały rękaw mi zawałał, aż wstyd iść po mieście. Całe szczęście, że ciemno. Przy tym myśli, że mu wszystko wolno, bo jest moim zwierzchnikiem. Arogant.

Bogna zdziwiła się szczerze:

— Zdawało mi się, że czułeś się u niego dobrze?

— Ja? — wybuchnął ironicznym śmiechem — ja? Ależ z prawdziwą rozkoszą nawymyślałbym mu od gburów i chamów. Mieszka, jak świnia, przy jedzeniu mlaska językiem, jak kundel, a te swoje głupie zaczepki uważa za dowcipy. Nie potrzebował mówić, że pochodzi z chłopów. Od razu to widać. Już ja bym mu zadał bobu, gdyby nie to, że...

Urwał i zawzięcie machnął laską.

— Mylisz się, Ew, to złote serce i bardzo subtelny człowiek. Nie można tak powierzchownie oceniać ludzi, zwłaszcza tych, którym winno się wdzięczność...

— Toteż może nie byłem dlań grzeczny?

— Nie chodzi o to jakim byłeś, lecz co o nim sądzisz.

— Otóż sądzę, że mam zbyt delikatne nerwy, by znosić takie towarzystwo. I proszę cię, na przyszłość uwolnij mnie od wizyt u Szuberta. Będę go i tak miał po uszy w biurze... Jak mogą takiemu człowiekowi, bez żadnych form, bez prezenjacji, bez dystynkcji, powierzać prezesurę, stanowisko tak wysokie! Nie, moja droga. Mnie nic nie obchodzi jego złote czy tam brylantowe serce. Od ludzi, z którymi obcuje, wymagam tego, co i od siebie, dobrego wychowania, światowych manier i przyzwoitości.

Bogna jeszcze próbowała wytłumaczyć mu różnicę między żądaniem od ludzi form zewnętrznych nie rażących, a znajdowaniem ich wartości wewnętrznej, lecz nie chciał się zgodzić.

W każdym razie pocieszała się tym, że miał dość wyrobienia, by panować nad swym niezadowoleniem. Bądź co bądź na pewno podczas bytności u Szuberta zyskał jego sympatię i umiał przedstawić się w korzystnym świetle. A to już było wiele.

Nazajutrz odwiedzili ciotkę Symieniecką, gdzie przesiedzieli zaledwie pół godziny, gdyż wszystko odbyło się bardzo oficjalnie. Ciotka w tonie, w sposobie zwracania się, nawet w spojrzeniach, robiła tak wyraźną i umyślną różnicę między Bogną a Ewarystem, że Bogna sama czuła się dotknięta i bała się, że Ewaryst się obrazi. Jakże dobrze znała ton ciotki lodowato uprzejmy, te zdania okrągłe i pytania prawie impertynenckie, którymi „bawiła” zawsze tych, których chciała przekonać, że ich obecność w jej towarzystwie jest na wskroś przypadkowa. Na szczęście przyszła Dina i jako tako uratowała sytuację, zajmując Ewarysta rozmową o golfie. Lola siedziała milcząca i w jej ogromnych szarych oczach, zwróconych na Ewarysta z jakimś nieprzyjemnym uporem, błyskały jakby iskierki ironii. Odpowiadała na pytania matki krótkimi „tak, mam”, „nie, mam” i zdawała się cieszyć nastrojem, który po prostu przytłaczał Bognę. Sztynny Alfred podawał kawę, której zresztą nikt nie tknął. Ewaryst siedział jak na szpilkach. Gdy wreszcie wyszli, Bogna, spodziewając się wybuchu złego humoru męża, powiedziała:

— Nie rozumiem, co się cioci stało. Musiała mieć jakąś przykrość. Zawsze bywa u niej bardzo miło. Zobaczysz, że to się zmieni, gdy się zbliżysz z nimi.

Mówiła nieprawdę. Rzeczywiście w domu ciotki Symienieckiej czuła się zawsze doskonale, lecz wiedziała, że dzisiejszy nastrój był adresowany wyłącznie dla Ewarysta i że on nie mógł się w tym nie spostrzec. Ku jej zdziwieniu było jednak inaczej.

— Owszem — powiedział Ewaryst — bardzo mi się ten dom podobał. Twoja ciotka to prawdziwa dama. Takie właśnie lubię. No i szyk! Pałacowe mieszkanie. Od razu widać, że tam cała arystokracja bywa. Ubiegłej zimy przechodziłem tam raz wieczorem aleją Róż i widziałem, jakie samochody stały przed ich domem. Musiał być jakiś bal. Same luksusowe limuzyny... Owszem, bardzo przyjemne...

Wieczorem tegoż dnia zapytał:

— Czy to jest przyjęte w wyższych sferach, że z mężem kuzynki mówi się na pan?...

— Dlaczego o to pytasz? — zdziwiła się — to jest kwestia życia się.

— Ale będziemy tam bywali?

— Oczywiście.

— Jak myślisz, czy twoja ciotka... czy podobałem się jej?

— Kochanie — nieszczerze zaśmiała się Bogna — ona już ma prawie sześćdziesiątkę!

— Ależ ja nie w tym znaczeniu! Sądzę, że wywarłem na niej dodatnie wrażenie. Była ze mną bardzo uprzejma. Prawda?

Bogna spojrzała nań podejrzliwie, lecz przekonała się, że mówił szczerze. Ponieważ jednak byłaby dla niej bolesna taka dezorientacja Ewarysta, powiedziała:

— Zapewne. Jednakże nie należy oczekiwać od niej szczególniejszej życzliwości. Może się to jeszcze zmienić.

— Mówiła ci coś? — zaniepokoił się.

— Ależ bynajmniej. Tylko widzisz, ona umie być czasami bardziej miła.

— Wspaniała kobieta — zawyrokował szczerze — również panna Dina bardzo sympatyczna. Nie rozumiem dlaczego ona wychodzi za tego Karasia. Taki zarozumiały facet i w dodatku goły. Ile ona ma posagu?

— Nie wiem, coś około miliona.

— Fiuu! — gwizdnął — milion?! O, do diabła! I pomyśleć, że obłowi się taki sobie pan Karas. Czym on właściwie jest? Redaktor. To żadna pozycja.

— Jest świetnym krytykiem i bardzo inteligentnym, bardzo ujmującym człowiekiem. Znasz go przecie.

— Znam. Brzydki jak noc, prawie łysy i ma głupi, zjadliwy wyraz twarzy. — I taki dostanie milion do łapy. Szczęście jest ślepe. Tak... jest ślepe...

Zamyślił się i dodał:

— A panna Lola to taka skromniutka.

— Lola?

— Tak. Wciąż milczy. Widocznie krępuje się matki. Pani Symieniecka musi je ostro trzymać. Bardzo eleganckie panny. Co to jednak znaczy urodzenie i pieniądze. Moja droga, nie martw się. Jeszcze i ja się dorobię. Życie przed nami. Nie martw się.

— Ależ ja się nie martwię — śmiała się Bogna — a pieniędzy mamy dość. Powiedz, czego nam brakuje?!...

— No przypuśćmy. Przydałoby się paręset tysięcy. Czy Lola też ma taki posag?

— Tak.

— Nic mi nie mówiłaś. Gdy je spotykałem dawniej u ciebie, myślałem, że owszem są zamożne, ale żeby tyle! I wiesz, może mi się wydaje, ale u ciebie były jakieś inne, mniej oficjalne. Matka je pewno ostro trzyma.

Bogna była tak zniechęcona tą wizytą, że nazajutrz nie poszli nigdzie. Dopiero po dwóch dniach wstąpili do państwa Karasiów, rodziców Stanisława i zostawili swoje karty, gdyż nie zastali ich w domu. Natomiast u dyrektorostwa Jaskólskich przyjęto ich serdecznie i zatrzymano na kolacji.

Jaskólski już wiedział o nominacji Ewarysta i był — o ile Bogna mogła zauważyć — zadowolony z tego.

— Niechże mnie pan nie tytułuje dyrektorem — mówił do Ewarysta, biorąc go pod rękę — mam nadzieję, że zaprzyjaźnimy się, panie kolego. Moja żona wprost kocha się w pańskiej. I ja też, jak mi Bóg miły. Nie jest pan zbyt zazdrosny, panie kolego?

— Cóż znowu. Jestem uszczęśliwiony. Potwierdza to, że miałem dobry gust.

— Najlepszy!

Atmosfera u Jaskólskich była ciepła i serdeczna. Dwaj ich synowie, dorastający chłopcy zaraz zabrali Bognę do swego pokoju, by pokazać jej modele szybowców, stopy zdjęć, radio własnej konstrukcji i podobne rzeczy.

— Sama się dziwię — mówiła pani Jaskólska — skąd ci chłopcy mają czas na lekcje.

Na kolację były kluski z serem, wędlina i zimna pieczeń od obiadu. Pani Jaskólska przeproszała za to menu, zadysonowane gdy jeszcze nie spodziewała się gości.

Bogna bywała u państwa Jaskólskich dość często i czuła się jak u siebie. Ewaryst znalazł się tu po raz pierwszy i wydawał się nieco skrępowany, co zresztą było naturalne,

zważywszy dotychczasową zależność jego od dyrektora Jaskólskiego. Jaskólski był surowym i wymagającym zwierzchnikiem. Swoje rządy w Funduszu Budowlanym sprawował żelazną ręką i podwładni bali się go jak ognia, chociaż nigdy nie podnosił głosu, nie okazywał gniewu, ani nawet niezadowolenia. Wszelkie opieszałości, zaniedbania, czy zaległości uważał za niedopuszczalne, a miał rzadki talent wyławiania ich z morza aktów niemal jednym spojrzeniem. Wówczas winowajca wysłuchać musiał krótkiego upomnienia i mało który umiał wtedy znieść wzrok dyrektora. Za drugim razem otrzymywał uwagi na piśmie, za trzecim dostawał wymówienie i tracił posadę, jeżeli nie zdołał uratować się dzięki dobrotliwości prezesa Szuberta.

O wszystkich tych rzeczach oczywiście Bogna dobrze wiedziała i wiedziała również, że jej mąż dotychczas ani razu nie miał najmniejszego zajęcia z Jaskólskim. Pomimo to, a także mimo wielkiej serdeczności w sposobie domowego bycia dyrektora Jaskólskiego Ewaryst zachowywał się nieco niepewnie. Chwilami był zanadto jakby uniżony, chwilami może zbyt swobodny.

Jednak wieczór upłynął przyjemnie. Wyszli po jedenastej i musieli wsiąść do taksówki, gdyż padał deszcz.

— Miły dom, prawda? — zapytała Bogna.

— Ti... tak sobie. Nie lubię, gdy dopuszcza się smarkaczy do towarzystwa starszych. Patrzą na człowieka jak detektywi. Śledzą każdy ruch widelca, jakby liczyli ile się zje. A poza tym w ogóle są źle wychowani: szepczą sobie na ucho i uśmiechają się do siebie porozumiewawczo. Nie cierpię takich sztubaków.

— To bardzo inteligentni chłopcy — zauważyła Bogna — a pani Jaskólska to taka dobra, taka serdeczna kobieta.

— Kwoka — wzruszył ramionami.

— Może, ale w najlepszym stylu.

— A Jaskólski to trochę był nie w swoim sosie, zauważyłaś?

— Nie, był całkiem naturalny.

— Naturalny?... Cha... cha... Zgrywał się, jak stary kabotyn.

— Ależ dlaczego?

— Pi, moja droga, w biurze rżnie zawsze Jowisza. Ile razy mnie spotykał, to podawał mi rękę, jakby mi sto tysięcy dawał, a tu nagle zostałem jego zastępcą. Musiał udawać zadowolenie. Słyszałaś: kolegą mnie nazywał... I niby taki łaskawy patriarcha. Śmiech i tyle. Mówię ci: jeszcze różne nadęte szyszki poznają co to jest pan Ewaryst Malinowski! Jeszcze poznają! Poznają i dudy w miech!

— Mylisz się — spróbowała protestować Bogna — on jest dla ciebie bardzo życzliwie usposobiony.

— Kpię sobie z jego życzliwości.

— Ew!

— Nie bój się, jemu tego nie powiem. Nie jestem taki głupi... Ale swoją drogą Jaskólski mógłby na przyjęcie gości nałożyć jakieś przyzwoite ubranie. Na łokciu miał łąkę na trzy palce. A poza tym to wstyd przyjmować kogoś... nie byle pierwszego lepszego i gwałtem zatrzymywać na kolację po to, by dać kluski z serem! Zarabia prawie dwa tysiące miesięcznie, a gości kluskami przyjmuje. Nie, moja droga, kto, jak kto, a ja się Jaskólskimi nie zachwycam.

Bogna chciała coś odpowiedzieć, lecz spojrzała na lekceważące wygięcie ust Ewarysta, na jego wygodnie rozpartą sylwetkę, na nogę założoną na nogę i odwróciła głowę.

Po szybie auta ociekały gęste strugi wody, spod kół tryskały mętne bryzgi. W stłumionym świetle latarni mokły domy, ulice, mokło miasto.

ROZDZIAŁ III

Wysoki, szczupły pan z zapadniętą klatką piersiową i z siwiejącymi włosami stanął w otwartych drzwiach z biletem wizytowym w rękę i powiedział głośno:

— Pan dyrektor Malinowski?... Proszę.

Ewaryst zerwał się z krzesła.

— Jestem do usług.

— Proszę pana — zdawkowo uśmiechnął się dygnitarz i teraz już wyglądał zupełnie takim, jakim Malinowski znał go z podobizn w gazetach.

— Niechże pan pozwoli... — wziął Malinowskiego za łokieć.

— Ależ panie ministrze...

— Jestem u siebie. Proszę... Daruje pan, że nie mogę go przyjąć w gabinecie, mam tam kilka osób, a nie chciałem narażać pana na zbyt długie oczekiwanie. Pomówimy tutaj.

— Jak pan minister każe.

Weszli do dużej sali, gdzie pośrodku stał stół, nakryty zielonym sukniem, pod ścianami zaś jedno przy drugim krzesła.

— Słucham pana — powiedział minister — przywiózł pan sprawozdanie?

Malinowski gorączkowo zaczął odpinąć tekę i wydobywszy z niej arkusz maszynowego pisma, podał ministrowi:

— Oto jest, panie ministrze.

— Aha, doskonale.

Wziął sprawozdanie i podszedł do okna. Czytał chwilę i zmarszczył brwi:

— Może mi pan to objaśni, panie dyrektorze.

Malinowski, który stał w miejscu, w trzech krokach był już przy oknie:

— Służę, panie ministrze.

— Co to znaczy rubryka „nieściągalne”?... O tutaj z kwotą czterystu jedenastu tysięcy?

Ewaryst chrząknął i zaczął objaśniać. Jąkał się, ale przecie wyłożył rzecz jasno, bardziej jasno, niż to było jego zamiarem. Od szeregu miesięcy z niecierpliwością oczekiwał tego posłuchania, stawał na głowie, by nie Szubert, nie Jaskólski, lecz on mógł osobiście zetknąć się z ministrem. Trzeba było uciekać się do najbardziej złożonych wybiegów, używać wszelkich sposobów i sposobików, by nie wywołać podejrzliwości tamtych panów, a teraz, gdy jako przedstawiciel zarządu Funduszu Budowlanego uzyskał nareszcie upragnioną audiencję, coś go zatknęło i zamiast czym prędzej korzystać z rzadkiej sposobności, kluczył i mogło nawet na to wyglądać, że broni Jaskólskiego.

Było to śmieszne, ale zdawał sobie sprawę, że wszystkie plany pokrzyżowała mu niespodziewana sceneria posłuchania. Ułożył sobie, że będzie siedział w gabinecie naprzeciw ministra, że w odpowiednich momentach samym wyrazem twarzy da do zrozumienia to, czego nie chciałby określić słowami, że zdoła zręcznie podsunąć i kilka wątpliwości. Tymczasem minister czytał sprawozdanie chodząc wzdłuż ściany od okna do okna, zdawał się śpieszyć i nie zwracał uwagi na modulację głosu, na przerwy wiele mówiące i jakby zakłopotanie Ewarysta.

Pocieszające było tylko jego widoczne niezadowolenie z wykazu. W komisji budżetowej Sejmu podniesiono zarzuty przeciw działalności Funduszu, a stan rzeczywisty nie dawał ministrowi możliwości ich obalenia.

— Panowie zbyt wielkodusznie, zbyt szczodroliwie gospodarujecie tam groszem publicznym — powiedział minister, wreszcie spojrzawszy na Malinowskiego.

Ewaryst zacerwienił się:

— Panie ministrze, ja najzupełniej jestem tego zdania...

— To uprzejmie z pańskiej strony, panie dyrektorze.

— Pan minister źle może mnie zrozumiał. Istotnie często pożyczki są udzielane z karygodną lekkomyślnością...

— Tego nie powiedziałem i nie myślę, by prezes Szubert należał do ludzi, pod jakimkolwiek względem karygodnych, czy lekkomyślnych.

— Ja też, broń Boże... Ale, panie ministrze, pan minister był łaskaw zaznaczyć, że my tam źle gospodarujemy. Otóż ja pragnąłbym zapewnić pana ministra, że osobiście jestem w Funduszu Budowlanym tylko wicedyrektorem i mój wpływ na działalność instytucji, mówiąc właściwie, jest żaden.

Minister zmierzył go wzrokiem:

— W takim razie dlaczego panu powierzono złożenie wyjaśnień?

Malinowski przełknął ślinę i pomyślał: — Teraz albo nigdy! — rozłożył ręce:

— Może dlatego, panie ministrze, że nie każdy, kto ponosi faktyczną odpowiedzialność, ma odwagę ją ponieść...

— Co pan przez to rozumie?

— Ja umyślnie, panie ministrze, pragnąłem podkreślić, że ja nie starałem się unikać przedstawienia panu ministrowi tych rzeczy... Dla dobra sprawy — dodał z powagą.

Minister podniósł brwi:

— Jakiej sprawy?

— W ogóle... Funduszu, sprawy publicznej...

Ponieważ minister włożył ręce do kieszeni i zdawał się czekać na dalsze, wyraźniejsze informacje, Malinowski powiedział:

— Istotnie, panie ministrze, pan prezes Szubert nie wiele ma czasu i możliwości wniknięcia w każdą rzecz. Właściwie to dyrektor Jaskólski robi wszystko, decyduje o wszystkim. Prezes ma do niego nieograniczone zaufanie.

Nagle minister odwrócił się doń i patrząc mu wprost w oczy, zapytał:

— A jak pan wyobraża sobie unikanie podobnych „nieściągalnych” pożyczek?

— Jeżeli pan minister pozwoli... Mam nawet przypadkowo przy sobie notatki...

— Jakie notatki?

— Dotyczące planu zmian w statucie Funduszu i w przepisach...

— Proszę — wyciągnął rękę minister.

Malinowski podał mu arkusiki zapisane maszynowym pismem. Pisał to sam w najgłębszej tajemnicy przez szereg godzin, gdyż nie chciał nikogo wtajemniczać, a pisać na maszynie nie umiał.

Minister przejrzał pobieżnie notatki i potrząsnął głową:

— Tu nie widzę nic wyraźnego...

— To tylko notatki.

— Zbyt ogólnikowe... Co znaczy na przykład: „Należy zapobiegać zbyt pośpiesznym decyzjom w przyznawaniu subsydiów stowarzyszeniom”... O, tu, punkt siódmy?... Przecie to rozumie się samo przez się. Znadto ogólnikowe. Albo punkt dziewiąty: „Trzeba pomoc finansową ograniczyć do niezbędnego minimum”... To i tak jasne. Albo co znaczy... Nie, proszę pana... Hm... Jeżeli pan zechce opracować szczegółowy memoriał, będę panu wdzięczny.

— Na kiedy pan minister każe?

— W ciągu, powiedzmy, tygodnia.

— Ale, panie ministrze, nie chciałbym... obawiałbym się... Jeżeli to pójdzie drogą urzędową...

— Ach, o to panu chodzi. Więc dobrze. Złoży pan w moim osobistym sekretariacie.

— Wedle rozkazu pana ministra.

— Dziękuję panu i do widzenia. Miło mi było pana poznać.

— O... panie ministrze...

Malinowski wyszedł zgrzany i czerwony. Nakładając futro zobaczył w lustrze wypieki na twarzy i mruknął do siebie: — przekłeta trema.

Był jednak zadowolony z siebie i z przebiegu posłuchania. Bądź co bądź mógł być przekonany, że podstawił nogę Jaskólskiemu. Wprawdzie mierzył wyżej, przypuszczając, że przy sposobności owych niefortunnych czterystu tysięcy złotych uda się wysadzić samego Szuberta, ale w porę się spostrzegł, że minister ma dla Szuberta sympatię.

— Całe moje szczęście — myślał — żem w porę wykręcił kota ogonem. Ale jak to taki minister w sposób elegancki umie dać do zrozumienia! Na tym właśnie polega sztuka kierowania. Niby nic nie powiedział, ale wyraźnie dał mi do zrozumienia: Szubert to mój człowiek, ale Jaskólskiego chętnie bym wylał, byleś mi dostarczył dobrego pretekstu. Delikatnie, przezornie i zrozumiale! Psiakość! To cała sztuka. Tacy właśnie muszą robić wielkie kariery. Chociaż z drugiej strony, gdy człowiek ma pewny grunt pod nogami, zaraz inaczej się czuje. Nie święci garnki lepią. W każdym razie to dobry system: nie mówić niczego wprost. Taki Urusow, na przykład, mógłby mi powiedzieć wówczas, że się śpieszy, że przeprasza mnie, że musi wyjść z domu, a powiedział:

— Prosiłbym pana, by pan dłużej został u mnie, ale doprawdy nie ośmielię się zatrzymać, gdyż już po szóstej.

Ludzie, którym urodzenie, lub stanowisko daje pewność siebie, umięją każdego postawić w kropce: ani na prawo, ani na lewo, tylko akurat musisz tak zrobić, jak on chce. A dlaczego?... Bo są pewni siebie. Po takim widać, że on dużo więcej znaczy, dużo jest ważniejszy, niż potrzebuje okazywać.

— Trzeba zachowywać się tak, jak siłacz, który lekko trzyma za kark, lecz wiadomo, że może połamać kości. O!... Im kto lżej trzyma, tym słuszniej będą się spodziewać, że jest atletą. Nigdy nie wykladać wszystkich kart na stół! Jak w hazardzie: odkryjesz błoteczkę, to inni myślą, że w ręku masz cztery asy.

O rozmowie tedy z ministrem postanowił Malinowski zdać Szubertowi jak najskąpszą relację. Prezes jest zbyt roztargniony, by mógł się zaniepokoić. Przeciwnie, należy mu jeszcze nakadzić, że niby minister jest nim zachwycony. Jaskólski trudniej dalby się nabrać, ale go na szczęście nie było w Warszawie. Właśnie nad wyprawieniem go do Łucka musiał się Malinowski sporo napracować. Najpierw pokiełbasiło się sprawy z wołyńską dyrekcją robót publicznych, później zapowiedziało się przyjazd do Łucka kogoś z Zarządu Funduszu, a w dniu, kiedy Malinowski miał jechać — trzeba trafu — stłukł tak kolano, że prawie okulał. I musiał pojechać Jaskólski. A tegoż wieczora zacny poseł Jasiński wyskoczył z tą interpelacją w komisji budżetowej. Wszystko było ukartowane po majstersku, no i skutki, jeżeli nie najlepsze, to w każdym razie bardzo dobre.

Malinowski omal nie zagwizdał z ukontentowania, lecz z daleka zobaczył na rogu Jasnej panią Karasiową i w sam czas zdążył przybrać stosowny wyraz twarzy, kłaniając się bardzo serdecznie. Z tą babą należało się liczyć ze względu na jej duże stosunki, no i dlatego, że jej syn ożenił się z kuzynką, właściwie z kuzynką Bogny, ale tym samym i jego. Poza tym młody Karaś miał znajomości i wpływy w prasie. A to było cenne.

— Swoją drogą — uśmiechnął się do siebie Malinowski — jak to w miarę jak człowiek rośnie, musi liczyć się z większą coraz liczbą ludzi. Co mnie dawniej obchodziła prasa? Czy minister?... Nawet Szubert niewiele. Wystarczyło trzymać dobrze z Jagodą. Rośnie człowiek, rośnie.

— Windę pan dyrektor każe? — ukłonił się woźny na dole.

— Za każdym razem będziesz pytał? — zmarszczył brwi Malinowski — raz na zawsze powiedziałem, zrozumiano?

— Słucham pana dyrektora, ale winda jest teraz na górze i myślałem...

— Nic tu nie masz do myślenia. Myślę ja, a ty masz robić, co ci każe.

Dosyć nabiegał się w swoim czasie po schodach na czwarte piętro, a teraz mógł i na pierwsze jeździć, a robił to z tym większą przyjemnością, że przez to dawał widomy znak swojej władzy. Na samym początku wypadkiem usłyszał rozmowę dwóch woźnych:

— Taki ważny się zrobił — mówił jeden — dawniej szorował po schodach na czwartą, a teraz jak dyrektorem ostał to i na pierwsze piechotę nie łaska.

— Zhardział — dodał drugi — najlepiej mu mówić, jak ja: winda się zacięła, proszę pana dyrektora... To mruknie „psiakrew”! — i dyma na piechotę.

Obaj struchleli, gdy ukazał się zza filaru. W przeciągu godziny wyrzucił ich na zbity pysk. Była nawet sprawa w sądzie pracy, lecz wydaleni woźni nic nie uzyskali, gdyż zeznanie dyrektora o niedopuszczalnych obelgach ze strony niższych funkcjonariuszów w stosunku do jego osoby wystarczyło, by stwierdzić słuszność wydalenia.

Podobna historia była i z jednym z urzędników w wydziale rachuby, niejakim Lubaszkiem. Rzecz nawet miała początek zabawny. Lubaszek przyszedł do Malinowskiego ze skargą na jednego z kolegów, który miał o nim powiedzieć:

— Lubaszek to prochu nie wymyśli.

Ponieważ do kompetencji Malinowskiego należały także sprawy personalne, poszkodowany przyszedł doń żądać sprawiedliwości.

— Tak panu powiedział? — uśmiechnął się Malinowski — a cóż, może pan proch wymyśli?

— Ja? — zdziwił się urzędnik.

Był to trochę niemrawy i niemłody już człowiek, zawsze źle ubrany, a przy tym kłaniający się zwierzchnikom bez należnego szacunku i Malinowski go nie lubił.

— Tak. Pytam pana, czy wymyśli pan proch?... Nie?... No więc i w porządku.

— Ale on mnie obraził.

— To pan obraż jego. Powiedz mu pan, że on... nie odkryje Ameryki. Mnie zaś proszę tymi głupstwami głowy nie zawracać. Może pan odejść.

Jednakże nazajutrz, gdy Malinowski swoim zwyczajem obchodził biura, lustrując pilność pracy, w rachubie przypomniał Lubaszka i zapytał:

— No, jakże tam, panie Lubaszek, wymyślił pan proch?

Wszyscy zachichotali, jak się należało, a delikwent zbladł i nic nie odpowiedział.

— Pytam pana — ostrzej, ale jeszcze wesoło powtórzył Malinowski — kiedy pan proch wymyśli?...

— Żeby nas w powietrze nie wysadził — dodał ktoś usłużnie.

— No, panie Lubaszek, jakże będzie z tym prochem?

Urzędnik zerwał się i zaczął głośno krzyczeć:

— Ja, ja... protestuję, ja protestuję!...

— Co? Co pan robi? — zmierzył go ironicznym spojrzeniem Malinowski.

— Protestuję! — Pan nie ma prawa ze mnie drwić... mnie ośmieszać!

— Uspokój się — mitygował go któryś z kolegów.

— To jest znęcanie się! Ja protestuję — trząsł się Lubaszek.

Malinowski uczył, że istotnie niepotrzebnie zakpił z Lubaszka, ale chciał przecie tylko zażartować. Jeżeli taki głupiec nie zna się na żartach, to sam sobie winien. W każdym razie należało utrzymać swój prestiż i Malinowski zrobiwszy groźną minę podniósł głos:

— Milczeć!

— Nie będę milczeć — krzyczał już półprzytomny Lubaszek — pan nie ma prawa! Pan jest taki wielki, a samemu portki niedawno wyslizgiwały się na urzędniczym stołku. Co pan jest właściwie za figura!? Pan sam prochu nie wymyśli!...

Malinowski uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły kałamarze:

— Ja pana, cymbale jeden, bez prochu stąd wysadzę, aż się za panem zakurzy! Na bruk wyrzucę!

Urzędnik opadł na krzesło, w pokoju panowała śmiertelna cisza. Malinowski trzasnął drzwiami i wyszedł.

Z wydalaniem urzędnika kontraktowego była trudniejsza sprawa, niż z woźnymi. Trzeba było wypłacić odszkodowanie i rzecz wymagała decyzji samego Szuberta. Prezes wprawdzie nagadał Malinowskiemu wiele impertynencji, ale wreszcie zgodził się. O zostawienie Lubaszka zabiegała jeszcze i delegacja urzędników, ale Malinowski postawił na swoim. Nawet drogą okólną próbowano wywrzeć nań nacisk przez Bognę i to najbardziej go rozwścieczyło, a gdy Bogna zaczęła mówić o Lubaszku, postanowił raz na zawsze oduczyć ją wsadzania nosa w nieswoje sprawy.

— Moja droga — powiedział — wypraszam sobie wtrącanie się w moje czynności urzędowe. Mam sam dość, jak myślę, rozumu, by postąpić jak się należy. Nie zniosę tej obrzydliwej mody, by mąż miał wysłuchiwać babską krytykę swoich decyzji. U mnie to się nie pokaże! Szlus, fertig i nie ma o czym gadać.

Odniosł wówczas wrażenie, że się obraziła, zdawało mu się nawet, że zbladła i miała łzy w oczach.

— To nic nie szkodzi — pomyślał — lepiej zapamięta, a na przyszłość trzy razy się zastanowi zanim spróbuje mną kręcić.

Było to w pierwszych miesiącach urzędowania Malinowskiego na nowym stanowisku i od tego czasu nie zdarzyło się, by Bogna chociaż raz zapytała o sprawy biurowe. Wprawdzie sam opowiadał jej chętnie o wszystkim. Nieraz zwróciła mu uwagę na to, lub owo, a że znała się dobrze na zwyczajach, panujących w biurze Funduszu, więc też niektóre jej rady nie były pozbawione słuszności. Obrazę szybko zapomniała, jak sądził, dzięki temu, że postąpił jak prawdziwy dżentelmen, przynosząc jej nazajutrz cały kilogram czekoladek. Nic nie powiedział, nawet nie napomknął o wczorajszej scysji, ale rozumiało się samo przez się, że miało to osłodzić gorzką pigułkę.

Zresztą i okazje do nowych „wstawiennictw” nie zdarzały się. Po wylaniu woźnych i Lubaszka wśród personelu zapanował mores co się zowie.

— Nauczycie się jeszcze, dranie, klaniać się panu Malinowskiemu — powtarzał sobie dawniej, ilekroć ktoś z lekceważeniem doń się odnosił.

I nauczyli się. Nauczyli się klaniać z szacunkiem i szybko wstawać, gdy tylko zatrzymywał się przy którymś biurku. Zrozumieli, że z panem wicedyrektorem lepiej mieć dobre stosunki, niż złe, że na jego życzliwość można sobie zarobić grzecnością, usłużnością i dostarczaniem mu informacji o różnych sprawach kolegów. Zaczęło się to od doktora Pietruszewskiego, pełniącego obowiązki kierownika rachuby. Malinowski niezbyt go lubił, głównie za używanie owego doktorskiego tytułu. Ale gdy przy wyrzucaniu Lubaszka, właśnie dzięki wiadomościom skwapliwie podanym przez Pietruszewskiego,

mógł wymóc na Szubercie dymisję gburowatego urzędnika, wykazawszy jego błędy i zaniedbania, Pietruszewski w ciągu sześciu tygodni otrzymał nominację na kierownika.

— Wszystko to jest polityka, moja droga — mówił Bognie — polityka to sztuka zjednywania sobie ludzi.

— Albo... tylko ich usług — odpowiedziała.

— To mi jest obojętne — wzruszał ramionami — byle robili tak, jak ja chcę, a co sobie myślą... Mogą mi nawet życzyć naglej i niespodziewanej śmierci. Byłem ja o tym nie wiedział.

— Nie posądzam cię, byś mówił to szczerze.

— Zapewne... hm... zapewne. Jestem zresztą przekonany, że lubią mnie, dlaczego mieliby nie lubić?

— Bo nie dbasz o to.

— Trudno, żebyś chodził przed nimi na tylnych łapkach.

— To nie, ale ja sądzę, że życzliwość ludzi zyskujesz w najprostszy sposób: przez własną życzliwość dla nich — mówiła Bogna.

— A ja jestem zdania, że nie ma po co się wysilać.

— Jest po co — upierała się — czyż nigdy nie odczuwałeś radości, jaką daje poczucie, że cię otaczają ludzie życzliwi, serdeczni, którzy cię lubią?...

— Nie, moja droga. Mnie wystarczy żebyś odczuwał należny szacunek, żeby się mnie bali i żeby cenili. A na sympatię gwizdę.

— Masz bardzo zimny stosunek do tych spraw, albo udajesz, czy sam sobie wmawiasz taki stosunek. Jednak i z tego punktu widzenia nie masz racji.

— Niby dlaczego?

— Bo uczucia u ludzi większą odgrywają rolę, niż rozsądek, niż trzeźwy rachunek. I dzięki Bogu, że tak jest na świecie. Choćby cię najbardziej cenili, choćby drżeli przed tobą — na tym nie ugruntujesz swojej kariery.

— To jeszcze zobaczymy, moja droga — uśmiechał się pobłaźliwie.

Przecie znał życie i rozumiał je doskonale. Był przekonany, że człowiek tyle jest wart, ile inni przez niego mogą mieć zysku. Niekoniecznie pieniężnego, ale zawsze zysku, czy to w formie protekcji, czy pod postacią zaspokojenia snobizmu, czy w inny sposób. Póki człowiek ma pieniądze i znaczenie w świecie, póty będą się z nim liczyć i lubić go, lecz niech zejdzie na psy, niech straci majątek i pozycję, pies z kulawą nogą nań się nie obejrzy. I żadne lubienie, żadna życzliwość wówczas się nie odezwie. Nikt za złamany grosz mu nie pomoże, nikt nie będzie się z nim liczył.

Im dłużej żył, tym jaskrawiej przedstawiał mu sięświat jako szerokie koryto, do którego trzeba się dopchać, nie żałując swoich łokci i cudzych żeber, a ucześcić się mocno i póty jeść, aż się stanie tak ciężkim, że już trudno człowieka ruszyć z miejsca. Ci, najbliżsi koryta, rządzą światem, dalsi zadawalają się ochłapami i służą tamtym, odgradzając ich od wygłodniałego tłumu na peryferiach, gdzie z braku dostępu do koryta, ludzie wymyślają sobie idee, filozofię, sztukę, teorie polityczne, wzniosłe hasła, słowem namiastki pożywnego karmu: pieniędzy, władzy, znaczenia.

Oczywiście nie był to obraz piękny i Malinowski nie zachwycał się nim nigdy. Dobrze jeszcze z lat studenckich pamiętał pogardę, jaką żywił dla opasłych burżujów, pławiących się w tłustym życiu aż do przesyty, ale pamiętał także i zazdrość, która go żarła, jego, takiegoż człowieka z krwi i ciała, z ambicją nienasyconą i głodnym brzuchem, człowieka nie mogącego dla siebie znaleźć prostej czy krętej, łatwej czy trudnej, śliskiej czy ciernej — jakiegokolwiek drogi do koryta, jakiegokolwiek szczeliny w tłoku, by docisnąć się nią do prawdziwego życia, do pełnej kieszeni, do pełnego żołądka, do win musujących i cylindrów, do nisko klaniającej się służby, do szykownych kobiet, arystokratek, aktorek, wykąpanych, pachnących, kapryśnych, w jedwabiach i tweedach wytwornych i luksusowych...

Jedni z kolegów odziedziczyli po dziadach i pradziadach prawo i glejt, innym torował drogę worek z pieniędzmi, a on krążył na uboczu i jeśli nie przystawał do nikogo, jeżeli nie miał przyjaciół, to dlatego, że do tamtych nie mógł sięgnąć, a tymi, równie ubogimi, brzydził się: nienawidził ich, a raczej nienawidził w nich swojej własnej nędzy, łatanych spodni i perkalowej bielizny, studenckiej garkuchni, szwaczek i pokojówek, tanich papierosów i dziurawych butów.

Nigdy nie zdradził się przed nikim z tej cierpkiej oskomy, która gryzła go po nocach, z tych marzeń, które w ciemności jaśniały rozpalonymi do białości nagimi ciałami kobiet, nurzających się w drogocennych futrach, z tych wykwintnych pijatyk po wspaniałych gabinetach restauracyjnych...

Zamknął to w sobie, zamknął tak silnie jak umiał, by mu nikt tego z oczu wyczytać nie mógł. Dlatego też zapisał się do harcerstwa. To dawało mu dobry szyld jego abstynencji, to otwierało dostęp do sportu, jedyne terenu, na którym mógł być za pan brat z arystokratycznymi i bogatymi kolegami, gdzie poznawał ich rasowe, szykowne, luksusowe siostry, narzeczone, kuzynki, które co nocy potem posiadał wyobraźnią, upijając się ich wypielegnowanym ciałem i pokorą dumnych oczu...

A później siadał rozparty niby w klubowym fotelu, na trzeszczącym wiedeńskim krzeselku i pałac zamiast hawańskiego cygara wstrętne papierosa, przez kłęby dymu zwycięskim spojrzeniem wpatrywał się w krzywe żelazne łóżko, na którym rozciągały się smukłe członki znużonej rozkoszą, nieobecnej kochanki.

Ciężkie były dni po tych nocach, dni zawziętego kucia, upartej nauki, przez którą prowadziła niepewna i zamglona, ale jedyna droga wybicia się, dorwania się do koryta.

Dobrze te dni i te noce pamiętał Ewaryst Malinowski. Między nimi, jak między chropowatymi żarnami boleśnie szlifowała się jego psychika, jego umysł i charakter. Nie starły go na proch, lecz wytoczyły zeń twarde opancerzone ziarno.

Wiedział czego chce i rozumiał siebie zbyt dobrze, by cokolwiek zachwiać mogło wskazówką magnetyczną w jego życiowym kompasie. Zawsze i wszędzie odnajdywała ona biegun, ku któremu polaryzowała się cała jego istota, wszystkie pragnienia, wszystkie nadzieje, żądze i marzenia.

Ostatnie lata były najcięższe. Śmierć matki zmusiła go do przerwania studiów, do zatopienia się w małej dziurze prowincjonalnej, do wystawiania za ladą składu aptecznego, z którego okien widać było jedynie zabłocony kwadrat rynku, który zdawał się być dla niego granicami świata. Stawał przed lustrem i z niedowierzaniem przyglądał się sobie: czyż młody, piękny, inteligentny, sprytny, wykształcony, nie wart jest najlepszemu losu?... A potem patrzył przez okno i ogarniało go przerażenie.

— Uciekać stąd, uciekać czym prędzej i za wszelką cenę! — powiedział sobie, gryząc wargi.

I rzeczywiście jego wyjazd przypominał ucieczkę. W ciągu tygodnia sprzedał wszystko za byle co, zmarnował, byle móc wydobyć się do stolicy. W Warszawie po długich zabiegach dostał posadę w Kasie Chorych. Lecz i tu nie otwierały się żadne perspektywy. Przeniesienie się do Funduszu Budowlanego było jedynie zwiększeniem zarobku, dało możliwość odkładania oszczędności, dało możliwość wegetacji przy jednoczesnym noszeniu eleganckich ubrań i pogodnej, niefrasobliwej miny. I nic się nie zmieniało. Po upływie roku z przerażeniem stwierdził, że maska pogody i niefrasobliwości zaczyna przysuszać mu dotwarzy, że zaczyna godzić się z losem. Nie stracił wiary w siebie, lecz tracił wiarę w swoje szczęście.

I znowu się poderwał. Tak, jak na Uniwersytecie przez skauting, jak w Kasie Chorych przez organizację urzędniczą i partię polityczną, tak teraz postanowił wypłynąć przez dorwanie się do życia towarzyskiego. Uchwycił się tej myśli oburącz i los zaczął mu sprzyjać: do Funduszu przyszedł Borowicz, jeden z tych kolegów uniwersyteckich, którzy, należąc do najlepszych sfer, najmniej zadzierali nosa. Przez Borowicza dostał się do domu Bogny Jezerskiej, gdzie z początku czuł się bardzo nieswojo, gdzie musiał trzymać się w ustawicznym naprężeniu nerwów, w pogotowiu uwagi i nadrabiać miną.

Był to zupełnie inny świat niż ten, w którym Malinowski żył dotychczas. Inni tu byli ludzie, inne, przynajmniej na pozór inne motywy ich działania, inny stosunek do życia. Co najbardziej uderzało, to ich jakieś niezrozumiałe pozerstwo czy po prostu naiwność w przywiązywaniu wagi do rzeczy nierealnych, praktycznie obojętnych, nie posiadających żadnego waloru obiegowego. Robili wrażenie dzieci, które nie pojmują sensu otaczającej rzeczywistości. Bujanie w zagadnieniach oderwanych, długie spory na tematy tak nierealne, jak na przykład sztuka, czy filozofia, rozcinanie włosa na cztery części, lub zajmowanie się pospolitymi sprawami dnia z dziwaczną pretensją dopatrywania się w nich objawów jakichś poważnych problemów.

Przy tym sam sposób ich mówienia, te przenośnie, pójśłówka i skrójty, porozumiewawcze uśmiejchy, cytowane nazwiska, które starczyły im za argumenty, wyrażając jakby cały kompleks pojęć — wszystko to było dziwne, obce, zabawne, lecz jednak piękne.

Z nich wszystkich Bogna jedna była mu bliższa, zrozumialsza i naturalniejsza. Chociaż w biurze stykali się rzadko i nie był to dla niej żaden szczególniejszy zaszczyt przyjmowanie u siebie pana Malinowskiego, okazywała wyraźne zainteresowanie jego osobą. Po pierwszej bytności u niej powiedział sobie:

— Uważaj, bracie! Kobita leci na ciebie, jak amen w pacierzu.

Długo myślał nad tym i wreszcie zdecydował się:

— Może wart jestem i lepszego losu, ale przy moim pechu lepiej mieć wróbla w garści niż czekać na gołębia, co siedzi na sęku.

Zresztą Bogna podobała mu się bardzo. Nie była może zbyt ładna, nie była też zbyt młoda, ale miała rasę i sznyt, wyglądała elegancko, miała szerokie stosunki, własne mieszkanie i jakieś nadzieje spadkowe, wprawdzie niewielkie, ale zawsze coś. Zapewne nie mogła równać się z takimi pannami Symienieckimi, czy Pajęciami, których posagi zrobiłyby z człowieka od razu magnata, ale tamte były gołębiami, do których sięgnąć nie łatwo, zaś ta kobieta najwyraźniej miała się ku niemu.

— Kujmy żelazo póki gorące — postanowił i skupił na tym postanowieniu wszystkie wysiłki. Im bliższy był celu tym bardziej odzyskiwał wiarę w siebie, w swoją wartość, w swoje przeznaczenie.

Nominacja na stanowisko wicedyrektora potwierdziła tę wiarę w zupełności. Ani przez moment nie przypuszczał, by niespodziewany awans był następstwem czegoś innego, jak po prostu docenienia przez zwierzchników jego osobistych zalet i kwalifikacji.

Przypomniął sobie, co kiedyś mówił jego kuzyn Feliks:

— Każdy człowiek ma chwilę w życiu, gdy szczęście lezie mu do rąk. Rzecz w tym, że trzeba mieć rozsądek i rozwagę, by poznać się na tym. Na przykład ja umiałem to zrobić i dzisiaj widzisz czym jestem. Czekaj na dobrą passę.

Było to wówczas, gdy Malinowski zwrócił się do Feliksa o jakąś pomoc przed ucieczką z prowincji do Warszawy. Feliks wprawdzie nic zrobić nie chciał, ale jego rada okazała się słuszna i mądra.

Przyszła dobra passa.

„...Przepowiednia Twoja, Najdroższy Feliksie, sprawdziła się co do joty — pisał Ewaryst, zapraszając go na ślub — i da Bóg, dojdę może do takiej pozycji w świecie, jak Ty”.

Od najmłodszych lat przyświecał Malinowskiemu ten żywy przykład wydobycia na powierzchnię, ten brat stryjeczny pełen stateczności, powagi, szanowany i ceniony, a przede wszystkim bogaty, który w rodzinie był chlubą i na pokrewieństwo z którym powoływano się ilekroć chciano dodać sobie znaczenia i solidności.

Jego też jednego chciał pokazać Bognie i jej znajomym i nie zawiódł się, że Feliks wyrzuci na nich najkorzystniejsze wrażenie.

Obecnie pomyslna passa zaczęła się, zdawało się, rozwijać w szybkim tempie. Wizyta u ministra i wyraźne polecenie przygotowania memoriału otwierały nowe wielkie możliwości.

Na chwilę zatrzymał się przed drzwiami swego gabinetu. Nie zdążył jeszcze oswoić się z ich rzeczywistością: na ciemnym tle widniała tabliczka: — Wicedyrektor E. Malinowski.

Każde spojrzenie na te drzwi dawało mu jakby upewnienie, że odmiana jego losu nie jest wytworem fantazji. Każdy przechodzący korytarzem musiał dostrzec tabliczkę, musiał widzieć, że pan E. Malinowski nie jest już jednym z milionów, lecz zajmuje poważne stanowisko kierownicze. Drzwi te bardziej niż noszona w kieszeni legitymacja, bardziej niż jego nazwisko zajmujące trzecie miejsce na liście płac, bardziej niż cokolwiek dokumentowały jego pozycję wśród ludzi, gdyż nieustannie i trwale przemawiały do zewnątrzności.

Za drzwiami był tylko nieduży gabinet umeblowany zwykłymi sprzętami biurowymi, jakby niezadomowiony, niezamieszkały, nie noszący na sobie żadnych oznak przynależności do Malinowskiego. Równie dobrze mógł tu jutro urzędować ktokolwiek inny. Nie tak na przykład jak z ogromnym gabinetem Szuberta, gdzie wszystko było urządzone własnymi meblami właściciela, gdzie znać było, że panuje tu dygnitarz, któremu wolno

zagospodarować się według własnego upodobania. Z upodobania tego wprawdzie żartowano w Funduszu. Żartowała Bogna i Borowicz, pokpiwali inni i Malinowski śmiał się wraz z nimi, ale śmiał się na ich odpowiedzialność. W gruncie rzeczy gabinet Szuberta urządzony był przecie wspaniale, miał kąt do pracy, kąt do odpoczynku, makaty, gobeliny, cenne, a nawet bardzo cenne przedmioty, meble eleganckie i wygodne.

Początkowo Malinowski nosił się z zamiarem upiększenia — zadomowienia również i swego gabinetu. Nie doszło do tego z kilku powodów. Po pierwsze nie chciał narazić się Jaskólskiemu, po drugie odradzała Bogna, a poza tym nie było na to pieniędzy. Zresztą z biegiem czasu Ewaryst nauczył się myśleć o tym pokoju, jako o tymczasowej przystani, o chwilowym popasie, o etapie, do którego o tyle tylko trzeba przywiązywać znaczenie, że jest pierwszym.

Tym razem poczucie to wyraźniejsze było niż kiedykolwiek przedtem. Tym razem po raz pierwszy w życiu trzymał niejako w ręku cugle własnego losu. Wszystko, lub prawie wszystko zależało od przedłożenia, które ma przygotować dla ministra.

Usiadł i uważnie czytał własne notatki. Były przecie tak jasne i zrozumiałe, że pojąć nie umiał, dlaczego uznane zostały przez ministra za ogólnikowe.

— Trzeba je przerobić — myślał — ująć w paragrafy, podać konkretne przykłady. Ale jak, ale jak?

Właściwie mówiąc wierzył, że te notatki są już ostatnim słowem w tym, co mógł ministrowi przedstawić. Zawierały przecie ostrą krytykę dotychczasowej działalności Funduszu i wskazywały, że na przyszłość należy przedsięwziąć więcej ostrożności. Cóż można do tego dodać?... Gdyby minister miał więcej czasu i uważniej przeczytał, na pewno nie żądałby niczego ponadto.

— A może to tylko haczyk?... Może chciał memoriału, by zdyskredytować mnie w oczach Szuberta i wsadzić na moje miejsce jakiegoś swego protegowanego?... Wszystko jest możliwe...

Zamyślił się i doszedł do wniosku:

— Memoriał musi być tak skomponowany, by ani Szubert, ani Jaskólski nie mogli się do niczego przyczepić. Trzeba na samym początku i na końcu wsadzić pochwały dla nich. Zwłaszcza dla Szuberta, bo jeśli jest on kreaturą ministra, a to nie ulega wątpliwości...

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wpadł Szubert. Malinowski ledwie zdążył zsunąć notatki do szuflady.

— Wróciłeś pan? — zawołał prezes — no i cóż u licha nie przychodzisz pan do mnie?

— Właśnie przed chwilą, panie prezesie...

— No i cóż?

— Ciężką miałem sprawę — westchnął Malinowski.

— Gadajże pan do diabła! Minister zaakceptował?

— Dużo to kosztowało wysiłków, ale w końcu przyznał nam rację.

Szubert wytrzeszczył oczy:

— A cóż z interpelacją tego bałwana?

— Ach — machnął ręką Malinowski, dając do zrozumienia, iż minister zbyttno się interpelacją nie przejmuje — za to o panu, panie prezesie, wyrażał się z wielką sympatią, z prawdziwym uznaniem. Aż mi serce rosło, bo myślę sobie...

— Co pan sobie myślisz — przerwał Szubert — to pańska sprawa. Opowiadaj pan szczegółowo.

Malinowski przygryzł wargi. Dawniej znosił bez protestu niegrzeczności Szuberta. Oczekiwał też, że wicedyrektora prezes będzie inaczej traktował niż podrzędnego urzędnika. Jakże musiał panować nad sobą, by znosić nadal te gburowate uwagi.

Gdy wreszcie prezes wyszedł, Malinowski wyciągnął za nim pięść:

— Poczekaj ty, draniu. Jeszcze inaczej będziesz śpiewał.

Wprawdzie groźba ta nie mogła zrealizować się w najbliższej przyszłości, ale niech tylko Jaskólski otrzyma dymisję, a to wydawało się rzeczą pewną, czas będzie pomyśleć i o Szubercie. Malinowski nie wątpił, że otrzyma stanowisko po Jaskólskim. W całym Funduszu nikt nie nadawał się na to. Krasowski jąkał się, naczelnik wydziału samorządowego Ignatowski mógł wchodzić w rachubę, ale Ewaryst był już na tropie pewnej sprawy, która z lekka mogła i tego kandydata utrać. Jeśli zaś chodziło o Jagodę, ten miał plecy, ale nie posiadał pretensji i wyrobienia.

Stosunki Malinowskiego z Jagodą nie zepsuły się zresztą bynajmniej. Major wprawdzie nie ukrywał swego zdziwienia z powodu nominacji Malinowskiego, ale z właściwą sobie lojalnością od razu zaczął go traktować jak zwierzchnika, co Malinowskiego krępowało do tego stopnia, że starał się nie zaglądać do dawnego swego pokoju. Była tego i inna ważniejsza przyczyna: humory Borowicza.

Ten zmienił się nie do poznania. Stał się suchy, opryskliwy, milczący.

— Żre go zawiść — myślał Malinowski — niby ma dwa fakultety, a ja jednego nie skończyłem, w towarzystwie też więcej znaczył ode mnie, a tymczasem ja poszedłem w górę, gdy on nie ruszył się z miejsca.

Toteż humory Borowicza należało traktować pobłaźliwie. Nieraz jednak Malinowskiego korciło, by go utemperować, dać odczuć swoją władzę, „podciągnąć” dawnego kolegę. Jeżeli tego nie robił, wiele się na to składało przyczyn. Przede wszystkim byłoby nierozsądnie psuć sobie stosunki z człowiekiem, bywającym w najlepszych domach w Warszawie, z którym zażyłe „tykanie się” dawało swego rodzaju markę, po wtóre przyjaźń jego z Bogną też musiała być wzięta pod uwagę, a poza tym Malinowski lubił Borowicza, lubił szczerze i — co tu gadać — miał dlań sporo podziwu. O ile zaś dawniej niechętnie przyznawał się przed samym sobą do tego, o tyle teraz, gdy i on z innej strony mógł imponować Borowiczowi swoim dyrektorstwem, rachunek się wyrównywał.

— Boczy się?... Niech się boczy — myślał Malinowski — przyzwyczai się w końcu i przejdzie mu to.

I rzeczywiście zdawało się przechodzić. Stefan, który początkowo nie pokazywał się u nich wcale, zaczął od czasu do czasu zaglądać na godzinkę, na dwie, najpierw tylko z Urusowym, a później i sam. Wprawdzie bywał sztywny i milczący, ale i to musiało minąć.

— Jak myślisz — zapytał raz Malinowski Jagodę — czy Borowicz ma do mnie żal o co?

— Żal?... Nie wiem... Nie sądzę.

— Krzywi się jakby?... Ma jakieś humory? Nie?...

Jagoda wzruszył ramionami:

— Neurastenik. Porządny chłop, ale neurastenik. Wszyscy oni tacy.

— Jacy oni?

— Oni, panowie. Krew się wysiliła i osłabiła.

— No wiesz, Kaziu, Borowicz nie jest przecie cherlakiem.

— Owszem jest. Nie fizycznie. Nerwy scherlały, a przede wszystkim wola. Gatunek skazany na wymarcie.

Malinowski wydał wargi:

— No, nie wszyscy. Ja też jestem szlachcic, a jednak...

— Ty to co innego. Nie mówiłem o szlachcie i nieszlachcie, bo to w ogóle głupi podział. Mówiłem o takich, co to od szeregu pokoleń są w zbytku, w kulturze. A ty, bracie, ty...

— No?...

Jagoda zaśmiał się krótko, zmarszczył brwi i powiedział:

— Ja na przykład, to surowe zgrzebne płótno. Mocne jak cholera, nie zedrze się, nie zniszczy, mole tego nie zjedzą, bo im nie smakuje, ale sztywne, ścierwo, nie łatwo daje się przyprasować, wybielić, wygładzić... A Borowicz i jemu podobni to jak aksamit czy inny jedwab, ani to potrzebne, ani pożyteczne, ot jakby dla zabawy, dla przyjemności, dla upiększenia.

Malinowski chciał zaoponować, stanąć w obronie ludzi, do których sam siebie rad by zaliczył, ale wolał zapytać:

— A ja?

— Ty?... Takeś ciekaw?...

— Przyznaję. Ciekaw jestem, gdzie mnie umieścisz w tym swoim... sklepie bławnym?

— Na samym środku. Towar kurantowy, najpotrzebniejszy, najpraktyczniejszy... Ani za drogi, ani za prostacki, ot perkal... hm... w takie kwiatki, kratki, dobrze się pierze, idzie kilometrami, ładnie wygląda...

— Dziękuję ci — udawał żartobliwe oburzenie Malinowski — ładnieś mnie zakwalifikował.

W rzeczywistości jednak czuł się dotknięty i tegoż dnia w rozmowie z dyrektorem Jaskólskim powiedział:

— Jagoda to taki chłopski filozof.

Teraz jednakże, gdy po raz dwudziesty czytał swoje notatki i po raz dwudziesty dochodził do przekonania, że zmienić ich, rozszerzyć, skonkretyzować, przerobić na memoriał nie potrafi — przyszedł mu na myśl właśnie Jagoda. Ten miał zawsze jakieś projekty, jakieś innowacje, jakieś „podstawy społeczne” czy „tezy zasadnicze”...

Ale dzielić się z nim pracą równałoby się odkryciu kart, no i otworzeniu przed nim drzwi, które Malinowski trzymał teraz oburącz za klamkę. A drzwi te prowadziły do kariery.

Pozostawała Bogna. Wbrew zwyczajowi o tych swoich planach nie wspomniał jej dotychczas ani jednym słowem. Przewidywał, że spotka się z opozycją. Bogna przepadała za Szubertem i za żadne skarby w świecie nie przyłożyłaby ręki do wysadzenia go z siodła. Wprawdzie Ewaryst mógł chwycić się w stosunku do niej środków, które uważał za nieodparte, mógł rozgniewać się, nie odzywać się do niej, no i na dwie, trzy noce zapomnieć o jej istnieniu. Był pewien, że tym przeprowadziłby wszystko. Nie było jednak potrzeby wywoływania awantur, skoro wystarczało rzecz przemilczeć.

Kiedy jednak okazało się, że rachuby na fotel prezesowski są na razie zupełnie nieaktualne, a na przeprowadzeniu planu stracić może jedynie Jaskólski, można było pomówić o tym z Bogną spokojnie.

— Tym bardziej, że i tu nie potrzebuję jej wyluszczać wszystkiego. Wystarczy, że powiem co mam zrobić i z lekka zapytam o jej radę. Może nawet nie zorientować się jakie będą skutki mego memoriału.

Jednakże rozmowę tę Malinowski odkładał z dnia na dzień, mając nadzieję, że sam znajdzie rozwiązanie. W tym celu przez trzy dni chodził do biura w godzinach poobiednich, zamykał się w gabinecie i pisał. Cokolwiek wszakże napisał, nie różniło się prawie wcale od pierwotnej noty.

Wreszcie zdecydował się dyskretnie zwrócić się do Bogny.

— Moja droga — powiedział jej po kolacji — wspominałem ci, że byłem z raportem u ministra. Otóż wyobraź sobie, teraz minister żąda, bym mu złożył memoriał o reorganizacji Funduszu Budowlanego.

— Żebyś ty złożył? — zdziwiła się Bogna.

— Przecież nie cesarz chiński. Skoro mówię, że ja, to ja. Minister, rozumiesz, nie jest zadowolony z działalności Funduszu. Piknęły go zwłaszcza te wyrzucone przez okno czterysta jedenaście tysięcy i chce tak na przyszłość urządzić, by nie narażać się na przykre interpelacje.

— A cóż na to Szubert i pan Jaskólski?

— Jakto?... O święta naiwności!... Przecie oni nic o tym nie wiedzą!

— Przepraszam cię, Ew, ale sądziłam, że przede wszystkim zdałeś im sprawę z rozmowy z ministrem.

— Ani mi się śniło. Jeszcze czego! Zdarza mi się świetna okazja zwrócenia na siebie uwagi wyższych czynników miarodajnych, okazja wybicia się, pokazania co potrafię i mam lecieć z wywieszonym językiem do tych panów. Nie, moja droga. Po mnie się to nie pokaże.

Bogna jednak nie była przekonana:

— Zwykła lojalność nakazuje nie robić tego za ich plecami.

— Lojalność! — oburzył się — pierwsze słyszę, żeby dla lojalności wyrzekać się kariery.

— Pierwszy raz to słyszysz?

Malinowski skrzywił się. Znowu go poprawiała. Przyznawał jej rację, więcej, starał się mówić elegancko, ale czasami człowiekowi może się wyrwać takie powiedzenie, jak „pierwsze słyszę”. Nawet wynotował sobie listę tych „brukowych warszawizmów” — jak je nazywała Bogna — i nie mówił już: „na dworzu”, „ubrany do figury”, „pierwsze słyszę”, „pomarańcz”, „dosmaczyć potrawę”, gdy jednak w dyskusji zwróciła mu uwagę na użycie

przezeń takiego zwrotu, tracił kontenans i irytował się, gdyż podejrzewał Bognę o zamiar speszzenia go w ten sposób.

Obecnie jednak sprawa była zbyt poważna, a czasu zostawało niewiele. Puścił więc uwagę mimo uszu i zaczął przekonywać Bognę, że musi zachować tajemnicę wobec prezesa i Jaskólskiego, gdyż minister wyraźnie zażądał dyskrecji. Kto wie, może minister chce, by reformy zostały przeprowadzone z jego osobistej inicjatywy?...

Wreszcie Ewaryst wydobyl swoje notatki:

— Tu wynotowałem zasadnicze tezy, ale taki jestem przemęczony, tak mnie głowa boli, że doprawdy nad opracowaniem memoriału nie mógłbym teraz pracować, a rzecz jest pilna. Liczyłem, że zechcesz mi pomóc...

Bogna zgodziła się z radością. Zabrali się do notatek i Malinowski ze zdziwieniem słuchał jej komentarzy. Doskonale orientowała się w sprawach Funduszu Budowlanego, a w ciągu swojej kilkuletniej pracy w zarządzie zdążyła sobie wyrobić zdanie o różnych wadliwościach regulaminu, statutu i przepisów. Niektóre z jej spostrzeżeń uderzały swą trafnością. Zapaliła się do tematu i przegadali cały wieczór.

— Było już późno, gdy zaproponowała:

— Jeżelibyś pozwolił, kochanie, napisałabym projekt takiego memoriału. Ty powinienś już położyć się, jutro wcześniej musisz wstać, a mnie wcale spać się nie chce. Posiedzę i spróbuję napisać. Może ci się to przyda.

— Bardzo ci dziękuję — ziewnął — ale rzeczywiście jestem zmachany. Więc napisz tak, jakęśmy mówili... Dobranoc, żoneczko, dobranoc.

— Dobranoc, kochanie — ucałowała go serdecznie.

— A... tego... hm, uważasz, trzeba koniecznie wsadzić do memoriału kilka komplementów dla Szuberta i Jaskólskiego, że to niby ich zasługi, owocna praca i takie rzeczy.

— Jakże to ładnie z twojej strony — spojrzała nań rozjaśnionymi oczyma.

— Widzisz — uśmiechnął się — zawsze mnie sądzisz gorzej niż należy.

— O nie — zaprzeczyła — ja wiem, że jesteś dobry i szlachetny.

— Byle w miarę. Aha i jeszcze jedno: wy kobiety, jesteście zawsze zanadto gadatliwe, a tu trzeba buzię na kłódkę. Nikomu, ale to absolutnie nikomu ani słówkiem. Rozumiesz?

Odpowiedziała mu tylko spojrzeniem pełnym wyrzutu. Poglądził ją po włosach i poszedł do siebie.

W istocie nie był zmęczony, tylko znudziła go długa rozmowa o Funduszu. Przez kilka tygodni łamał sobie głowę i miał już tego dość. Teraz leżał wtulony w wygodne posłanie, zgasił światło i rozmyślał. Z trzeciego pokoju dolatywał stłumiony grzechot maszyny do pisania. To jego żona pracowała dla niego, jego kobieta, panna z hrabiowskiej rodziny, wielka dama, na którą patrząc podczas większego zebrania towarzyskiego trudno było uwierzyć, że się ma prawo głąskać ją po głowie, pieścić jej ciało, lub zasadzić do roboty. Z daleka robiła wrażenie tak samo niedosięgalnej, jak dawniej i czyż naprawdę nie pozostała taką dla dawnego Ewarysta Malinowskiego?... Dla tego dawnego, który leżąc w łóżku podziwiał siebie, nowego, szykownego pana z wyższych sfer, bywającego u Symienieckich, u Pajęckich, u Karasiów, u znakomitych uczonych, u wielkich przemysłowców, grającego w brydża z hrabiami i bankierami, tańczącego z żonami ambasadorów i księżnymi... Wprawdzie te znajomości, ten brydż i taniec nie były jeszcze dlań chlebem powszednim, ale wciskał się, aklimatyzował coraz bardziej w nowym świecie.

W każdym razie był już kimś. A teraz otwierała się przed nim dalsza droga, droga do dygnitarstw i władzy i znaczenia.

— Tak, może i miał rację Jagoda, że jestem człowiekiem potrzebnym, pożytecznym, no i że wreszcie się na mnie poznali.

Pogodnie zasypiał Ewaryst Malinowski, a sny miał lekkie, niedokuczliwe, przyjemne. To też obudził się wypoczęty, rześki, zadowolony z siebie. Bogna już czekała nań ze śniadaniem. Przyzwyczał się już do porcelanowej zastawy, do pachnącej kawy, ślicznie nakrajanych wędlin, ciepłych bułeczek, tostów, dżemów, a jednak pamiętał jeszcze te śmieszne czasy mętnej, żółtawej herbaty z aluminiową, szerniałą łyżeczką w krzywej szklance, wczorajsze bułki i pięć deka szynki woniejącej papierem, w którym leżała zawinięta od wieczora między oknami.

— To jest rzeczywiste, a tamto było koszmarem — myślał.

Nad rzeczywistością poruszały się smukłe, różowe, giętkie ręce Bogny, ustawiając filiżanki i talerzyki. Długie wąskie palce o nieprawdopodobnie przezroczystych paznokciach zdawały się nie dotykać porcelany. Podziwiał jej ręce.

— Swoją drogą — powiedział jej kiedyś — czegoś równie pięknego, jak twoje rączki, nie widziałem w życiu.

Było to przy Urusowie, który dodał:

— Ma pan rację. Można się w nie wpatrywać godzinami. Czytałem kiedyś nowelę o storczyku, od którego, kto raz spojrzal, oczu oderwać nie umiał i ginął z głodu. Te ręce są szczytem uduchowienia, do jakiego może dojść ludzkie ciało. Mogą służyć jako dowód nieistnienia granicy między materią i metafizyką.

— Przestań Miszutka — rumieniła się Bogna — po co wygadujesz te głupstwa.

— Całkiem niepotrzebnie — zgadzał się Urusow — „it is silly to gild refined gold and paint a lily”. Cóż począć, kiedy na przekór Szekspirowi wolimy robić rzeczy bezużyteczne i za Wilde’em nazywać to Sztuką.

Malinowski nie lubił, gdy mówiono przy nim w języku, którego nie rozumiał, lecz uśmiechał się domyślnie, wiedząc, że mowa to na pewno o piękności rąk Bogny, tych rąk, które wyciągały się do niego na powitanie zawsze z tym łagodnym i ciepłym porywem, które przesuwały się po jego świeżo ogolonej twarzy jedwabście i pachnąco.

Przy śniadaniu pobieżnie przeczytał elaborat żony. Spisany był na czterech stronach i to wydało mu się zbyt krótkie.

Bogna jednak była zdania, że krótkość memoriału nie odbiera mu powagi:

— Natomiast dzięki temu jest strawniejszy, treściwszy, zabierze mniej czasu ministrowi. Pomyśl, jakbyś się skrzywił, gdybyś otrzymał do przestudiowania olbrzymi foliał. Zresztą, jak uważasz. Prawdopodobnie i tak będziesz wprowadzał tu różne zmiany.

— Oczywiście — zapewnił Ewaryst.

W biurze, po załatwieniu najpilniejszych spraw bieżących zapowiedział woźnemu, że nikogo nie przyjmuje i zabrał się do czytania. Bogna ułożyła rzecz wcale pomysłowo. Podzieliła memoriał na paragrafy, a w każdym były dwa ustępy: jeden zawierał krytykę dotychczasowej procedury, drugi wskazywał, jakie zmiany należy wprowadzić.

Jednakże Malinowskiemu w samej treści proponowanych reform wiele się nie podobało. Zaczął kreślić, przerabiać, dopisywać.

Dwa razy telefonował do domu, by zapytać Bognę, dlaczego umieściła w memoriale niektóre punkty i zrobić jej z tego powodu lekką wymówkę, lecz wyszła na miasto po zakupy.

— To jest doprawdy nieprzyzwoitość — pomyślał, — żeby moja żona, żona wicedyrektora musiała sama łązić po sklepikach.

Wprawdzie dzięki temu prowadziła gospodarstwo bardzo oszczędnie, ale mógł ją ktoś z towarzystwa zobaczyć, a to byłoby gorsze od wszystkiego. Lepiej już jadać drożej i mieć produkty nie tak dobre, byle nie narażać się na plotki. Ostatecznie, jak cię widzą, tak cię piszą. Na zewnątrz ludzie nie wiedzą przecie, że pensja wicedyrektora wynosi osiemset złotych. Mogą myśleć, że zarabia ponad tysiąc.

— Boże — westchnął, — gdyby prędzej dochrapać się gaży Jaskólskiego! Człowiek stałby się panem całą gębą.

Tu myśl jego zwróciła się znowu do memoriału. Czuł, po prostu czuł w powietrzu, że dzięki temu wysadzi z siodła Jaskólskiego i zajmie jego miejsce. Oczywiście, stosunki z Jaskólskimi zerwą się, ale teraz już mógł nie dbać o takie stosunki.

— Wszystko zależy od tego, czy dobrze to napiszę — powtarzał sobie i raz po raz pocierał czoło.

Koło trzeciej miał już rzecz gotową, odetchnął i przeczytał całość półgłosem. Niestety, było to zbyt podobne do pierwotnych notatek.

— Co u diabła! — zaklął — nie wylizę z tego, czy co!?

Nagle olśniła go myśl:

— A gdyby tak zaproponować redukcję budżetu?... Na przykład połączyć rachubę z buchalterią?... A dział samorządowy z kontrolą spółdzielni mieszkaniowych?... Można by wylać ze trzech wyższych urzędników i około dziesięciu drobnych! To musi podobać się ministrowi! Wyborna myśl! Wyborna myśl!

Po chwili zastanowił się:

— A gdyby tak zaproponować skreślenie własnego etatu?... Co?...

To wydało mu się wręcz genialne: oto moja bezstronność, panie ministrze, oto moja dbałość o dobro instytucji! Proponuję skasowanie stanowiska wicedyrektora. Jest to niepotrzebny wydatek. Obowiązki wicedyrektora powinien spełniać sam dyrektor, który nic nie ma do roboty. Pyszne!

Tak się tym ucieszył, że dopiero po ponownym przepisaniu całości spostrzegł się:

— A jeżeli wyleją mnie?... Jeżeli skorzystają tylko z tej mojej rady? O, do licha!

Sięgnął ręką pod szufladę biurka i stuknął trzy razy palcem w niemalowane drzewo.

Poza tym redukcje w budżecie wewnętrznym mogły być tylko dodatkiem do projektowanych zmian. Przecie głównie chodziło o całą działalność Funduszu, o wydatniejszą, owocniejszą i ostrożniejszą działalność kredytową.

Nie poszedł na obiad do domu. Musiał to dziś skończyć. Po nowych przeróbkach opadły mu jednak ręce: nie wychodziło!

W mózgu już miał kompletny chaos. Jeszcze raz przeczytał elaborat Bogny, starając się wypatrzyć jego tekst zamazany przez siebie czerwonym atramentem. Wydał mu się wcale niezły.

— Pal sześć! — zdecydował się — dam to i już.

Usiadł przy maszynie i przepisał wszystko niemal w dosłownym brzmieniu, zaostrowując nieco niektóre zwroty. Na zakończenie dodał ustęp własny o redukcjach i po chwili wahania dopisał:

„Powinien także ulec skreśleniu etat wicedyrektora jako zbyt liczny. Funkcje te mogą być przekazane dyrektorowi”. — I podpisał:

— Ewaryst Malinowski — wicedyrektor Funduszu Budowlanego.

Odetchnął z ulgą, przeczytał początku i zatarł ręce:

— Jakoś to wyszło.

Postanowił też nic już nie zmieniać i nie dodawać. Dostatecznie namęczył się. Wróciwszy do domu zaraz się położył i leżąc opowiadał Bognie o całodziennej robocie. Zakończył słowami:

— Oczywiście nie za dużo wzięłem z twojej pracy. Sama rozumiesz... hm, ale i tak bardzo ci dziękuję.

Nie było to może ściśle, ale od prawdy nie odbiegało przecie zbyt daleko. Bądź co bądź on rzucił myśli, oddał podstawy, a ona je tylko ubrała w słowa, które wyzyskał.

Nazajutrz odwiózł memoriał do ministerstwa i wręczył sekretarzowi osobistemu w zaklejonej kopercie. Wracając do Funduszu pieszo i właśnie przechodził koło wspaniałego zakładu fryzjerskiego „Jerome and Matthew”, gdy tuż przed nim zatrzymała się granatowa limuzyna Symienieckich. Umyślnie zwolnił kroku. Należało skorzystać ze sposobności przywitania się. Drzwiczki się otworzyły i wysiadła sama pani Symieniecka, w aucie została Lola. Panie zamieniały z sobą ostatnie zdania, gdy zbliżył się w samą porę.

— Moje najniższe uszanowanie — szarmancko zdjął kapelusz i ściągnąwszy pośpiesznie rękawiczkę, dodał: — jakże się cieszę z tego spotkania.

— Witam pana — odpowiedziała pani Symieniecka i podała mu rękę.

— Jaka ona jest uprzejma — pomyślał Malinowski — trzeba naprawdę urodzić się wielką damą, by umieć tak się uśmiechnąć.

Z kolei złożył pocałunek na rękawiczkę Loli, a pani Symieniecka powiedziała:

— Daruje pan, ale śpieszę. Lolu, przyślij wóz za godzinę. Do widzenia.

Skinęła głową i znikła za drzwiami zakładu fryzjerskiego.

— Nie zatrzymuję, przepraszam bardzo — powiedział Malinowski nieco mniej wylewnie, gdyż w wielkich, szarych oczach Loli dostrzegł jakiś błysk, który wydał mu się ironią.

— Może odwiedzić pana — zaproponowała.

— O, dziękuję pani! Właściwie to przed chwilą odesłałem swoje auto urzędowe — skłamał — a to w zamiarze przechadzki. Mamy cudną pogodę. Ale jeżeli pani taka dobra?...

— Ależ proszę.

— Czy tylko nie sprawię pani dygresji? — zapytał, sadowiac się obok niej.

— Przeciwnie. Chciałam pana spotkać — odpowiedziała.

— Pani? — zdziwił się.

— Tak. Bardzo pan śpieszy?... Ja nie mam nic do roboty. Może się przejeździemy?
— Z rozkoszą — odpowiedział natychmiast, chociaż uprzytomnił sobie, że najdalej w ciągu kwadransa musi wrócić do biura, gdzie czekali nań interesanci i gdzie musiał rozmówić się z Szubertem.

— To dobrze. Piotrze — zwróciła się do szofera — proszę jechać do Konstancina i z powrotem.

— Ślicznie pani wygląda — powiedział Malinowski, gdy auto ruszyło.

Spojrzała nań z jakąś dziwną uwagą i nic nie odpowiedziała.

Pomyślał, że jego komplement zabrzmiał zbyt trywialnie w tej luksusowej karecie, pachnącej jakimiś wyszukаныmi perfumami i zmieszany poprawił się:

— Dlaczegoż wszystkie zachwyty, najszersze zachwyty, z konieczności trzeba ubierać w tak bardzo zbanalizowane słowa?

— Jak się miewa Bogna? — zapytała — nie widziałam jej od swego przyjazdu z Krynicy.

— Dziękuję pani. Zdrowa.

— Pan ją bardzo kocha? — rzuciła lekko.

— Ja? — zdziwił się — bardzo oryginalne pytanie.

— Kocha ją pan?

— Naturalnie.

— Myślałam inaczej.

Jej oczy patrzyły nań wprost, uparcie, obojętnie i prowokująco.

— Dlaczego pani myślała, że nie kocham Bogny?

— Bo zdaje mi się, że nie leży to w pańskim typie, miły... kuzynie.

Zaczerwienił się. Słowo „kuzyn” polechtało jego ambicję.

— Czy pani tak dobrze zna się na ludziach?

— O, nie, ale pan mnie interesuje.

Szeroko otworzył oczy. W pierwszej chwili sądził, że drwi zeń, potem obrzucił wzrokiem jej bladą, piękną twarz, nieduże, lecz pełne usta, szczupłą sylwetkę, owiniętą w puszyste futro i zrozumiał, że w słowach, które wydawały się nieprawdopodobieństwem tkwi prawda, jakaś niejasna, a przecież ważna prawda.

— Czy... czy dlatego powiedziała pani, że... chciała mnie spotkać? — zapytał niepewnie.

— Tak — skinęła głową.

— Jakież to dziwne — zaczął i urwał.

Dojeżdżali do Wilanowa. Od białych, zaśnieżonych pól i gęstej okiści drzew bił w słońcu blask jaskrawy. W tym świetle blada twarz Loli wydawała się przezroczystą, a jasność jej oczu traciła barwę. Tylko usta wypukłe czerwieniały jeszcze mocniej, jakby były pościągnięte szminką.

— Ona w ogóle jest dziwna — pomyślał Malinowski.

Zawsze wywierała nań wrażenie bardzo skromnej, przesadnie nieśmiałej panny, której doskonale wychowanie przykrywało bojaźliwość i szczerość. I dopiero teraz zwątpił o swojej opinii: Lola musiała być odważna i zła. Siedziała milcząca. Niesposób było odgadnąć o czym myśli, a Ewaryst wprost nie umiał znaleźć tematu do rozmowy. Wreszcie kazała szoferowi zawrócić.

— Już koniec marca — odezwał się Malinowski — a tymczasem zima w pełni.

Nawet nie spojrzała.

— Ach ten nasz klimat kochany — dorzucił sentencjonalnie.

— Co pan robi pojutrze wieczorem? — zapytała patrząc wciąż przed siebie.

— Ja?

— Czy ma pan wolny czas o piątej?

— Ależ naturalnie jestem do dyspozycji.

— Więc niech pan przyjdzie do mnie.

— Z najwyższą przyjemnością. A... czy to będzie większe przyjęcie?

— Nie.

— Rozumiem: kilka osób.

— Żle pan rozumie. Dwie osoby. Ja i pan.

Spojrzał na nią. Spoglądała obojętnie przez okno. Przez głowę przebiegały mu najnie-dorzeczniejsze myśli: Lola chce mu coś powiedzieć ważnego o Bognie... A może zako-chała się w nim?... Nonsens!... Więc co?... Prawdopodobnie interes. Chodzi o protekcję dla kogoś z jej znajomych, który stara się o pożyczkę w Funduszu Budowlanym...

— Zaintrygowała mnie pani — zaśmiał się.

— Aż zaintrygowałam?

— Doprawdy.

— Uśmiechnęła się ironicznie:

— W takim razie zawiodłam się na pana.

— Dlaczego pani zawiodła się? — z lekka się przestraszył.

— Sądziłam, że pan jest bardziej pewny siebie.

— Że jestem zarozumiały?...

Skinęła głową:

— Nawet bezczelny.

— Oho...

— Mężczyźni w pańskim typie bywają bezczelni — mówiła najobojętniejszym tonem — to jest konsekwencja tego rodzaju urody.

Zorientował się i pochylił głowę:

— Ja jednak nie przeceniam swojej powierzchowności i dlatego nie jestem bezczelny, ani nawet zarozumiały. Przykro mi — dodał tonem dowcipu — jeżeli sprawiłem tym pani zawód.

Lekko wzruszyła ramionami:

— To w gruncie rzeczy jest obojętne.

— A co jest... gruntem rzeczy? — śmiało spojrzał jej w oczy.

— Pozostawiam to pańskiej domyślności.

— Dużo pani ryzykuje... — zaczął ostrzegawczo.

— Zapewniam, że niewiele.

— Jednak moja domyślność mogłaby mnie zaprowadzić za daleko... Mogłaby prze-kroczyć pewne granice... Mogłaby sięgnąć poza ramy... powiedzmy... dozwolone.

Po każdym zdaniu zerkał ku niej, lecz wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na sekundę. Czuł się stropiony do reszty, lecz postanowił „rozgryźć” ją za wszelką cenę:

— Domyślność z takim biletem wolnego wejścia... hm... może posunąć się zbyt da-leko...

— Niech pan jej nie przeszkadza — odpowiedziała z miną jakby znudzenia.

Wjeżdżali do miasta i panna Symieniecka zapytała:

— Gdzie mam pana odwiedzić?

— Jeżeli pani łaskawa... — podał adres biura.

Gdy auto stanęło, wyskoczył, zdjął kapelusz i czekał na podanie ręki, lecz ona tylko skinęła mu głową.

— Niech ją diabli wezmą! Cóż za cholera! — mrucał do siebie — o co jej właściwie chodzi?!

Przez cały następny dzień dokuczała mu ta myśl. Powtarzał sobie całą rozmowę. Prze-prowadził ją elegancko i z tym... z esprit salonowego flirtu, ale chociaż pamiętał każde słowo Loli, nie mógł sobie wyrobić żadnego zdania. Na pożegnanie nie podała mu na-wet ręki. W wielkim świecie bywa to stosowane — o tym wiedział — ale przecie nie w stosunku do człowieka, którego zaprasza się na intymną wizytę.

— Istna wariatka!

I nawet wcale nie tak ładna. Owszem, oryginalna, dystyngowana, szykowna, ale nie ładna. Przypominał sobie, że dawniej, gdy spotykał ją w domu Bogny, a nie wiedział, że to z tych Symienieckich i że ma milion posagu, wcale na nią nie zwracał uwagi. Nawet i teraz nie podobała mu się wcale, chociaż musiał przyznać, że jest doskonale zbudowana i pod każdym względem nienaganna.

Jednak jej chłód i małowówność, i to jakby sarkastyczne uśmiechanie się, a wreszcie dziwna tajemniczość raczej odpychały go od niej.

Pomimo to w dniu oznaczonym od rana był niespokojny. Oczywiście postanowił pójść, a właściwie ani przez chwilę się nie wahał. Przeciwnie, obawiał się, że nie zastanie jej w domu, lub po prostu zapomniała o swoim przedwczorajszym kaprysie.

Ale nie zapomniała: lokaj z miejsca zameldował, że jaśnie panią jest w salonie i czeka na pana dyrektora.

— A pani? — od niechcienia chytrze zapytał Malinowski.

— Jaśnie pani dziś rano wyjechała do Nicei.

— Aha — pomyślał Malinowski — więc to naprawdę coś intymnego. Jednak nie za nadto, bo przecież lokaj!...

Tak czy owak zadowolony był z tej wizyty. Zdawało mu się, że panie Symienieckie jakoś boczą się i nie zamierzają zacieśniać z nim stosunków. Byli tu z Bogną kilka razy, ale jego samego zaproszono pierwszy raz.

Lola siedziała w niszy ogromnego salonu, w wielkim fotelu i czytała. Była w skromnej sukience z szarej wełny, zakończonej białym kołnierzykiem, zapiętym pod szyją. Wyglądała prawie jak pensjonarka. Sukienka sięgała ledwie za kolana odsłaniając naprawdę piękne nogi.

— Moje uszanowanie — z największą swobodą uklonił się Malinowski — zdaje się, że jestem punktualny.

— Dziękuję — wstała leniwie i podała mu rękę — chodźmy.

— Szanowna mamusia podobno wyjechała za granicę? — zapytał.

— Czemu pan tak zabawnie mówi: szanowna mamusia!?

Zatrzymała się w niedużym pokoju, gdzie stał tapczan, filigranowe biurczko i kilka półek z książkami.

— Właściwie — powiedziała jakby z wahaniem — jesteśmy kuzynami...

— Zaczerwienił się i zaśmiał się niepewnie:

— Rzeczywiście...

— Możemy pozwolić sobie na więcej... poufałości. Zachowujemy się zbyt oficjalnie. Na przykład... na przykład moglibyśmy się pocałować.

Malinowskiemu szeroko otworzyły się oczy. Wzrost twarzą panny Symienieckiej nic się nie zmienił, przyglądała mu się z półuśmiechem, uważnie i obojętnie. Tylko w całej postaci, w czymś nieuchwytnym uzewnętrzniało się jakby niezadowolenie, czy zdenerwowanie.

Malinowski przełknął ślinę i wykrztusił:

— Ależ... nie przypuszczałem... z przyjemnością...

Zaśmiała się sztucznie, zbliżyła się doń i powiedziała:

— Więc!?

Zrozumiał wybornie, że ma ją pocałować, że ona sama tego chce, że jeżeli będzie zwlekał, ośmieszy się przed nią, a jednak nie mógł, nie umiał zdobyć się na odwagę, której przecie tu właściwie wcale nie było potrzeba.

— Pan jest strasznie nieśmiały — stwierdziła z obiektywną miną.

— Jestem zaskoczony... Nie spodziewałem się tego...

— ...Tego szczęścia?... skończyła — No?!

Pochylił się ku niej z zamiarem pocałowania w policzek, czuł przy tym, że robi to okropnie niezdarne, lecz Lola cofnęła głowę i orzekła:

— Nie tak.

Nim spostrzegł się objęła jedną ręką jego szyję, drugą oparła mu na piersi i przywarła ustami do ust.

Dalsza realizacja poufałości rodzinnej nie przedstawiała już dla Malinowskiego poprzednich trudności. Objął Lolę silnie i całował po oczach, po włosach, po wargach.

Teraz wiedział, że robi to ładnie. Niezgrabność znikła wraz z onieśmieleniem.

Natomiast ona prawie bezwiednie zwiśla mu w rękach i gdyby nie oczy, szare, tajemnicze oczy, które wciąż wpatrywały się z uwagą w jego twarz, myślałby, że zemdląca.

Trwało to kilka minut, po czym lekko wyswobodziła się z jego objęć i powiedziała:

— Niech pan zaczeka.

Wyszła i nie było jej dość długo. Malinowski usiadł, poprawił krawat, strzepnął nitkę z rękawa i czekał.

— Dziwna panna — myślał — czy ona zakochała się we mnie, czy co?...

Czuł jeszcze na wargach dotyk jej chłodnych rozchylonych ust i gubił się w domysłach, czym się to wszystko skończy.

Nie dosłyszał jej kroków, gdyż podłogi były pokryte grubymi dywanami (taki jeden mógł kosztować do dziesięciu tysięcy — same perskie!), drzwi również nie ostrzegły go, gdyż w długiej amfiladzie wszystkie były pootwierane.

Zjawiała się nagle w czerwonym jak krew szlafroku i w czerwonych pantofelkach ranych na wysokich obcasach, nad którymi widoczne były nieosłonięte, bladoróżowe pięty.

— Ona jest naga — pomyślał — pod tym szlafrokiem nie ma nic.

Teraz zrozumiał i nieco się speszył. Chciał wstać, lecz usiadła obok i jego lekko przytrzymała, przy czym czerwony jedwab odchylił się odsłaniając nagie piersi, małe, jędrne, odrobinę zaróżowione...

Chciał powiedzieć, że należy zachować ostrożność, że drzwi pootwierane, że może służba wejść, lecz sytuacja była tego rodzaju, że nie wypadało. Wypadało całować i Malinowski zabrał się do całowania. Szlafrok zsunął się z jej ramion, z kolan i leżała teraz przed nim zupełnie naga, wspinała swymi kształtami i kolorem skóry, przypominającym kość słoniową.

— Niechże się pan rozbierze — odezwała się spokojnie.

— A czy tutaj nikt nie... wejdzie? — zapytał zdyszany, gdyż przez głowę przemknęła mu obawa, że cała ta scena może być urządzona w celu jakiejś bliżej nieokreślonej pułapki.

— Pan się boi? — zapytała.

— O, cóż znowu! Chodzi mi o panią.

— Marnuje pan czas — zauważyła spokojnie.

Rozejrzał się zakłopotany, wreszcie stanął za drzwiami i szybko pozbył się garderoby. Był zły na siebie, na pannę Lolę, na sytuację, układającą się dziwnie bez zachowania normalnych reguł. Przecie nieraz czytywał romanse z wielkiego świata i wszędzie odbywało się to po ludzku, nie przy otwartych drzwiach, z jakąś rozmową, z winem i trunkami, ciastkami... Dlaczego on, właśnie on miał znosić wybryki tej puszczającej się panny!... Jednakże, chociaż nie odczuwał najmniejszej ochoty do flirtu w tych warunkach, należało rolę odegrać do końca: nie wypadało cofnąć się.

Ściągnął koszulę i z przyzwyczajenia pływackiego przeżegnał się, lecz przyszło mu na myśl, że przez nieuwagę popełnił świętokradztwo, wobec czego trzy razy stuknął lekko o poręcz krzesła, zawahał się i wszedł. Samo wejście jedynie w skarpetkach było nad wyraz przykre. Lola przyglądała mu się bezczelnie.

— To wyuzdana pannica — pomyślał prawie z nienawiścią i z uśmiechem pochylił się nad nią, szepcząc:

— Jakaś ty piękna!...

Zresztą naprawdę była świetna w swojej nagości i niepokojąca tym chłodem i tą przytomnością, z jaką przez cały czas obserwowała go swymi dziwnymi oczyma. Musiała jednak być niezwykle zmysłowa, tylko zmysłowość jej miała specyficzny zimny ton.

Gdy już było po wszystkim, a ona leżała nieruchomo z zamkniętymi powiekami, szepnął:

— Kocham cię...

Podniosła rzęsy i spojrzała zdziwiona:

— Co pan robi?

— Kocham cię — powtórzył bez przekonania.

Wówczas wybuchnęła głośnym, przykrym śmiechem.

— Cóż w tym zabawnego? — obraził się.

— Kłamstwo — odpowiedziała — niepotrzebne kłamstwo.

— Ja mówię prawdę.

— Ach! — machnęła ręką.

— Nie doceniasz siebie, najdroższa — powiedział, starając się swemu głosowi nadać brzmienie powagi — jesteś cudowna.

— Pan ma dużo humoru — odpowiedziała zimno — czy już jest szósta?

— Skądże ja mogę wiedzieć! — zirytował się.

Przeciągnęła się i sięgnęła po szlafrok. Wybilby ją teraz z rozkoszą.

— Niech pan wyjrzy do salonu — odezwała się naciągając pantofelki — na kominku stoi zegar.

— Nie będę przecież w takim stroju chodził po mieszkaniu! — oburzył się.

— Ach, przepraszam. Zresztą... może pan już ubrać się.

Chciał powiedzieć „dziękuję za pozwolenie”, ale ugryzł się w język. Ubierał się w milczeniu. Właśnie kończył, gdy Lola powiedziała:

— Już kwadrans po szóstej. Niech mi pan wybaczy, że nie mogę go dłużej zatrzymać, ale na szóstą kazałam przygotować kąpiel. Nie cierpię wystygłej kąpeli.

— Jestem gotów — uśmiechnął się, z wściekłością dociągając krawat.

Nacisnęła guzik dzwonka.

— Trafi pan do przedpokoju? — zapytała uprzejmie.

— O, na pewno. Żegnam panią.

— Tylko do widzenia. Jestem panu bardzo wdzięczna. Był pan rzeczywiście miły. Wyjątkowo przyjemnie spędziłam popołudnie.

Wyciągnęła doń rękę lekkim ruchem, jakby ich nigdy nic nie łączyło. Malinowski jednak przytrzymał jej palce:

— Lolu! — powiedział z wyrzutem.

— Co?

— Jesteś taka dziwna. Zupełnie, ale to zupełnie nie rozumiem twego postępowania.

— Służący idzie — ostrzegła — pomówimy innym razem.

— Kiedy?

— Zadzwoń do pana. Do widzenia i dziękuję.

Malinowski wrócił do domu w fatalnym humorze. Zaraz na wstępie posprzeczał się z Bogną z jakiegoś powodu. Wiedział, że nie ma racji, lecz musiał dać ujście swej wściekłości. To, że Bogna natychmiast przyznała mu słuszność, zgniewało go jeszcze bardziej.

Powiedział brutalnie:

— Nie znoszę, gdy się ktoś do mnie łąsi.

Widział, że zbladła. Postąpił z nią po chamsku i zrobiło mu się żal dobrej Bogny, ponieważ jednak przez nią musiał uznać się winnym, jego niezadowolenie jeszcze bardziej wzrosło.

— Mam dziś wieczorem konferencję — oświadczył opryskliwie — i po kolacji wychodzę.

Była to nieprawda i sam namyślał się dokądby pójść, skoro już zapowiedział. Przez cały wieczór siedział w swoim pokoju, a nie mając nic do roboty rozwiązywał rebusy z wszystkich starych numerów tygodnika filmowego.

Kolację jedli w milczeniu. Bogna odzywała się wprawdzie kilka razy, próbując nawiązać rozmowę, lecz on odpowiadał monosylabami. Właściwie złość mu już przeszła, lecz chciał utrzymać się w stylu. Poza tym rozmyślał o kobietach w ogóle, a o Loli i Bognie w szczególności. Po cichu sam przed sobą przyznawał się, że nie zna kobiet. Unikał ich, w ich towarzystwie czuł się skrępowany. Jego osobiste doświadczenie ograniczało się do kilku przygodnych i krótkich romansików z pokojówkami i szwaczkami. Z lektury i z obserwacji własnej wiedział, że kobiety kosztują, że muszą kosztować dużo pieniędzy i to go odstraszało. Nawet później, gdy już zarabiał nieźle i miał pewne oszczędności, nie szukał romansu. Stosunek z jakąś skromną, nieelegancką dziewczyną nie dałby żadnej satysfakcji. W jego wyobraźni kobiety były tylko częścią wystawnego, luksusowego życia, składającego się z wyścigów, klubów, polowań, knajp, wyjazdów za granicę, z rozmów o markach win i samochodów, o rasie koni i psów, o pikantnych szczegółach buduarowych, a zwłaszcza o skandalikach z aktorkami. Pogardliwie wymawiane słowa „złota młodzież” czy „hulaka” miały dlań urok jakiegoś najwyższego dyplomu towarzyskiego i ludzkiego. Nie wierzył też, by pogardliwy ton był u kogokolwiek tu szczery. Po prostu zazdrościli. Taki na przykład Borowicz, lekceważąco wspominający o swoim kuzynie Denhoffie, jako o birbancie i darmozjadzie, na pewno mu zazdrościł. A właśnie Denhoff prowadził taki szykowny, taki wielkopański tryb życia: ubierał się za granicą, miał wykwinną garsonierę, codziennie bywał w knajpach, na premierach siadywał tylko w pierwszym rządzie, z całą arystokracją był na ty, pokazywał się z najszykowniejszymi aktorkami i kiedy wyciągał złotą papierośnicę, czy pokryty herbami pugilares, miał w tym gest magnacki.

Jeszcze siedząc przy skromnym, referenckim biurku Malinowski układał sobie, iż z czasem, gdy się fortuna odmieni, musi postarać się o zblizenie z tym człowiekiem. Przygotował nawet grunt do tego zblizenia przy pomocy kilkakrotnych pożyczek po trzysta

czy czterysta złotych. Denhoff miał kłopoty finansowe i czasami zaglądał do Borowicza zapytaniem, czy nie mógłby mu na parę dni służyć taką drobną kwotą. Ponieważ zaś Stefan najczęściej nie mógł, Malinowski z przyjemnością go zastępował. Zresztą nie zawiódł się ani razu: Denhoff odsyłał punktualnie dług przez lokaja, lub przynosił sam, niedbale wyjmując z grubo wypchanego pugilaresu szeleszczące banknoty.

— Twój kuzyn, Stefku — mawiał Malinowski do Borowicza — wydaje pieniądze garściami. Ręczę, że dziś miał w portfelu ponad dziesięć tysięcy. Musi być bogaty facet.

Borowicz wzruszał ramionami. Kiedyś jednak powiedział:

— Denhoff jest goły, jak bicz. Jego ojciec miał wprawdzie dobra na Kujawach, ale nic z tego nie zostało. Jego matka otrzymuje tylko małą rentę od swego szwagra. Jakies najwyżej pięćset złotych miesięcznie.

— No, dobrze, a skądże baron ma tyle?

— Nie wiem. Prus dzielił ludzi na cztery kategorie: na tych, o których wiadomo, skąd biorą pieniądze i na co wydają, tych, o których wiemy skąd biorą, lecz nie wiemy na co wydają, takich, o których wiemy na co wydają, lecz nie wiemy skąd biorą, i wreszcie na takich, o których nie wiadomo ani skąd biorą, ani na co wydają.

— I co przez to chcesz powiedzieć?...

— Że właśnie Romek Denhoff należy do czwartej kategorii. Nie lubię takich ludzi i unikam ich w miarę możliwości.

Malinowski jednak nie brał poważnie zarzutów Stefana. Jeżeli nie zawiść, to zwykła niechęć mogła przezeń przemawiać. Pozostawało faktem, iż Denhoff miał pieniądze, żył wystawnie, bywał na przyjęciach w najlepszych salonach u arystokracji i w ambasadach, że należał do Klubu Myśliwskiego, a czy pieniądze wygrywał w karty, czy na wyścigach, czy miał jakie inne dochody — to już było obojętne. Stosunki też miał ogromne w sferach oficjalnych. Na uroczystościach wojskowych zjawiał się w mundurze oficerskim, gdyż podczas pierwszych lat niepodległości służył w żandarmerii w randze porucznika.

Właśnie rozmyślając nad tym, co by począć z resztą wieczoru Malinowski przypomniał sobie Denhoffa i postanowił go odszukać. Nie było to trudne. Wystarczyło zatelefonować do domu barona i zapytać służącego. Skorzystał z chwili, gdy Bogna wyszła do kuchni wydać dyspozycje na jutro, i zadzwonił. Szczęśliwym trafem Denhoff był jeszcze w domu. Malinowski poznał jego głos, lecz umyślnie powiedział:

— Mówi dyrektor Funduszu Budowlanego Malinowski, czy zastałem pana barona?

Denhoff mógł nie wiedzieć lub zapomnieć o nominacji na wicedyrektora, a zwykłego referenta może zlekceważyłby.

— A, dobry wieczór panu — łaskawie odezwał się Denhoff — cóż za miła niespodzianka. Czemu mam zawdzięczać pański telefon?

— Pan baron wspominał kiedyś, że moglibyśmy pójść na kolacyjkę. Otóż dziś mam wolny wieczór. Jeżeli by baron wybierał się...

— O, a żona da panu urlop?...

— Nie jest taka sroga — zaśmiał się Malinowski.

— To czarująca kobieta. Zechce pan złożyć jej ode mnie uszanowanie.

— Dziękuję bardzo.

— A co do wieczoru... hm... właśnie przebieram się. Jeżeli pana to nie zgorszy, niech pan zajdzie po mnie...

— Z przyjemnością.

— Pojechalibyśmy do Bristolu. Tam teraz zbiera się najlepsze towarzystwo.

— Owszem, słyszałem. Doskonale.

— Więc czekam. Do widzenia panu.

— Moje uszanowanie, panie baronie.

Odłożył słuchawkę i spostrzegł, że w pokoju jest Bogna. Weszła pod koniec rozmowy:

— Czy rozmawiałeś z Denhoffem? — zapytała.

— Tak — odburknął — on też ma być na tej konferencji.

Nic nie odpowiedziała, lecz gdy już wychodził, pogłaskała go po twarzy:

— Nie wracaj zbyt późno — uśmiechnęła się.

— Postaram się.

— I wiesz co, nie wdawaj się z Denhoffem. To nie jest może człowiek zły, ale próżny i powierzchowny.

- Ślubu z nim nie biorę — wzruszył ramionami.
- Wolałabym, żebyś się trzymał odeń z daleka.
- Dobrze, dobrze. Dobranoc, najdroższa.

Pocałował ją w czoło i wyszedł. Denhoff mieszkał w alejach Ujazdowskich. Zajmował małe, ale eleganckie mieszkanie na pierwszym piętrze, które kiedyś było częścią dużego apartamentu. Po śmierci ojca matka przeniosła się do Kanoniczek na Plac Teatralny, a baron zatrzymał dla siebie dwa pokoje z łazienką. Dywany, klubowe fotele, sztychy angielskie, stół z whisky i syfonami, olbrzymi jak cielę dog holenderski, wylegujący się na tapczanie i stosy gazet.

Gospodarz kończył garderobę. Wysoki, ciężki, o szerokich barach i szerokiej wielkiej twarzy, z której bystro patrzyły małe, ciemne oczy, robił wrażenie raczej ukraińskiego chłopca. Tylko grube usta, wygięte dumnym łukiem pod rzadkim i krótko przyszczyżonym, czarnym wąsem, starannie zaczesane włosy i wymanicurowane ręce świadczyły o jego prawdziwej pozycji towarzyskiej.

Przyjął Malinowskiego z rezerwą, ale grzecznie. Bezceremonialnie otworzył przy nim szufladę biurka i naładował do pugilaresu kupę banknotów.

— Sądząc z tego zapasu — swobodnie zaśmiał się Malinowski — zamierza baron szaleć.

— Gentleman zawsze musi być przygotowany na wszystko. No chodźmy. Aha... przepraszam pana... chwileczka.

Przeszukał kieszenie zdjętego poprzednio ubrania, znalazł jakąś kartkę, którą rozerwał i chciał rzucić do kosza, lecz po namyśle spalił ją nad zapalką.

— Pewno list miłosny jakiejś damy z wyższych sfer — pomyślał Malinowski — to się nazywa ostrożność.

Jednocześnie przyszło mu do głowy, że mógłby Denhoffowi zaimponować, gdyby powiedział mu, że Lola Symieniecka jest jego kochanką. Oczywiście byłoby to świństwo, ale dać do zrozumienia w jakiś dyskretny sposób, to nie to samo co powiedzieć wprost.

W restauracji było prawie pełno. Na wszystkich nielicznych wolnych stołach widniały kartki z nadrukiem „Zamówiony”. Jednakże dla nich znalazł się wygodny stolik tuż przy ringu tanecznym.

— Pan baron będzie łaskaw — z poufałą uniżonością kłaniał się zażywny maitre d’hotel — faktycznie zarezerwowałem to dla szambelana Koryckiego, ale on będzie rad...

— Szambelan jest w Warszawie? — zdziwił się Denhoff. — Sam?...

— Samusieńki, panie baronie. Przyjechał rano, był na obiedzie, a teraz jest w teatrze na rewii.

— No to bez rybki nie wróci — porozumiewawczo zaśmiał się Denhoff.

Malinowski spodziewał się nadzwyczaj wykwintnej kolacji i liczył, że jeżeli Denhoff pozwoli mu zapłacić, pięknie jakieś sto pięćdziesiąt złotych, to też dozna pewnego zawodu, gdy baron wybrał tanie przekąski i zwykłą porcję sandacza. Nie wypadało sadzić się wyżej. Zresztą Malinowski jadł i tak tylko dla towarzystwa, bo był po kolacji. Za to koniak podano drogi, zagraniczny, lecz Denhoff pił mało. Jedyną pociechą było to, że stolik wyglądał luksusowo, zwłaszcza gdy postawiono na nim płaski koszyk z leżącą butelką „Chambertin’a”.

Denhoff znał tu wszystkich, kłaniał się na prawo i lewo, z niektórymi panami i paniami wymieniał uśmiechy, innym ledwo kiwał głową z miną kamienną. Przy tym objaśniał, sypał nazwiskami i to jakimi nazwiskami. Kilka osób znał również i Malinowski. Pan Sarnecki bywał u Karasia, a pułkownik Szormiński przyjaźnił się z Jagodą.

— Zna pan Szormińskiego? — zainteresował się Denhoff.

— O, tak. Jest przyjacielem jednego z moich urzędników.

— On, zdaje się, pracuje w departamencie mobilizacyjnym?... Tak... Bardzo dzielny, podobno, człowiek. Siedzi sam. Może byśmy go zaprosili? Czy jest pan z nim dostatecznie dobrze?... Będzie nam weselej. Chętnie bym go poznał.

Malinowski, chociaż nie był pewien przyjęcia przez pułkownika propozycji, musiał wstać i zaprosić go. Zaczął od zapewnienia, że „nasz kochany Kazio” wspomina często pułkownika, po czym powiedział:

— Jestem tu z moim przyjacielem, baronem Denhoffem, czy nie powiększyłby pan pułkownik naszego małego grona aniołków? Bardzo prosimy.

Po chwili siedzieli już we trójkę, a wkrótce przyszedł starszy już i łysy jak kolano szambelan. Nie przyprowadził wprawdzie rybki, ale zapowiedział, że przybędzie i bawił Malinowskiego opisem jej fizycznych i duchowych zalet. Była to znana aktorka. Tymczasem Denhoff zajęty był ożywioną rozmową z pułkownikiem. Mianowicie krytykował nową organizację powiatowych komend uzupełnień. Pułkownik, który jak się okazało, poczuwał się do współautorstwa tej organizacji, gorąco jej bronił, przytaczając liczne argumenty. Nieco po północy zjawiała się „rybka” szambelana i rozmowa stała się ogólna.

— Czy szambelan ją utrzymuje? — zapytał po cichu Malinowski Denhoffa.

— Oczywiście. Kosztuje go tysiąc złotych miesięcznie. A korzysta z jej, że tak powiem, usług, rzadko, bo czasami po kilka tygodni nie pokazuje się w Warszawie. Przepraszam na chwilę, wstąpię do baru — zakończył — zobaczę kto tam jest.

— I ja zajrzę — zerwał się Malinowski.

Zauważył, że baron się skrzywił, lecz nie wypadło już zrezygnować. W barze jeszcze było pustawo. Tu zabawa zaczynała się później. Przy bufecie, na wysokim stołku siedział tylko jeden niepozorny człowieczek w smokingu.

— Wypiłbym kieliszek dżinu — powiedział Denhoff i usadowił się obok owego faceta, wskazując drugie miejsce Malinowskiemu — panie barman, dwa dżiny.

Gdy tak siedzieli, Malinowski zauważył, że baron jakby coś oddał nieznanemu, lecz musiało to być złudzenie. Po chwili wrócili na salę. Pułkownik wstał i zaczął się żegnać.

— Ale jeszcze diabelnie wcześniej — oponował baron — mam projekt. Pojedziemy do „Mascotty”. No?

— To nudna dziura — odrzekł szambelan, lecz jego towarzysza była innego zdania, wobec czego zdecydowano jechać do „Mascotty”. Kelner podał rachunek i Denhoff bezapelacyjnie oświadczył, że to on płaci.

— Ależ to moja propozycja — upierał się Malinowski.

— Zapłaci pan w „Mascotte”.

Zresztą rachunek wyniósł tu niespełna sto złotych i jedno tylko zdziwiło Malinowskiego, że w portfelu barona było teraz niewiele więcej.

Po drodze pułkownik chciał uciec, ale nie puścili go. W nowym lokalu pili szampana i jedli owoce. Było już nad ranem, gdy Malinowski płacił rachunek: trzysta czterdzieści złotych. To go otrzeźwiło. Niektóre pozycje rachunku wydały mu się nieprawdziwe, inne znacznie przesadzone. Ponieważ jednak nie wypadło targować się, zapłacił, udając wesołość.

Po wszystkim miał złość do siebie: wydana suma stanowiła prawie połowę jego pensji wicedyrektorskiej. A przecież są ludzie, których stać na codzienne bywanie w knajpach.

— Do diabła! Żeby prędzej wyrzuciono Jaskólskiego — myślał — miałbym wówczas pensję co się zowie.

Nazajutrz wstał z bólem głowy, niewyspany, zły. Drażniło go i to także, że Bogna udawała, że nie wie o jego późnym powrocie do domu, że była taka jak zawsze, nie robiła mu wyrzutów, na które miał już przygotowaną taką odpowiedź, że zamilkłaby od razu.

— Moja droga — powiedziałaby — kategorycznie wypraszam sobie wtrącanie się w moje interesy. Nie znoszę kontroli, jestem dorosłym mężczyzną na poważnym stanowisku i nie po to się żeniłem, by zafundować sobie kogoś do kontrolowania mojej osoby.

Ponieważ jednak nawet nie skrzywiła się nań, wychodząc do biura, niespodziewanie dla samego siebie powiedział:

— Wiesz, kochanie, piłem wczoraj i za dużo wydałem...

Chciał, by go spytała ile, lecz ona tylko uśmiechnęła się:

— Cóż począć, skoro tak się złożyło. Zaraz po obiedzie położysz się i prześpisz.

— Wydałem dwieście złotych — wyrzucił z siebie — nie starczy nam do końca miesiąca.

— To przykro — powiedziała — ale nie martw się. Zalatamy jakoś tę dziurę.

— Jakoś! Jakoś! Oto kobiece traktowanie sprawy — rozgniewał się — zawsze to „jakoś”.

Po dwóch dniach dowiedział się, że Bogna owe jakoś rozwiązała w ten sposób, że zastawiła pierścione. Nie bardzo był z tego zadowolony, gdyż tego właśnie wieczoru mieli

większe przyjęcie u państwa Pajęckich, gdzie wszystkie panie wprost lśniły od drogiej biżuterii, podczas gdy wspaniały brylant jego żony leżał w lombardzie.

Liczył, że na tym wieczorze spotka Lolę Symieniecką i podczas tańca rozmówi się z nią. Układał sobie nawet prosty plan, polegający na lekkim akcentowaniu swojej zażyłości z Lolą. Tymczasem wcale nie przysła. Dzwonił do niej kilka razy, lecz nie mógł jej zastać. Zawsze odpowiadano, że wyszła. Już zaczynał w tym podejrzewać jakąś nieprawdę, gdy pewnego dnia otrzymał w biurze telefon:

— Tu mówi lokaj pani hrabiny Symienieckiej. Jaśnie panienka poleciła prosić pana dyrektora, żeby był łaskaw przyjść dzisiaj o piątej.

— A panienki nie ma?

— Jaśnie panienka wyjechała na miasto.

— Dziękuję. Proszę powiedzieć, że przyjdę.

I poszedł. Wprawdzie wydało mu się trochę nietaktowne takie powierzenie zaproszenia służącemu, ale rad był, że obawy o rozczarowaniu się Loli okazały się niepotrzebne. No, i że rozmówi się z nią, że stwierdzi, czy ta dziwaczka naprawdę jest w nim zakochana na swój oryginalny sposób. Jeżeli by tak było!... Tu przed wyobraźnią Malinowskiego rozwijały się szerokie perspektywy i jakże ważne konsekwencje. Oczywiście byłoby wiele trudności do zwalczania. Rozwieść się z Bogną to jeszcze nie tak wiele, ale czy rodzina zgodzi się na jego małżeństwo z kuzynką Bogny. Taka pani Symieniecka jest konserwatywką, a posag Loli zależał od jej matki. Gra jednak była warta świeczki!

— Do licha! Milion piechotę nie chodzi! Wówczas nie ja bym skakał koło takich Denhoffów i szambelanów, ale oni koło mnie.

Lolę zastał w tym samym szlafrocuku na tym samym tapczanie. Do rozmowy jednak nie przyszło. Lola była usposobiona wesoło i wszystko obracała w żart. Na zakończenie na przykład, gdy już był ubrany, powiedziała:

— Po cóż doszukiwać się jakichś uczuć w tym, co jest zwykłą przysługą?... Pozwala mi pan korzystać ze swego doskonale zbudowanego ciała, przyjemnej w dotyku skóry i wystarczającego temperamentu. Ja panu rewanżuję się w miarę posiadanych możliwości. Mamy oboje zagwarantowaną higienę i zaspokojenie aktualnych potrzeb organizmu.

— Ja nie umiem tak — próbował zacząć z poważnej beczki Malinowski — ja muszę mieć kontakt duchowy...

— Czy pan nie przesadza? — śmiała się.

— Ależ, słowo honoru, że nie.

Wówczas śmiała się jak wariatka. Z jakąż przyjemnością wykręciłby jej ręce aż do bólu. Zaciśnął jednak pięści i powiedział:

— To trudno. Ja bez uczuć nie mogę...

Zapaliła papierosa i wypuszczając dym wąską, długą smugą, przechyliła głowę:

— Ach, uczuciom... uczuciom dajmy... spokój, dajmy im tymczasem spokój. Niech mają dostateczny czas, by z niepozornych pączków rozwinęły się we wspaniałe egzotyczne kwiaty oszołomień, woniące aromatem szczęścia i Nirwany.

Powiedziała to nawet dość pięknie, co umiał ocenić, lecz czas mijał, spotkania powtarzały się, a niepozorne pączki nie chciały rozwijać się w egzotyczne kwiaty uczuć. Żeby chociaż Lola zechciała nie otaczać ich wzajemnego stosunku taką bezwzględną tajemnicą, jakby się go wstydziła. Na przyjęciach, gdzie się od czasu do czasu spotykali, w teatrze, czy nawet na ulicy, ledwie raczyła kiwnąć mu głowę.

A tymczasem zdarzyła się bardzo pomyślna okazja: Bogna wyjechała do Iwanówki, gdyż jej ojciec ciężko zachorował. Tegoż dnia Malinowski robił po południu wyrzuty Loli:

— Zniszczyłaś moją miłość do Bogny. Zrujnowałaś moje szczęście, ale nie żałuję tego, jeżeli uwierzysz mi, że do szaleństwa cię Kocham.

— Nie uwierzę — śmiała się.

— Daję słowo honoru! — uderzył się w piersi.

— Masz ślicznie sklepioną pierś — zauważyła tonem aprobaty.

W niektórych chwilach mówiła doń na ty, lecz natychmiast potem obojętnie nazywała go panem.

— Powiedz jedno słówko, a zerwę z Bogną! — prosił.

— Ależ po co!?

— Kocham cię i żyć bez ciebie nie mogę. O, ja nieszczęśliwy!

Znowu zbyła go żartami i, jak za każdym razem, wychodząc przysięgł sobie, że więcej nie przyjdzie. Jeżeli też przychodził to jedynie dlatego, że miał iskierkę nadziei.

— Przywyknie do mnie — myślał — to później na innych nawet spojrzeć nie zechce. Mało jest mężczyzn tak dobrze zbudowanych, pięknych, no i jednocześnie przedstawiających indywidualną wartość.

A właśnie zaczynało się to, co jego wartość miało poważnie podnieść. Na Fundusz Budowlany spadła komisja ministerialna. Badano, wertowano, sprawdzano. Zaraz trzeciego dnia prezes Szubert wpadł w furję, nawymyślał przewodniczącemu komisji i natychmiast pojechał do ministerstwa. Malinowski zacierał ręce. Był przekonany, że prezes zwali wszystko na Jaskólskiego i że Jaskólski wyleci, jak z procy.

Gdy w dwa dni później dowiedział się prawdy, uszom własnym nie chciał wierzyć: Szubert podał się do dymisji i dymisja została przyjęta.

Ani żaden z członków komisji, ani nikt w Funduszu, ani nawet sekretarz osobisty ministra nie umiał dać Malinowskiemu jakichkolwiek wyjaśnień, jak będzie i co będzie. We wtorek rano minister wezwał do siebie Jaskólskiego, a ten w godzinę później zatelefonował do Malinowskiego:

— Jestem u pana ministra. Czy pan kolega może zaraz tu przyjechać?

— Co się stało? — przeraził się Malinowski.

— Pan minister życzy sobie, by pan osobiście wyraził zgodę na przyjęcie stanowiska dyrektora Funduszu.

— Ja?... Ależ nic nie rozumiem! Dlaczego?... To taka niespodzianka doprawdy?...

Jechał z niepokojem w sercu, czy Szubert i Jaskólski nie dowiedzieli się o jego memoriale.

— Mniejsza zresztą o Szuberta — myślał — dziada diabli wzięli i nie będzie mi szkodził, ale co z Jaskólskim?

Nie długo miał czekać na odpowiedź. W ministerstwie dowiedział się wszystkiego. Minister nie złamał obietnicy i o memoriale nikt nie wiedział. Szubertowi dano dymisję, Jaskólskiego zaś powołano na stanowisko prezesa. Miejsce po Jaskólskim oddano jemu.

Spodziewał się tego awansu, liczył na to, a jednak teraz wprost nie posiadał się z radości. Ileż trudu kosztowało go, by ukryć swój zachwyt i z należytą powagą podziękować za nominację.

— Będę się starać, panie ministrze, podołać nowemu zadaniu — powiedział, nisko pochylając głowę.

Tego dnia wysłał do Bogny depezę z zawiadomieniem o swej nominacji. Gdy zaś wieczorne dzienniki przyniosły króciutkie wzmianki o reorganizacji Funduszu Budowlanego i znalazł w nich swoje nazwisko, był uszczęśliwiony. Usiłował skomunikować się z Lolą, by zaimponować jej swoją karierą, lecz znowu była nieobecna. Dzwonił zresztą do wszystkich znajomych, do Karasiów, do Pajęckich, do Porzyckich. Zaczynał od złożenia pozdrowień, rzekomo przesłanych przez Bognę, a później od niechcienia dodawał, że przeciągająca się nieobecność żony jest mu może trochę nie na rękę, gdyż ma teraz multum roboty w związku z mianowaniem go naczelnym dyrektorem Funduszu Budowlanego. Wprawdzie nienaczelnymi dyrektorami nie było, a nawet zgodnie z wnioskiem Malinowskiego skreślono etat wicedyrektora, jednakże bez niczyjej krzywdy można było dodać ową naczelną.

Zresztą roboty naprawdę było wiele. Nie przerażał się tym. Lubił pracować zwłaszcza wtedy, gdy praca ta każdym szelestem papieru, każdym dzwonkiem telefonu, każdym słowem konferencji przypominała mu jego władzę, jego znaczenie, jego pozycję. Wracał do domu późno, zmęczony i podniecony, ponieważ zaś musiał z kimś mówić o sobie, a stara Jędrusiowa była irytująco głupia, nie jadał kolacji w domu, lecz chodził do restauracji.

Tam, o ile nikogo znajomego nie spotykał, siedział przy stoliku ze ściągniętymi brwiami, ostentacyjnie przeglądał przyniesione z sobą papiery biurowe, stawiając na nich znaki czerwonym ołówkiem tak, by wszyscy naokoło wiedzieli, że nawet tu w przybytku zabawy i odpoczynku, człowiek, mający na głowie sprawę wielkiej wagi, nie może o nich zapominać.

Najczęściej jednak spotykał Denhoffa, lub licznych jego przyjaciół, których dzięki Denhoffowi poznał. Byli to wszystko ludzie z wyższych sfer, prawie każdy miał tytuł

rodowy, a niektórzy nawet pieniądze. Przeważnie nie zaliczali się do tej najwyższej arystokracji, która bywała na przyjęciach u pani Symienieckiej, lecz i to było bardzo dużo. Po kilku dniach sprytni kelnerzy znali już Malinowskiego doskonale i wśród niskich ukłonów witali go informacjami, że ten hrabia ma być dziś wieczorem, a pan baron telefonował, że będzie dopiero późną nocą.

Przy stole opowiadano słone anegdotki, plotki z towarzystwa, z toru wyścigowego, z za kulis teatralnych. Najbardziej znane nazwiska, słowa takie jak: brylanty, Nicea, Biaritz, doping, „Alfa-Romeo”, „Rolls Royce”, „Daimler”, golf, jak zdrobniałe imiona i szykowne epitety, nadawane różnym wytwornym kobietom — wszystko to podnosiło rozmowę na wyżyny pięknego, luksusowego, wspaniałego życia. Z drugiej zaś strony początkowe onieśmielenie i skrępowanie Malinowskiego w tym nowym dlań świecie mijalo szybko. Przekonał się, że w gruncie rzeczy, skoro się dostatecznie z nimi otrzaska, nie będzie się czuł obco. Poza wszystkim innym nie byli to ludzie aż tak mądrzy, by ich nie rozumiał. Przeciwnie. Wkrótce się przekonał, że poziom umysłowy tego towarzystwa zupełnie mu odpowiada, a trzeba tylko wejść w takie życie, jak oni, by równie swobodnie używać ich słownika, by poznać się na koniach, autach, psach, aktorkach, markach win, tytułach i hipotekach.

Jednakże nie uważali go za całkiem swego.

— Trzeba się po prostu wkupić — myślał Malinowski i korzystał z każdej sposobności, by płacić rachunki.

Mógł sobie teraz na to pozwolić. Niechby mu nawet zabrakło pieniędzy, to w każdej chwili miał możliwość wzięcia zaliczki. Jako dyrektor dysponował kasą Funduszu i na jego zwykłe polecenie kasjer wypłaciłby każdą sumę. Na razie wszakże nie korzystał z tego. Wystarczała mu pensja i świadomość, że w razie czego może sobie poradzić.

Widocznie nie chodziło tu jednak o restauracyjne rachunki. Ci panowie często nie miewali gotówki, a jednak żyli jakoś po pańsku.

— Trzeba zapisać się do klubu — pomyślał Malinowski i przy najbliższej sposobności zagadnął o to Denhoffa. Ku swemu rozczarowaniu dowiedział się jednak, że do „Klubu Ziemiaków” nie można po prostu zapisać się. Że przyjęcie wymaga zgłoszenia swojej kandydatury, kilku wprowadzających, a poza tym balotowania.

Balotowania bał się najbardziej. Denhoff dał mu do zrozumienia, że w klubie niechętnie widzi się nowych członków, że balotowanie jest tajne i często ci, których kandydat uważa za najzyczliwszych sobie, nawet wprowadzający — głosują przeciw niemu.

— Niech pan jednak bywa w klubie, niech pan pozna i zjedna sobie ludzi, postara się zatrzeć ich uprzedzenia hm... kastowe. Cóż.. ostatecznie jest pan spokrewniony, przez żonę wprawdzie, ale i to coś znaczy, z najlepszymi rodzinami... Chętnie pana wprowadzę do klubu jako mego gościa.

Malinowski zgodził się. Był pewien, że po dwóch, trzech miesiącach zdoła sobie o tyle zjednać najważniejszych członków klubu, by przy balotowaniu przejść.

Tymczasem zaczął bywać w klubie. Tu dość szybko zauważył, że Denhoff nie cieszy się zbyt dużą sympatią. Niektórzy wręcz unikali jego towarzystwa, większość tolerowała je bez zbyt dużego entuzjazmu. Zapewne dlatego i Malinowski nie czuł się w klubie zbyt dobrze.

Tymczasem wróciła Bogna. Jej ojciec wyzdrowiał po niebezpiecznym w jego wieku zapaleniu płuc. Toteż przyjechała, zmizerowana wprawdzie nieprzespanymi nocami, ale zadowolona, pogodna i szczęśliwa. Przez kilka pierwszych dni po jej przyjeździe Malinowski cały wolny czas spędzał w domu. Przyjemnie mu było, jakoś zaciszniej i cieplej. Opowiadać też miał co, a nie mniej interesował się tym, co ona powie o jego nowych sukcesach. Nie przeceniał jej zdania, jednakże czasami robiła pozytywne uwagi. Z niemalym zdziwieniem usłyszał, że już wiedziała o zmianach w Funduszu i to z najdrobniejszymi szczegółami.

— Mam wielu życzliwych — usprawiedliwiała się — a ci chętniej i obszerniej pisują listy niż mój małżonek.

— Ludzie lubią plotki, a nie wszyscy mają na nie czas — zmarszczył brwi Malinowski.

Próbował wybać Bognę, czy nie doniesiono jej o jego bywaniu u Loli, lub o codziennych wieczornych birbantkach, lecz widocznie nic o tym nie słyszała. To, że czasami przylapywał na jej twarzy jakiś smutek, o niczym przecie nie świadczyło. Przeciwnie, zdawała się być dlań jeszcze lepsza i serdeczniejsza niż dawniej. W ciągu czterech dni ani razu

nie doszło do najmniejszej sprzeczki. W wypadku różnicy zdań, gdy stanowczo trzymał się swego, przyznawała mu rację.

— Rozum kobiecy — mówił wówczas — nie jest w stanie ogarnąć większych spraw. Radzę ci, moja droga, polegaj na moim, a dobrze na tym wyjdiesz.

Myślał zaś:

— Kobiety trzeba trzymać krótko. Raz pozwolić wleźć sobie na głowę, to już później nic nie pomoże.

Pierwsza sprzeczka wybuchła w niedzielę. Bogna odprowadziła go do kościoła i miała z kimś się spotkać. Wróciła na obiad jakby wzburzona. Ponieważ Malinowski na popołudnie zamówił samochód, z którego jako dyrektor miał prawo korzystać, oświadczył, że pojedą na przejażdżkę:

— Pogoda śliczna, zabierzemy też Urusowa. Bądź łaskawa zadzwonić doń i zapytać czy zechce.

Niespodziewanie Bogna zaproponowała:

— Nie możemy jechać. Musimy naprawić, jeżeli to w ogóle da się naprawić, nasze zapomnienie o profesorze Szubercie.

— Jakie nasze zapomnienie? A po cóż w ogóle mamy o nim pamiętać? — zapytał wyzywająco.

— Po co?... Dlatego chociażby... że wyrządziło mu się krzywdę. Za jego dobroć, za życzliwość jaką nam okazał.

— Nam?

— Chociażby przez mianowanie ciebie wicedyrektorem.

— Ach, o tym myślisz — wzruszył ramionami — tostare dzieje. Zresztą nie była to w każdym razie życzliwość dla nas, lecz dla mnie.

Spojrzała nań roziskrzonym wzrokiem, lecz nic nie powiedziała.

— A poza tym — ciągnął — nie mogę uważać za życzliwość, że dla dobra, dla korzyści instytucji mianował właśnie mnie. Pozwól też, że ja sam osądzę i zadecyduję, czy mam żywić dlań szczególniejszą wdzięczność.

— Jednak bez niego do dziś dnia byłbyś referentem.

— Jesteś tego pewna? — zapytał z ironią — a jednak bez pomocy i łaski pana prezesa zostałem dyrektorem, podczas gdy jego wysłano na grzybki.

— Ew — powiedziała prawie gniewnie — właśnie dlatego wyrządziło mu się krzywdę.

— Ja wyrządziłem? — udał zdziwienie.

— Ty — odpowiedziała z przekonaniem — ty, właśnie ty. Nie przypuszczałam, że memoriał, przy którym ci pomagałam, będzie narzędziem takiego... takiego... postępku.

— Paradna jesteś — zaśmiał się — podniecasz się jakimiś głupstwami. Jeżeli nawet tak było, jak mówisz, możesz mieć spokojne sumienie. Twojej „pomocy” w ogóle nie brałem pod uwagę. Ale któż to ci nagadał tych idiotyzmów, Szubert?

— Mniejsza o to. W każdym razie nie Szubert. Gdyby on wiedział, wstydziłabym się mu na oczy pokazać.

— No, więc w porządku. Skoro nie wie, nie ma czym sobie głowy zawracać.

Potrząsnęła głową:

— Jestem innego zdania i bardzo, bardzo boleśnie to odczułam.

Rozzłościło go to na dobre:

— Więc może wolałabyś, bym w ogóle nie awansował, byle ten stary gbur został na miejscu?

— Wolałabym — powiedziała.

— A to piękna z ciebie żona! — wybuchnął — więcej obchodzi cię obcy człowiek niż rodzony mąż.

— Mylisz się. Najwięcej mnie obchodzi, by mój mąż był człowiekiem, którego mogę szanować.

— A mnie to jest obojętne. Rozumiesz?! O-bo-jęt-ne! Proszę cię tylko o jedno, byś nie wtrącała się w sprawy, których nie rozumiesz.

Uderzył pięścią w stół i wyszedł do swego pokoju nie dokończywszy obiadu. Ponieważ jednak zostawił papierosnicę, wrócił i wówczas zobaczył, że Bogna płacze.

— Bardzo dobrze — pomyślał — niech pobeczy — to jej nie zaszkodzi.

Pomimo to uczył dla niej współczucie. Głupia jest bo głupia, nie rozumie życia, ale kocha go przecie, a i on ją lubi. Stał za krzesłem Bogny i pogłaskał ją po głowie. Wtedy wzięła jego rękę i tuląc się do niej zaczęła mówić opanowując łkanie. Mówiła, że wie jaki on jest w istocie dobry, że musiało to zająć wbrew jego woli, że tylko w pierwszej chwili zdawało się jej inaczej.

— Ależ oczywiście — potwierdził zniecierpliwiony — oczywiście.

Chciała koniecznie pójść razem do Szuberta, lecz w końcu stanęło na tym, że Ewaryst wstąpi doń innym razem. Obiecał to Bognie na odczepne, nie mając zamiaru zawracać sobie głowy wizytami po pierwsze przykrymi, a po drugie zbędnymi.

Zresztą wieczorem okazało się, że Szubert nie ma żadnych podejrzeń. Przyjął Bognę ze zwykłą serdecznością.

— A o mnie nie wspominał? — zapytał Malinowski.

— Ach, mówiliśmy o wszystkim. Powrócił do wykładów i tym jest ogromnie zaabsorbowany.

— Tym lepiej — burknął Ewaryst.

Na tym się skończyło, ale wyczuwał w usposobieniu Bogny jakby ukrywany żal do siebie i to go drażniło. Znowu zaczął chodzić do klubu. Znalazł tam partię bridge'a z trzech starszych panów. Grał znacznie gorzej od nich i zawsze przegrywał. Nie były to jednak kwoty poważne jak na dyrektorską pensję: kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt złotych. Nie psuło mu to też humoru. Wracając do domu prawie zawsze zastawał kogoś. Urusow, panny Pajęckie, młodzi Karasiowie, czy Borowicz, ten zresztą bywał najrzadziej. Spotulniał jakoś, zrobił się jeszcze bardziej milczący i tylko z rzadka pozwalał sobie na niesmaczne wybryki, ale i to ustało potem, gdy Malinowski przytarł mu rogów. Zdarzyło się to właśnie pewnego wieczoru, gdy wrócił z klubu. Opowiadał o jednej z ciekawych rozgrywek brydżowych, mówiąc:

— ...Kocio spasał, Duduś Koniecpolski powiedział pik, a Moryś Lanckoroński od razu cztery karo...

— Przepraszam cię — przerwał Borowicz — czy ty jesteś z nimi na ty?

— Ja?... Z nimi?... No, nie.

— Więc po cóż nazywasz ich zdrobniałymi imionami?

— Tak ich nazywają wszyscy...

— ...Wszyscy, którzy są z nimi na ty — przyczepiał się dalej Borowicz — ale w twoich ustach tego rodzaju... poufalość... brzmi zabawnie.

Malinowski zmierzył go zimnym wzrokiem:

— Mój drogi Stefanie. Nigdy nie upoważniałem cię do robienia mi uwag. Wypraszam to sobie. Zdajesz się zapominać, że jesteś u mnie w domu, gdzie nie wypada mi...

— Ew! — Przestań! Proszę cię! — przerwała Bogna.

— Nie przeszkadzaj.

— Ależ pan Stefan tylko przez życzliwość! To zwykle nieporozumienie.

— Nieporozumienie nie może przekraczać pewnych granic. Nie chodzi mi o mnie osobiście — z naciskiem powiedział Malinowski — lecz o prosty fakt, że Stefan powinien pamiętać, że jestem jego dyrektorem.

Borowicz zbladł i chciał wyjść, lecz Bogna wszystko załagodziła. A nauczka zrobiła swoje: niewczesne uwagi skończyły się raz na zawsze.

— Przyznaję, że osadziłem go ostro — powiedział Malinowski po wyjściu Borowicza, ale trudno. I on musi liczyć się z moim stanowiskiem. Do czego to doszło by! Pomyśl sama. Jeżeli bym został na przykład prezydentem państwa, nie mówię tego poważnie, ale przypuśćmy. Czy i wtedy musiałbym pozwalać byle facetowi na taką poufalość?... Trudno. Nie zadzieram nosa, ale muszę uszanować swoją godność.

W początkach maja w Funduszu wypłacano gratyfikacje. Ponieważ prezes Jaskólski wyjechał w tym czasie na kongres budowlany do Helsingforsu, Malinowski nareszcie mógł przeprowadzić to, na co od dawna czekał. Przynajmniej zarządził, by odtąd sporządzano dwie listy płac. Oddzielną dla prezesa i dla niego, oddzielną zaś dla reszty urzędników. Poza tym w dawnych rozporządzeniach odnalazł paragraf, upoważniający zarząd Funduszu do podziału gratyfikacji nie proporcjonalnie do pensji, lecz według uznania. Dzięki temu — jak tłumaczył Bognie, która radziła mu pozostawić rzeczy po staremu — dzięki temu gratyfikacja będzie nagrodą tylko dla tych, którzy na nią zasłużyli.

Przez kilka dni układał też sobie podział kwoty jaką dysponował. Po długim namyśle wyznaczył sobie siedem tysięcy, Jaskólskiemu zaś, by zamknąć mu buzię, jeżeli zechce po powrocie protestować, aż dziesięć. Jednocześnie, żeby uniknąć wielkiego gadania w biurach, polecił wypłacanie gratyfikacji sekretariatowi zarządu. Pomimo tej ostrożności dotarły doń narzekania i szemrania. Wówczas postanowił z miejsca urwać głowę opozycji. Wezwał do gabinetu trzech najgłośniejszych malkontentów i nawet nie kiwnąwszy im głową zapytał:

— Podobno panowie jesteście zdania, że niesprawiedliwie obliczono wasze zasługi przy gratyfikacji. Czy tak?...

— Nie to, panie dyrektorze — odezwał się jeden — ale dawniej wypłacano w wysokości miesięcznej pensji...

— Jeszcze dawniej za króla Ćwieczka pieczone gołąbki leciały same do gąbki — przebrał Malinowski — co zaś dotyczy panów, to oczywiście wyrządzono wam niesprawiedliwość. Przejrzałem wasze kartoteki. Pan Suruczek opuścił w ciągu roku aż dwadzieścia dwa dni pracy. Pan Bobkowski zagubił plany willi generała Żarnowskiego, co kosztowało Fundusz Budowlany prawie półtora tysiąca. A pan, panie Jankowski, spóźniasz się do biura prawie regularnie co trzeci dzień.

— Mieszkam w Zielonce.

— Możesz pan mieszkać chociażby na księżycu. To mnie nic nie obchodzi. Rozumiesz pan?... Biuro nie jest towarzystwem dobroczynności, czy przytulkiem. Zamiast gratyfikacji należało się panom surowe napomnienie i wydział personalny otrzyma rugę za przeoczenie tego. Ja zaś będę o panach pamiętała, a pamięć mam, jak sądzę, niezłą.

Dla dopełnienia nastroju tegoż dnia Malinowski rozesłał do kierowników poszczególnych działów poufny okólnik, zawiadamiający, że w związku z przewidywanym zmniejszeniem budżetu, muszą do dni trzech przedstawić projekty zmniejszenia swego personelu. Oczywiście „poufność” odniosła ten skutek, że paniczny strach przed redukcją opanował wszystkich. Toteż, gdy wrócił Jaskólski, nie dotarł go ani jeden głos protestu. Wprawdzie trochę indyczył się z powodu inowacji, a nawet udawał, że nie chce przyjąć całych dziesięciu tysięcy, ale w końcu dał się przekonać.

Natomiast ta właśnie gratyfikacja umożliwiła Malinowskiemu urzeczywistnienie jego marzeń. Chodziło o przeniesienie się do dużego, reprezentacyjnego mieszkania. W czterech pokojach na kolonii Staszica trudno było urządzać większe przyjęcia. Nie podobna było zapraszać tam klubowych znajomych, z których wielu mieszkało w pałacach. Bogna wprawdzie nie chciała zrozumieć tych argumentów, ale musiała zgodzić się z faktem dokonany, gdy wynajęła piękne siedmiopokojowe mieszkanie przy ulicy Sienkiewicza.

Niestety, gdy zaczęli się urządzać, okazało się, że koszty przekraczają owe siedem tysięcy.

— Nie ma rady, musimy sprzedać nasz plac na Saskiej Kępie — zdecydował.

Spodziewał się ze strony Bogny nowych protestów, lecz ku jego zdziwieniu zgodziła się od razu i ponieważ plac był zapisany na jej dawne nazwisko, sama załatwiła wszystkie formalności z nowonabywcą.

Oczywiście nie mogło być mowy, by do takiego mieszkania wystarczyła jedna służąca i postanowił wziąć lokaja, zatrzymując Jędrusiową jako kucharkę.

— Opamiętaj się, Ew — tchórzyła Bogna — zbankrutujemy. Nie stać nas na taką stopę życiową. Twoja pensja nie wystarczy.

Wydymał wargi:

— Jeżeli nie wystarczy, to najlepszy dowód, że musi się zwiększyć. Cóż ty sobie wyobrażasz, że ja przez całe życie zostanę na takiej pensji?... Zresztą damy sobie radę. Oszczędzaj, ile można na przykład na jedzeniu, na gazie, węglu. Tego nikt nie widzi, ale każdy widzi, jak mieszkamy i jak się ubieramy.

Przenosiny i urządzenie się w nowym mieszkaniu prowadzone były w dużym pośpiechu, gdyż na piętnasty czerwca, to jest na dzień imienin Bogny, Malinowski chciał urządzać wielkie przyjęcie. Zdążyli na czas dzięki temu, że prawie połowę mebli, dywanów i t. p. dostali na raty.

— Kiedy my to splącimy! — martwiła się Bogna.

— O, jakaś ty nudna — irytował się — to już moja sprawa. Przypominaj mi tylko terminy. O nic więcej cię nie proszę.

Wkładając ręce do kieszeni i kiwając się naprzód i w tył, dodawał sentencjonalnie:

— Nie jestem głową domu od parady.

Wierzył w to zresztą bez najmniejszych wątpliwości. W miarę postępu jego kariery coraz pewniej czuł się na świecie i coraz pewniej w domu. Teraz by mu już taki kuzyn Feliks nie zaimponował. Z dawnego ustępliwego stosunku do Bogny nie pozostało nic.

— Możliwe — myślał — że kiedyś mniej miałem wyrobienia towarzyskiego i życiowego, ale co tu ukrywać, honores mutant mores. Dziś, kiedy obracam się w najlepszych sferach, kiedy zajmuję wybitne stanowisko, mam prawo ocenić siebie należycie.

I wierzył również, że do wszystkiego doszedł własną pracą, własnymi zdolnościami, własną zasługą. Kiedyś Jaskólski powiedział:

— Są dwa rodzaje żon: te, które ściągają człowieka w dół i te, które są mu zachętą i pomocą w zdobywaniu szczytów. My dwaj, panie Ewaryście, na szczęście mamy ten drugi rodzaj, nieprawdaż?

Było to na podwieczorku u Jaskólskich w obecności zarówno Bogny, jak i prezesowej. Ta zarumieniła się jak panienka i zawołała:

— Przestań, Piotrusiu, że też ty nigdy nie oduczysz się komplementów.

— To szczerą prawdą — upierał się Jaskólski.

— Poniekąd — skinął głową Malinowski — poniekąd oczywiście. — Chociaż i tu nie można przeoczyć zasługi męża, że potrafi tak właśnie żonę sobie wychować, urobić... zapewniając jej odpowiednie warunki, jak się to mówi, egzystencji materialnej i moralnej.

Jaskólscy zamienili spojrzenia, a Bogna szybko zaczęła mówić o czymś innym tak, jakby on powiedział głupstwo.

— Idioci — pomyślał, a dla Bogny przez cały wieczór był ostry i niechętny za to, że nie przyznała mu racji.

Oczywiście miał ją w całej rozciągłości. Zresztą w czymże mu Bogna na przykład była taką zachętą i pomocą? Przeciwnie. Raczej hamowała go, a że tam czasami opracowała za niego jakiś referat, okólnik, czy sprawozdanie, że robiła to nawet dość często, cóż w tym było nadzwyczajnego?

— I tak zawsze daję jej... no te... wskazówki... tezy... rzeczy podstawowe. A że jest dobrą panią domu... No, toteż nie ożeniłbym się z byle flondrą.

A pod tym względem był z Bogny naprawdę zadowolony. O ile nudził się w jej towarzystwie i coraz częściej przesiadywał w klubie, lub po restauracjach, zwłaszcza odkąd Lola wyjechała na wieś, o tyle lubił patrzeć na żonę i na jej królowanie w domu, gdy byli goście. Każda herbatka, każda najskromniejsza kolacja, czy bridge — udawały się znakomicie, a wielkie przyjęcie wypadło wręcz imponująco: sześć stolików bridge'a, kilkanaście par tańczących, orkiestra Bambergera, śpiew samej Czarskiej-Bojanowskiej, no i kolacja z czterech dań z szampitrem i kawiozem na siedemdziesiąt osób. A wszyscy bawili się świetnie. I przecież nie byle kto się bawił. Dwie księżne, dziewięciu hrabiów, trzech baronowie, dwaj ministrowie z żonami, sześciu generałów, prezesów i dyrektorów, kilka sztuk różnych znakomitości literackich, jeden ambasador, jeden biskup, słowem nawet taki kuzyn Feliks otworzyłby gębę od ucha do ucha. Cała Warszawa!

Ewaryst rozpromieniony śledził wzrokiem tańczące pary, sztywne sylwetki lokai, roznoszących szampana i kruszony, zaglądał do bridge'istów, pił z panami przy bufecie (Bruderschaft z dwoma hrabiami i z Denhoffem), wychodził na balkon, pod którym lśnił wąż oczekujących, wspaniałych aut, liczył tytuły i miliony swoich gości i rósł w sobie, czuł, że rośnie, że oto stanął w samym środku świata.

W przejściu zatrzymał na chwilę Bognę i wskazując lekkim ruchem głowy salon, zapytał:

— Czy widzisz, jak przyjmuje pan Malinowski?...

ROZDZIAŁ IV

Wzgórze opadało łagodną pochyłością ku krętej, płytkiej rzeczce, przeświecającej żółtym dnem. Dalej, aż do białych zabudowań Iwanówki ciągnęły się równe, niczym stół, łąki. Na prawo i lewo szeroko rozlewały się łany falującego żyta, mieniającego się pod wiatr

ametystowo i srebrzyście. Na horyzoncie czarną podkową odcinał się mur lasu — Puszcza Pohorecka.

Było południe i do wzgórza, z rzadka porośniętego leszczyną nie dolatywał żaden głos ludzki, tylko liście szeleściły cicho, a z łąk przez rozgrzane w słońcu powietrze, płynął nieustający koncert koników polnych.

Profesor Brzostowski oparł się ciężko na kiju i półotwartymi ustami wciągał w płuca pachnące powietrze.

— Żyto kwitnie — wyszeptał.

Bogna stała za nim i również jak urzeczona wpatrywała się w tę olbrzymią arenę, na której, w olśniewającej jasności, w przeczystej wyrazistości barw i kształtów, w spokoju i pogodzie, wszystko wydawało się zrozumiałe, drogie i piękne. Oto świat roztaczał się przed nią prosty, spokojny, dobry, taki, jakim jest naprawdę, zielony od łąk, lazurowy od nieba, przesycony słońcem, rozszemrany życiem drobnych stworzonek i szelestem leszczyny, pachnący miodnymi ziołami, uśmiechnięty swoim cichym szczęściem. Jakże odległe i niewyraźne w tej pogodzie były wszystkie smutki, obawy, wątplenia, niepokoje i troski. Cóż znaczą wobec tej ziemi wybijającej zielenią, tętniącej żywymi sokami, ziemi rodnej, bogatej, płodzącej... Jakże bardzo czuła się sobą w tym dojrzewającym dniu, jak bardzo wiedziała, że jest całością i częścią tego życia. Oto i w niej soki żywe wzbierały, i w niej wzbierał pąk nowego życia, i w niej odbywało się to wielkie misterium. Żywna jest, jak ta ziemia, czekająca owocu, roztapiająca się w pogodzie dojrzewania, zasłuchana w tętno własnej krwi.

— Żyto kwitnie — powtórzył profesor Brzostowski.

— Kwitnie, ojczy — odpowiedziała jak echo i łzy zakręciły się jej w oczach.

Profesor jednak nie zauważył tego. Stał wciąż nieruchomy, chudy, wysoki, z twarzą bladą i przezroczystą, z oczyma utkwionymi przed siebie. Wiatr lekko poruszał rondo jego wielkiej panamy i chybotał luźnym chesuczowym ubraniem.

Patrzyła nań i myślała:

— Oto życie, które odchodzi, które odpada jak zeschnięty liść, a mnie zostawia i nowe życie we mnie. Czymże jestem?... Jednym ogniwem w nieskończonym łańcuchu... Nacznym, którego jedyną rolą jest przechowanie tajemniczej iskry życia, przechowanie do czasu, aż dalej będzie przekazana...

— Chodźmy już — wyciągnął do niej rękę ojciec.

— Zdążymy na obiad. Może tatuś zmęczony?

— Nie. Przeciwnie. Czuję się raźniejszy niż zwykle.

Wracali z długiej przechadzki. Odkąd Bogna przyjechała do Iwanówki, profesor, który całymi miesiącami nie opuszczał swego pokoju, sam dopominał się codziennie o spacer. Rozruszał się jakoś, a przy tym wiedział, że stan Bogny wymagał uprawiania ruchu. Po swojemu kochał ją bardzo, a odkąd słaby wzrok nie pozwalał mu czytać, nawet bywał w złym humorze, nie mając córki przy sobie.

Ucieszył się też bardzo, gdy przyjechała. W Iwanówce oprócz dwóch starych ciotek Bogny i zapracowanego od świtu do nocy Macieja Brzostowskiego, głównego właściciela folwarku, nie było nikogo, z kim by można zamienić słowo. Zresztą i oni, ludzie dobrzy i prości, zbyt byli zajęci powszednimi sprawami gospodarstwa, by rozmowa z nimi mogła zająć profesora. Poza tym żadnego sąsiedztwa. Naokoło rozciągały się olbrzymie dobra Pohoreckiego, który żył jak odludek. W Iwanówce zjawiał się niezmiernie rzadko i trzeba było aż takiego święta jak przyjazd Bogny, by od czasu do czasu zajrzał do białego dworku.

— Wstydzilibyś się, Walery — żartował profesor — pomyślałby kto, że kochasz się w mojej córce!

— Dajże spokój! — irytował się pan Pohorecki.

— No bo o moim istnieniu nie raczysz pamiętać.

— Bo nudny jesteś. Spierniczałeś do reszty.

Bognę bawiły serdecznie te przekomarzenia się dwóch rówieśników. Pana Pohoreckiego ceniła i lubiła pomimo jego szorstkości i dziwactw, a może właśnie dlatego, że pod tą chropowatą skorupą wyczuwała ukrywaną boleść, krzywdę, czy tragedię, pomimo upływu lat niezagojoną, niczym głęboką ranę pokrytą brzydkim strupem. Pohorecki znał ją od dziecka i dobrze pamiętał, że już wtedy swoim dziecięcym instynktem małej kobietki odczuwała różnicę, jaką robił między nią a wszystkimi innymi, chociaż nigdy

o tym nie mówił. Dla znajomych był cierpki, kobiet nienawidził, oficjaliści drżeli przed jego gniewem i przenikliwością, dla służby był bezwzględny, a dla winowajców nie znał litości. Pół powiatu żyło w strachu przed nim, a nienawidzono go powszechnie. Chłopi białoruscy nie ukrywali, że mają go jeżeli nie za samego Antychrysta, to przynajmniej za człowieka zaprzędanego diabłu. Bo skądby mógł wiedzieć, że tej właśnie nocy wyrębią mu las na Stepanowej Horce o dobrą milę od Pohorców, a że akurat drugiej z Łoszyńskiego jeziora wylawiają ryby?... Nikt by mu nie doniósł, nikt na świecie, bo każda żywa istota radować się tylko mogła z jego krzywdy. A jednak zjawiał się wszędzie, nocami nie śpiając, po największych roztopach i bezdrożach konno, lub linijką, zawsze sam, zawsze czujny i wszystko wiedzący. Drzewa wycięte zawsze wywęszył i odnalazł, choćby już na najdrobniejsze polana były porąbane, kłusowników po huk strzelb poznawał, a każdego winowajcę po oczach. Nie imają się go kule, choć nieraz najlepsi strzelcy próbowali, ani ogień, bo co który folwark podpalono, zły duch go przyniósł, a pod jego okiem zawsze ugaszono. Za dawnych czasów nie mało ludzi przez niego na Sybir i na katorgę poszło, a i teraz za byle co władzom oddawał i do więzienia zamykał. Nie umiał przebaczać.

Ponury, nieuczynny, mściwy, siedział w pałacu Pohoreckim jak wilk w jamie, ani pił, ani hulał, ani grosza na swoją przyjemność nie wydał, tylko olbrzymie jego dobra wciąż rosły i rosły. Inni bankrutowali, szli z torbami, ginęli; a on co roku dokupił, a to folwarczek, a to kawał lasu, a to bodaj i kilka dziesięcin chłopskich. Pieniądzy w bankach nie trzymał: wszystko, co przynosiły ogromne dobra zamieniał na złoto i pod swoją sypialnią w niedostępnym skarbcu zamykał. Opowiadano o tym skarbcu najfantastyczniejsze rzeczy, a o jego zawartości również krążyły legendy. W każdym razie jedno było prawdą: kiedy w roku 1920-tym bolszewicy zajęli Pohorce, musieli dynamitem skarbiec wysadzać i podobne jedenaście worków złota stamtąd zabrali. Sam pan Pohorecki ani słowem o tym nikomu nie wspomniał, wszakże po odpłynięciu wojennej fali zjawili się w Pohorcach jacyś zagraniczni rzemieślnicy i skarbiec odbudowawszy odjechali. Mówiono też, że podczas bolszewickiego najazdu stary pan nie uciekł, jak reszta ziemiaństwa, lecz gdzieś w lasach się ukrywał, a musiał ukrywać się dobrze, gdyż gdyby wówczas spotkał jakiegokolwiek człowieka, to tak, jakby własną śmierć spotkał.

Niewysoki, krępy, w chłopskich butach z cholewami, w siwym samodzielnym ubraniu, a zimą w zwykłym kozuchu, siwy od starości, lecz zdrowy i silny, z gniewną, ogorzałą twarzą, zawsze źle ogoloną, wyglądałby na ekonomę, czy gajowego, gdyby nie dumne, wysokie czoło, nie rysy patrycjusza rzymskiego i nie wielkie płomienne oczy, aż przerażające swym smutkiem.

I właśnie przez te oczy Bogna zaglądała w głąb duszy owego despoty, okrutnika i skąpca. Przez te oczy dojrzała w nim jakiś bezgraniczny ból, jakieś nieludzkie cierpienie.

Miała wtedy lat dziesięć, czy dwanaście. Podniósł ją pod pachy rozbawioną i uśmiechniętą i zapytał:

— Nie boisz się mnie?... Nie nienawidzisz?...

— Nie — potrząsnęła głową.

— Przecież jestem zły, bardzo zły!

— Nie... zaprzeczyła i nagle spoważniała — pan... pan jest... nieszczęśliwy.

Wówczas tak mocno ścisnął jej ramiona, że omal nie krzyknęła z bólu, obejrzał się, postawił ją na ziemi i szybko odszedł. Było to przed gankiem w Iwanowcach. Po dłuższej chwili pobiegła za nim i znalazła go w sadzie. Stał oparty o drzewo z twarzą ukrytą w dłoniach i trząsł się cały: szlochał.

Był to widok tak niezwykle, że chciała biec do domu i wołać o ratunek. Zastanowiła się jednak i odeszła cichutko. Nikomu, nawet jemu samemu nie wspomniała nigdy słówkiem o tym zajściu, natomiast stała się dla pana Pohoreckiego jeszcze serdeczniejsza i jeszcze czulsza. Nigdy też nie zapytała go o przyczynę jego smutku, chociaż z biegiem lat przyjaźń ich rosła i utrwalała się. Dziwna to była przyjaźń, gdyż nie widywali się nieraz po roku i dłużej, a nie pisali do siebie wcale. Bogna jeszcze będąc na pensji wysłała kilka listów do Pohorców, lecz stary pan pozostawił je bez odpowiedzi. Za to nie ominął żadnego jej pobytu na wsi, by co dwa, trzy dni nie zajrzeć do Iwanówki. Z widoczną niechęcią znosił wówczas towarzystwo reszty osób, gawędził z profesorem, podrywając z jego czi dla wiedzy ludzkiej, a przeważnie rozmawiał z Bogną, pytając ją o wszystko, o jej życie i poglądy. Słuchał uważnie, mówił mało i dosadnie. Ale w tym, co mówił, zawsze odnaj-

dywała jakąś myśl głęboką, jakieś nowe, niespodziewane i pozornie paradoksalne ujęcie rzeczywistości. Nie cierpiał jednak dyskusyj i nie uznawał potrzeby argumentowania. Ilekroć profesor Brzostowski zaczynał analizować jego — jak mówił — „zbyt pochopne” twierdzenia, pan Pohorecki wzruszał ramionami:

— Idźże do diabła ze swymi roztrząsaniem. Każdy musi odrobić to w sobie, a skoro gębę otworzył, to znaczy, że ma zdanie wyrobione.

— Może się mylić — pogodnie uśmiechał się profesor.

— Więc dobrze. Niech się myli. Nie ma człowieka, który by miał prawo powiedzieć o sobie, że się nie myli.

— Owszem. Są sprawdziany: logika i matematyka.

— Dajże mi gwarancję, że podstawy naszej logiki są niewzruszalne, że dogmaty matematyczne nie zostały wysane z palca, a wówczas uderzę przed tobą czołem i padnę na twarz. Nauka, stary pyszałku, nie jest niczym innym, jak wygłaszaniem niepewnych rzeczy z pewną miną. I nie nudź mnie proszę.

Profesor uśmiechał się pobłaźliwie, a po odjeździe Pohoreckiego mówił:

— Poczywi Walery. Jeszcze nikt przed nim nie zwalczał apodyktyczności z takim... apodyktyzmem.

A jednak było w umysłowości Pohoreckiego coś, co podniecało nawet tak beznamiętnego człowieka, jak stary profesor, coś, co kazało Bognie przymierzać do życia jego poglądy i zamyślać się nad ich sensem. Wiedziała, że pan Walery za młodu namiętnie oddawał się studiom przyrodniczym, że po dziś dzień w pałacu Pohoreckich istnieje olbrzymia biblioteka dzieł naukowych i niemniejsze laboratorium fizyko-chemiczne, lecz wiedziała również, że od kilkudziesięciu lat, to jest od czasu owego załamania się w życiu starego pana, wszystko to pozostaje zamknięte, a skrzydło pałacu, mieszczące księgozbiór i pracownię, stoi bez użytku z oknami zabitymi deskami.

Kiedyś, będąc w Pohorcach zapytała go, co się znajduje w tamtym skrzydle.

— Śmiecie — odpowiedział krótko.

O jednej tylko rzeczy mówił z większym zajęciem i więcej: o ziemi.

— Pan dziedzic z Pohorców chciwy jest na ziemię, jak diabeł na ludzkie dusze — mówiono w okolicy.

I to była prawda.

— Jeżeli tak dalej pójdzie — żartował Brzostowski — a dożyjesz lat Matuzalema, jestem przekonany, że Pohorce rozrosną się do rozmiarów kuli ziemskiej. Wyobrażam sobie z jaką melancholią spoglądasz na księżyc!... Przydałby się, co?

— A przydałby się — uśmiechał się pan Walery.

— Ciekawam — z powagą mówiła Bogna — czy ograniczyłby się pan do naszego układu planetarnego, czy też reszta galaktyki nie dawałaby panu usnąć?

— Na razie więcej myślę o Iwanówce — odpowiadał pan Pohorecki.

— O nie — potrząsała głową Bogna — Iwanówki panu nie sprzedamy. Przynajmniej ja mojej cząsteczki. Chcę zachować sobie pańską życzliwość i szacunek.

Rzeczywiście pan Pohorecki kupował wprawdzie ziemię od kogo się dało, nieraz nawet przepłacał, ale gardził sprzedającym i nienawidził go serdecznie. Jednym z głównych jego dziwactw było bowiem przekonanie, że ziemia nie może być przedmiotem handlu. W handlowaniu ziemią dopatrywał się źródła wszelkich kryzysów, upadku obyczajów, klęsk gospodarczych, politycznych i moralnych.

— Handluje się sumieniami, przekonaniem, czcią i godnością, prawem i krwią. Przecie nie ma dziś na świecie rzeczy, których bym kupić nie mógł. Sprzedaje się miłość i duszę, krew do transfuzji i ziemię. Ale wszystko to runie. Przyjdzie czas, że ktoś pierwszy otrzeźwieje, uderzy w stół i krzyknie: dość!

— Więc jednak jest pan optymistą — powiedziała Bogna.

— Nie — od razu opanował się pan Walery — nie wierzę w to, co mówię.

— Hm — niewinnie chrząknął profesor Brzostowski.

Pan Pohorecki skrzywił się:

— Pia desideria. Zresztą może kiedyś. Nie za mego życia. Urodziłem się o kilkaset lat za późno, lub kilkaset za wcześnie. Ludzie ze swymi usposobieniami zostali rozrzućeni po epokach nader przypadkowo. No, do widzenia. Odprowadzisz mnie, mała?

Zawsze tak już ją nazywał. Dorosła, wyszła za męża, owdowiała, a oto mijały dwa lata od jej drugiego małżeństwa i spodziewała się dziecka, stary pan nie zmienił się dla niej. Zawsze traktował ją jak swoją małą przyjaciółkę, noszącą białe sukieneczki do kolan i wielkie kokardy we włosach.

A przecież tak wiele zmieniło się w jej życiu, tak wiele zmieniło się w niej samej. Naturę miała odporną. Walczyła o swój świat, o swoją wiarę w jego wartości, o chociażby małe, względne szczęście. Nie kapitulowała, nie poddawała się goryczy, tylko wyrozumiałość jej rozrastała się do tak potwornych rozmiarów, że bała się spojrzeć wstecz, by nie przekonać się, że wyrozumiałość równała się już prawie rezygnacji, ogarniając sobą zło i brzydotę, cierpienie i krzywdy, podłość i brud.

Za kilka miesięcy mijała druga rocznica jej ślubu z Ewarystem. Jakże wiele spustoszeń w świecie Bogny sprawiły te dwa lata. Ilekroć wracała ta natrętna myśl, trzeba było bronić się przed nią wszystkimi siłami. Byłe nie poddać się, byłe nie upaść, byłe nie przyznać się przed sobą do klęski.

— To jest przecie ludzkie — powtarzała sobie — trzeba umieć przebaczać.

I właśnie może dlatego obcowanie ze starym panem Pohoreckim budziło w niej jakieś niewyraźne, niedające się określić ni ująć w konkretną świadomą myśl, nasycenie. On nie przebaczał nikomu. Zapatrzona w jego twarde rysy, odczuwała gdzieś w splotach rozedrganych nerwów rozkosz zemsty. Działo się w niej coś dziwnego. Karmiła się tym abstrakcyjnym okrucieństwem, tą siłą niedobrą i zawziętą, a jednocześnie rosła w niej obrona przeciw złu. Po każdej rozmowie z tym człowiekiem czuła się silniejsza, wytrwalsza, zdolniejsza do posuwania się naprzód po swojej ciężkiej drodze.

Zresztą odkąd uprzytomniła sobie, że jej stan psychiczny może mieć wpływ na kształtowanie się duszy kielkującego w niej życia, siły jej zdawało się wzrosły w trójnasób. Posłuszna myśl nie wracała do gorzkich rozpamiętywań, smutek bladł i roztopiał się w słońcu, w zieleni, w ciszy małego dworku, w pogodzie jasnych dni.

Z Warszawy wprawdzie częste dochodziły wieści. Pisali znajomi, pisali przyjaciele. Prawie każdy list przynosił coś przykrego. Delikatniejsi ukrywali swoje informacje między wierszami, lecz byli i tacy, co brutalnie pisali prawdę.

Wiedziała o niej, wiedziała zbyt dobrze, chociaż dałaby wiele bodaj za możliwość, za jakiś sposób, by zostawić pole dla wątpliwości. Ewaryst niweczył jednak wszelkie jej wysiłki. O jego stosunku z Przyjemską mówiło całe miasto. Co wieczór bywał prawie ostentacyjnie u niej za kulisami, na premiery posyłał jej kosze kwiatów, afiszował się z nią w restauracjach i kawiarniach! Doszło do tego, że Przyjemską publicznie mówiła, że Ewaryst z nią się żeni.

— I co, co ta dziewczyna upatrzyła sobie w Ewarystę? — mówiła Bognie panna Pajęcka — no, bo ty masz na jego punkcie małego bzika, ale tamta?... Jest sławna, ma kolosalne powołanie, talent pierwszej klasy, ogromne gaże... Doprawdy nie rozumiem.

Bogna знаła Przyjemską nie tylko ze sceny i nawet lubiła ją. Nie zachwycała się wprawdzie jej osołomiałymi tualetami, nie podzielała entuzjazmu dla jej wytworności, ale lubiła, oceniała jej talent i wdzięk. Kiedyś stawała nawet w jej obronie, gdy podkpiwano z podobno ograniczonej inteligencji znakomitej aktorki.

I teraz nie czuła do niej nienawiści. Byłoby to poniżające, a przy tym nierozsądne. Nierozsądne, gdyż Ewaryst już przed zbliżeniem się z Przyjemską na prawo i lewo uprawiał miłostki. Podczas swego pierwszego po ślubie pobytu w Iwanówce Bogna otrzymała aż pięć anonimów, donoszących jej o stosunku, łączącym jej męża z Lolą Symieniecką. Było to w niespełna pół roku po ślubie. Później usłużni znajomi i różni ukrywający się informatorzy pisali, telefonowali, mówili, donosili bez przerwy. Wymieniano nazwiska różnych pań, fortancerek, baletnic, aktorek, podawano adresy i daty.

Nigdy nie poniżyła się do tego, by sprawdzić którąkolwiek z tych brudnych wiadomości, chociaż nie miała ani przez chwilę złudzenia, że są kłamliwe. Zbyt dobrze znała już Ewarysta i umiała nań patrzeć.

Z początku postanowiła czekać.

— Minie to, musi minąć — przekonywała siebie.

W najmniejszym stopniu nie dawała mu odczuć, że domyśla się jego zrad. Przeciwnie. Ile razy się zdarzyło, że wpadały w jej ręce listy, że wypadła mu z kieszeni fotografia, że telefonowała doń zbyt czule jakaś kobieta, a Ewaryst zniecierpliwiony już chciał się

zdemaskować — Bogna starała się zatuszować wszystko. Udawała, że nic nie spostrzegła, że podejrzeń nie ma najmniejszych, że jest szczęśliwa, a niewinne flirtiki męża uważa za rzecz całkiem naturalną i zwykłą.

Jeszcze wtedy wierzyła w jego szlachetność i dobrą wolę.

— Wyszumi się i wróci do mnie — myślała — będzie sam żałował krzywdy, jaką mi wyrządził.

Obawiała się nawet, że Ewaryst wówczas zechce zadokumentować swą skruczę jakąś spowiedzią i z góry obmyślała sposoby, jakby tej przykrej dla niego scenie zapobiec.

Mijały jednak miesiące, a przewidywania Bogny nie sprawdzały się. Ewaryst stał się w domu prawie gościem. Wieczory zawsze spędzał poza domem, za wyjątkiem czwartków, stałego dnia przyjęć. Czwartki te jednak były największą męką Bogny. Przez mieszkanie przechodziło moc ludzi wylawianych przez Ewarysta z jego nowych stosunków. Przy ich wyborze kierował się jedynym kryterium: snobizmem. Wprost stawał na głowie, by ściągnąć do siebie każdego, który czy to z racji nazwiska, majątku, czy stanowiska znaczył coś w stolicy. Przyjęcia te kosztowały bardzo drogo, gdyż Ewaryst uważał, że należy się „postawić”. Podawało się koktaile, drogie koniaki i kanapki z kawiozem. Grano w bridge'a (zawsze nowymi kartami) i tańczono. Każde takie najście Hunnów kończyło się grubo po północy, gdyż bezceremonialność swoich gości Ewaryst uważał za dyplom dobrego gospodarza dla siebie. Na mieście głośno podkpiwano z tych czwartków; stopniowo usunęli się z nich dawni znajomi Bogny i w ogóle wybredniejsze towarzystwo. Jednak żadne perswazyje nie pomagały. Ewaryst stawał się coraz bardziej arbitralny i coraz mniej liczył się z jej zdaniem, a nawet z nią samą. Pozwalał sobie na przykład na takie wybryki, jak sprowadzanie nad ranem pijanych mężczyzn i kobiet „na dokończenie wieczoru”. Stawał wówczas na nogi służbę, kazał podawać przekąski, pozwalał grać na gramofonie i walić pięściami w klawiaturę fortepianu. Mieszkanie napelniało się dzikim hałasem, do pokoju Bogny wpadały kobiety, które zaledwie znała, lub których nie znała wcale, a gdy Bogna robiła później w najostrożniejszej formie wyrzuty Ewarystowi, wzruszał ramionami i dziwił się, że takie drobiazgi wyciąga, by uprzykrzyć mu dom do reszty. Na domiar wszystkiego zaczął zapraszać na czwartkowe przyjęcia i te kobiety, z którymi ją zdradzał.

To dopełniło miary. Postanowiła rozmówić się z nim otwarcie. Powiedziała wszystko. Starła się być spokojna, starała się trafić mu do przekonania. Spodziewała się brutalnego wybuchu i zrobiła wszystko, by do tego nie doszło. Ewaryst też wysłuchał jej spokojnie, kiwał głową i milczał. Gdy skończyła, wstał i rozłożył ręce:

— Ha, cóż, możliwe, że masz rację. Ale ja jestem taki i ani dla twojej, ani dla niczyjej przyjemności się nie zmienię. Masz zatem do wyboru albo przystosować się do trybu życia swego męża, albo... albo... rozwiódźmy się.

Powiedział to tak zimno, tak obojętnie, że aż się przeraziła:

— Ale ja cię kocham, Ew! — wyszeptwała.

— No cóż... hm... w takim razie po co cała ta tyrada?

— Bo takie życie jest dla mnie torturą! Czyż tego nie widzisz, czy nie odczuwasz, Ew!

— Przesada. Człowiek do wszystkiego może się przyzwyczaić, moja droga. Zwłaszcza w imię... tej... miłości. Dla miłości, moja droga, ludzie nie takie rzeczy znoszą.

— Ależ, Ew, mnie głównie o ciebie chodzi. Prowadzisz puste, bezmyślne, nie godne ciebie życie. Marnujesz zdrowie, psujesz sobie opinię...

— Za przeproszeniem — przerwał — jakie ja życie prowadzę, to moja rzecz. Nie ty będziesz mnie uczyła. Dzięki temu memu bezmyślnemu życiu mam dziś przyjaciół w najlepszych sferach. Mam stosunki, pieniądze. Jestem wielkim panem. Każdy kelner, każdy szofer, każdy bileter w teatrze wie, kto to jest pan Malinowski. Czy to cię tak boli, że twój mąż stał się jedną z najpopularniejszych osobistości w Warszawie?... Że ludzie liczą się ze mną?... Że jestem kimś?... Nie, moja droga. Już nie ty będziesz mnie uczyła rozumu. A co dotyczy plotek, że cię zdradzam, daję ci moje słowo honoru, że to nieprawda. Chcesz, wierz — nie chcesz, nie wierz. Ja cię nie trzymam. Tylko proszę cię o jedno: nie urządź mi takich pogadanek, bo mam ważniejsze rzeczy na głowie i ani czasu, ani ochoty do ich wysłuchiwania. Nic cię nie obchodzą moje nerwy, a mówisz, że mnie kochasz.

Mimo woli w oczach Bogny zakręciły się łzy. Wtedy pochylił się nad nią, pogładził po włosach, pocałował w usta i już innym tonem powiedział:

— No, nie płacz, kochanie, nie płacz. Nie trzeba z rzeczy błahych robić sobie smutków. No! Uśmiechnij się do mnie. Naprawdę nie jestem taki zły, za jakiego mnie uważasz.

I uśmiechała się. Cóż miała robić?!... Uśmiechała się, bo nie tylko kochała go pomimo wszystko, ale wiedziała również, że nie jest on rzeczywiście zły, że ta próżność, powierzchowność, te kłamstwa i wykręty, ta fanfaronada i niewybredność, płytkie zainteresowania i trywialne gusty są przecież nie jego winą, lecz winą warunków, w których się wychował, ciężkich lat młodzieńczych, wielu wyrzeczeń się i nagromadzonych pragnień. Wychodząc zaś zapewne nie tak sobie wyobrażała zmiany, które w nim zajść musiały. Zapewne nie był to już dziś ów prosty, jasny chłopak z amerykańskiego filmu. A jednak sama myśl wyrzeczenia się Ewarysta wydawała się jej jakimś okrutnym nieprawdopodobieństwem. Wprost nie umiała sobie wyobrazić życia bez niego. Zapłakiwała się nocami, gdy nie wracał, dręczyła się przeczuwaniem jego rozkoszy w ramionach innej kobiety, zdawała sobie sprawę, że trzeba, że powinna, że musi przynajmniej odsunąć się odeń, nie poniżać się do wyczekiwania jego przelotnego kaprysu, lecz wystarczało, by wszedł do sypialni i wszystkie głosy cierpienia i rozsądku milkły od razu.

Jakież to było poniżające, gdy przypominał ją sobie i z oczyma szklistymi od alkoholu, z twarzą bladą i nabrzmiałą, z oddechem przesyconym winem obdarzał ją swymi pieszczotami. A jednak nie umiała wyrzec się ich i płakała z rozkoszy i ze wstydu.

I znowu mijały miesiące, nie przynosząc żadnych zmian na lepsze. Mijały na daremnym oczekiwaniu, na upokarzających zaniedbaniach i jeszcze bardziej poniżających przypomnieniach ze strony Ewarysta. Od czasu do czasu przysyłał Bognie kwiaty, lub przynosił podarek, najczęściej coś z biżuterii. Usiłowała dopatrzeć się w tym jego przywiązania, przyjaźni, serdeczności lecz przeczuwała jedynie jego intencję zadośćuczynienia, wynagrodzenia, zapłacenia jej krzywd, o których wiedziała i tych, których się domyślała.

W tym czasie Ewaryst został zaproszony do rad nadzorczych kilku wielkich przedsiębiorstw budowlanych. Był bardzo z tego zadowolony i twierdził, że odegra w przemyśle krajowym odpowiednią dla siebie rolę. Bogna rozumiała doskonale, że zaproszenie to wynikało wyłącznie z racji zajmowanego przezeń stanowiska dyrektora Funduszu Budowlanego. Tym niemniej podsycala jego ambicje w tym kierunku. Po pierwsze członkostwo w radach nadzorczych dawało pewien dochód, a poza tym miała nadzieję, że Ewaryst zajmąwszy się pilniej poważnymi sprawami, łatwiej da się odciągnąć od swego dotychczasowego trybu życia. I tu jednak czekał ją zawód. W pierwszych dniach przynosił do domu pliki wykazów statystycznych, dzienników ustaw, bilansów i sprawozdań. Zamykał się w gabinecie, wyłączał telefon i wertował. Przyjął nawet na siebie — jak mówił — ciężki obowiązek twórczy opracowania referatu o porozumieniu między karterem cementowym i syndykatem cegielni, lecz już po tygodniu zupełnie się zniechęcił.

— Zmęczony jestem — narzekał.

— Chętnie ci pomogę — ofiarowała się, jak zawsze.

— Co ty tam w tym rozumiesz — wzruszał ramionami również jak zawsze i jak zawsze oddawał jej całą robotę.

W ten sposób przygotowywała dlań wszystkie kwartalne sprawozdania Funduszu, ważniejsze decyzje w sprawach z udzielaniem większych kredytów samorządom, artykuły do pism fachowych, raporty do ministerstwa i t. p. Robiła to z prawdziwą radością, wiedząc, że przyczynia się tym do ufundamentowania jego kariery. Nie miała też doń żalu za to, że nigdy nie okazał jej wdzięczności za te prace. Przecie wiedziała, jak bardzo cierpi jego ambicja na korzystaniu z jej pomocy. Zastanawiała się nawet, czy nie lepiej będzie, gdy mu zostawi możliwość samodzielnego załatwiania tych rzeczy, ale po kilku próbach przekonała się, że Ewaryst nie umie sobie dać rady, że jego opracowania mogłyby go tylko narazić na przykrości, jeżeli nie na śmieszność. Tym bardziej starała się pomniejszyć w jego oczach swoje zasługi. Często umyślnie telefonowała w ciągu dnia doń do biura, by dowiedzieć się, czy nie ma jakiejś poważniejszej sprawy. Wyciągała go wówczas na rozmowę i w najdelikatniejszy sposób podsuwała takie rozwiązania, które wydawały się jej słuszne.

Referat cementowo-cegielniany wymagał rzeczywiście dużej pracy, lecz opłacił się znakomicie, gdyż na zjeździe wybrano stałą komisję porozumiewawczą, a Ewarysta powołano na jej przewodniczącego z dość wysokimi dietami.

Ich dochód wynosił w sumie około czterech tysięcy miesięcznie, lecz same utrzymanie domu, przyjęcia, krawcy i inni dostawcy zabierali prawie wszystko. Ewaryst wymagał od Bogny stanowczo, by ubierała się elegancko i kosztownie.

— Moja żona musi wyglądać na moją żonę — mówił.

— Ale skąd my na to weźmiemy!

— To moja rzecz — irytował się.

Irytował się również, gdy go pytała, czy nie robi długów. Nie umiała sobie wytłumaczyć, skąd bierze pieniądze na hulanki, na parodniowe eskapady do Krynicy, na opłacanie członkowskich składek w klubach.

— Szczęśliwie gram w karty i na wyścigach — niecierpliwił się.

Jednakże nie zawsze grał szczęśliwie. Do uszu Bogny docierały wiadomości, że przegrywał i to poważniejsze kwoty. Ponieważ jednak o długach nic nie słyszała, przeciwnie, opowiadano jej, że Ewaryst zbyt chętnie innym pożycza, uspokoiła się, a raczej przestała o tym myśleć, gdyż był to okres, gdy zawisło nad nią nowe nieszczęście: Ewaryst zajął się Aliną Przyjemską i zajął się poważniej niż innymi.

Doszło do tego, że zamieszkał w jej willi w Konstancinie i tygodniami nie zaglądał do domu, tłumacząc się od niechcienia tym, że lekarz zalecił mu przeniesienie się na wieś.

Bogna zmizerniała, a jej stan nerwowy graniczył już z psychozą. Chodziła całymi godzinami po swoim wielkim, zienawidzonym mieszkaniu i coraz częściej płakała. Przestała odwiedzać rodzinę i znajomych. Nie mogła znieść współczujących spojrzeń i pytań, i pocieszania. Wstydziła się nawet pokazać się na ulicy. Zdawało się jej, że wszyscy widzą jej nieszczęście. Bała się zarówno drwin jak i litości, a pokazywanie ludziom pogodnej twarzy nie przydałoby się przecie na nic: wszyscy wiedzieli.

Samotność jednak nie dała się utrzymać choćby dlatego, że służba patrzyła z bliska na jej rozpacz. W kuchni odbywały się całe sejmy. Pokojówka chodziła z zapuchniętymi oczami, stara Jędrusiowa bezradnie dreptała za Bogną, a lokaj Wincenty kłął, i wyrażając tym swoją niechęć do Ewarysta, po macoszemu obchodził się z jego rzeczami.

Nie przyjmowała nikogo, oprócz Borowicza i Miszutki Urusowa. Lecz i oni odwiedzali ją rzadko. Nie podobna było znieść tej atmosfery, mówiąc o rzeczach obojętnych.

Wreszcie stało się to, czego obawiała się najbardziej.

Któregoś dnia zjawiły się panie Symieniecka i Pajęcka. Tak stanowczo żądały widzenia się z Bogną, że musiała wyjść do nich. Nie omyliła się: ciotki zostały wydelegowane do niej przez rodzaj rady rodzinnej, którą odbyto za jej plecami. Uradzono, że „tak dalej być nie może”.

— Dziecko moje biedne — mówiła ciotka Pajęcka — popełniłaś błąd, czy lekkomyślność, wychodząc z tego człowieka, nie o to chodzi. Stało się. Ale są granice przyzwoitości. Wiesz sama, jaką jestem przeciwniczką rozwodów, tu jednak innego wyjścia nie widzę. Ten człowiek nigdy nie cieszył się moją sympatią. Tolerowałam go przez wzgląd na ciebie. Dziś uważam go za zwykłego, daruj, szubrawca. Musisz z nim się rozmówić.

— Ależ ciociu — drżała ze wzruszenia Bogna — ja go lepiej znam niż inni. Jeżeli kogo skrzywdził, to właśnie mnie, więc ja mogłabym najsurowszy sąd o nim wydać, ale zapewniam ciocię, że to jest w gruncie dobry chłopiec. Zawróciła mu trochę w głowie nagła zmiana warunków materialnych... Musi się wyszumieć... Naprawdę jest dobrym człowiekiem. W tym jego trybie życia tkwi raczej pewna, czy ja wiem, dziecinność...

— Dosyć, kochanie — przerwała pani Symieniecka — sama chyba nie wierzysz w to, co mówisz.

— Wierzę, ciociu.

— Zatem, wybac, jesteś wprost ślepa i głucha. Przecie to okropny typ! Jaki pozium! I co za maniery! Już abstrahując od jego skandalicznego sposobu postępowania z tobą, abstrahując od tych pijatyk i afiszowania się z kobietami wątpliwych obyczajów, jak mogłaś znosić przy sobie podobnie trywialną figurę. Pojąć nie umiem.

Jakże im mogła wytłumaczyć?!... Kochała go, kochała go zawsze, a i teraz silniej, niż wtedy, gdy wychodziła zań za męża. Była tak podniecona, że z trudem hamowała się, by nie odpowiedzieć w sposób niegrzeczny na tę nieproszoną interwencję, na to bezprawne wtrącanie się w jej najbardziej osobiste sprawy.

— Nie mogę przyjąć do wiadomości — mówiła — żadnych dekretów rady rodzinnej, o które nie prosiłam. Wiem, że chcecie dla mnie jak najlepiej, ale pozwólcie, że sama będę decydowała o moim życiu. Nie jestem już dzieckiem.

— Jesteś gorzej niż dzieckiem — surowo upierała się pani Pajęcka — straciłaś zdolność rozumienia własnej sytuacji. Niewiele brakuje, a będziesz przekonana, że to my chcemy cię unieszczęśliwić, a ten osobnik uwielbia cię i szanuje.

— Nie, ciociu, ale ja go kocham. Kocham i wcale nie żałuję, że zostałam jego żoną. I zostanę przy nim, cokolwiekby się stało.

Pani Symieniecka zaśmiała się ironicznie:

— No, nie zupełnie „przy nim”.

Bogna rozplakała się:

— Nie dręczcie mnie, zostawcie mnie w spokoju, ja już doprawdy sił nie mam.

Obie ciotki zaczęły ją całować i pocieszać, lecz nie ustąpiły, póki nie uzyskały jej zgody na rozmówienie się z „tym osobnikiem”. Do rozmówienia się miał być delegowany Staszek Karaś, a ciotki przyrzekły, że nie wystąpi on w charakterze upoważnionego przez Bognę, lecz wyłącznie w imieniu rodziny.

Niepokoilią się później przez trzy dni, wyrzucając sobie, że postąpiła źle, zgadzając się na demarche Staszka. Uległa niepotrzebnie i darować sobie tego nie mogła. Obawiała się, że rozmowa przybierze zbyt ultimatywny ton, Ewaryst zareaguje na to zerwaniem. Na szczęście wszystko przeszło dobrze.

Czwartego dnia Ewaryst zatelefonował z biura, by wysłała Wincentego po walizki do Konstancina, a o czwartej przyszedł na obiad i przywitał się z Bogną nawet dość serdecznie. Po obiedzie, gdy zostali sami, powiedział:

— Był u mnie wczoraj redaktor Karaś. W delegacji, w imieniu naszej rodziny.

Bogna zaczerwieniła się i spuściła oczy, lecz Ewaryst tego nie zauważył:

— Kochana rodzinka — mówił — wsadza nos w nasze życie. Twierdzą, że cię zaniedbuję. Powiedziałbym ja temu Karasiowi, co o nim myślę, gdyby nie to, że on bardzo może szkodzić. Gotowi mnie obszczać i zepsuć mi markę. Że to ludzie nie mają dość własnych spraw. No, chodźże tu, moja mała. Jakoś blado wyglądasz?...

Posadził ją sobie na kolanach i przytulił:

— A ty nie uważasz mnie za potwora, co? — zapytał.

— Nie, Ew, nie — objęła go za szyję.

I zdawało się jej, że oto wszystko wraca, że złe minęło, że wystarczyło kilka rozsądnych słów i powrócił do niej.

Ale wieczorem tegoż dnia przeczytała w dziennikach wiadomość, że Alina Przyjemka wyjechała na gościnne występy do Lwowa.

Pomimo to nie dała się opanować przygnębieniu. Postanowiła wyzyskać powrót męża, by go tym mocniej przywiązać do siebie, by zająć go, zainteresować. Wbrew upodobaniom zaczęła chodzić z nim do restauracji i dancinów. Starła się przy tym podobać się innym mężczyznom, gdyż wiedziała, że Ewarystowi pochlebia jej powodzenie.

— Widziałas — mówił jej po powrocie do domu — jak ten pułkownik wywrać do ciebie oczy?

— Wcale ładne oczy — śmiała się.

— No, no! Aby nie za bardzo!

— Jesteś zazdrosny? — pytała, udając obojętność.

Wzruszał ramionami:

— Nie. Ty mnie nie zdradzisz.

— Jesteś zanadto pewny siebie. Strzeż się! — zartowała.

Wszystko zaczęło się jakoś układać. Wprawdzie nie tak, jakby tego pragnęła, wprawdzie kosztem jakże wielu ustępstw i naginań się, lecz przecież w sposób, który umożliwił żywienie nadziei na dalszą poprawę. Minęły dwa tygodnie w nastroju niepewności i właśnie w dniu, kiedy zdawało się Bognie, że zdołała odzyskać Ewarysta — nadeszła depesza ze Lwowa. Przyniósł ją woźny z biura. Ewarysta nie było w domu i Bogna musiała stoczyć zawziętą walkę z pokusą zniszczenia tego skrawka papieru, w którym przeczuwała początek nieszczęścia.

Nie omyliła się. Nazajutrz Ewaryst oświadczył, że w sprawach służbowych musi wyjechać do Lwowa. Powiedział to przez telefon i nawet nie przyszedł pożegnać się. Walizkę kazał odesłać wprost na dworzec.

Bognę ogarnęła rozpacz. W pierwszej chwili chciała biec na dworzec i błagać, by został, jechać za nim, nie wiadomo po co, wezwać czyjejs pomocy, Borowicza, Urusowa, Karasia, czyjekolwiek... Wieczorem dostała silnej gorączki i kilka dni przeleżała w łóżku nieprzytomna. Nie pozwolono jej zaraz wstać. Czuła się ogromnie osłabiona. Krewni, którzy ją odwiedzali, znowu rozpoczęli swoje namowy, by rozwiodła się z Ewarystem.

I ona już innego wyjścia nie widziała. Nie miała już sił walczyć, nie miała nadziei. Pomalu zaczęła ją ogarniać apatia. Pomimo nalegań lekarza, by wychodziła na spacer, nie opuszczała wcale domu. Chudła przy tym i mizerniała coraz bardziej.

O Ewarystyce wiedziała, że wrócił razem z Przyjemską i zamieszkał znowu w Konstancinie. Do domu nie zszedł wcale. Wreszcie uległa naleganiom rodziny. Pewnego popołudnia usiadła przy biurku, by napisać list do męża. I właśnie podczas pisania znowu dostała silnego zawrotu głowy. Obecna przy tym pani Pajęcka przestraszona wezwała lekarza, a od niego dowiedziała się Bogna, że ma zostać matką.

I nagle zmieniło się w niej wszystko. Opanowała ją jakaś nieludzka radość. Już nie myślała o rozwodzie. W jej życiu powstała rzecz większa, cel przesłaniający sobą całą resztę. Jakaż była teraz spokojna i szczęśliwa.

— O krok, o jeden krok — myślała — byłam od popełnienia fatalnego błędu. Od zbrodni! Bo pozbawienie dziecka rodzinnego domu, pozbawienie ojca, to zbrodnia. Cóż znaczy ta przelotna miłostka Ewa?... Nic. Trochę moich łez. A dziecku nasze rozejście się sprawiłoby niepowetowaną krzywdę.

Zresztą po cichu żywiła nadzieję, że wiadomość ta poruszy również Ewarysta. I nie zawiodła się. Nie zdążyła mu wszystkiego powiedzieć do końca, gdy krzyknął:

— Co ty mówisz!? Zaraz przyjdę — odłożył słuchawkę i rzeczywiście w pięć minut był w domu.

Podniecony i rozczulony wyściskał Bognę. Nawet zaczął coś przebąkiwać, że nie zawsze był dobrym mężem, że ma już taką złą naturę, że trzeba mu wybaczyć miękkość charakteru, że sam Bóg go upomina, że wreszcie taką okazję należy oblać.

Przez kilka dni wracał do domu, sprowadził masę broszur o ciąży, karmieniu, o wychowywaniu niemowląt, wezwał dwóch najznakomitszych ginekologów, którzy orzekli, że ciąża rozwija się normalnie i zalecili Bognie wyjazd na kilka miesięcy na wieś.

— Oto mądra myśl — ucieszył się Ewaryst — pojedę z tobą.

— Ależ twoje obowiązki! Zresztą, ja mogę zostać w Warszawie — perswadowała.

— Obowiązki to głupstwo. A grunt żebyś była zdrowa, żebyś szczęśliwie urodziła. Za tydzień wyjeżdżamy.

Gdy jednak upłynął tydzień, okazało się, że Ewaryst nie może wyjechać.

— Jedź ty sama, a ja, gdy się tylko z tym i owym ułatwię, zaraz przyjadę.

Nie wierzyła mu, lecz tak nalegał, że wreszcie wyjechała sama. I oto siedziała już w Iwanówce prawie trzy miesiące. Oczywiście nie przyjechał. Z początku przysłał kilka kartek z pozdrowieniami, później w ogóle zamilkł. Pomimo to nie myślała o powrocie. Z listów, jakie nadchodziły z Warszawy, dowiadywała się, że hula, że nawet w ich domu urządza pijatyki, że bywa na nich Przyjemska. Bolało ją to, lecz nabrała jakiejś dziwnej pogodnej rezygnacji. I zazdrość nie piekła jej tak, jak dawniej. Całymi dniami czytywała ojcu, chodziła z nim na dalekie przechadzki, a obcowanie z tym rozumnym starym człowiekiem, patrzącym na wszystko pod kątem wieczności ze spokojem beznamiętnego badacza, napełniało i jej usposobienie harmonijną ciszą.

Również i rozmowy z panem Pohoreckim nie mąciły tego nastroju. Stary pan przypominał Bognie jakąś stalową, potężną maszynę, w której popsuło się coś kiedyś, w której zdruzgotaną część zastąpiono nową, niezbyt dobraną i wywołującą nieustanny zgrzyt, lecz właśnie dlatego, że zgrzyt ten był tak jednostajny, łatwo było przyzwyczaić się doń i nie pamiętać o nim.

Najczęściej, wracając z przechadzki, już z daleka widzieli pod wielkim kasztanem nakryty do obiadu stół, lato bowiem tego roku było wyjątkowo pogodne, a w krytym gontą dworcu za dnia robiło się duszno. Po drugiej stronie dziedzińca, przy płocie oddzielającym

zabudowania folwarczne, zazwyczaj stał, a raczej tańczył w miejscu, opędzając się ślepiom i bąkom, wierzchowiec pana Pohoreckiego, najczęściej bowiem przyjeżdżał konno, utrzymując, że nic tak nie konserwuje zdrowia, jak dobry kłus.

Tym jednak razem pod parkanem stała obdrapana bryczuszka, zaprzężona w niezbyt dobraną parę: wysokiego jasnokościwego bułanka i w małego gniadosza. Bogna zwróciła uwagę ojca na ten niezwykle zaprzęg, a profesor powiedział:

— Musiało się coś stać w Pohorcach. Albo Walery jedzie na kolej, albo przywiózł kogoś.

I rzeczywiście przywiózł. Pod kasztanem obie ciotki uwijały się koło jakiegoś pana w jasnym sportowym ubraniu. Bogna ze zdumieniem poznała Borowicza.

— Hop! Hop! — Panie Stefanie! — zawołała.

Zerwał się z miejsca i z serwetką w rękę szedł ku nim. Bognę ogarnęło rozrzewnienie: jak za dawnych, jakże dawnych lat, w tej samej Iwanówce są znowu razem, tylko on już ma siwiejące włosy na skroniach, a ona...

— Stefek! — ucieszył się profesor — jakież dobry duch cię natchnął, żeś przyjechał do nas na wieś! Witajże, drogi chłopcze.

— Dzień dobry, panie profesorze dzień dobry pani — witał się, lecz pod jego uśmiechem dostrzegła jakiś niepokój.

— A to nie mogłeś nas uprzedzić? — strofował profesor Brzostowski.

— Przyjechałem do Pohorców dość niespodziewanie — wyjaśniał Borowicz — wuj Walery miał różne sprawy... Melioracyjne... i właśnie załatwiałem to w ministerstwie rolnictwa... więc... teraz... skorzystałem ze sposobności... I wuj mnie zabrał do państwa.

— Błado pan wygląda — zauważyła Bogna.

— Ja?.. Ależ nie — zaprotestował — czuję się znakomicie.

— Wypoczniesz i wydobrzejesz tutaj — orzekł profesor — mamy cudne lato. Na długo przyjechałeś?

— Niestety tylko na jeden dzień.

Nadszedł i pan Walery. Bogna uważnie wpatrywała się w jego surową twarz w nadziei znalezienia w jej wyrazie objaśnienia do dziwnego zachowania się Borowicza. Przeczukiwała, nie, wiedziała z całą pewnością, że ten przyjazd, to zdenerwowanie Stefana, te jego komentarze o melioracji, ukrywają coś ważnego, coś bardzo ważnego. Lecz rysy pana Pohoreckiego nie powiedziały jej nic, a w jego oczach dostrzegła tylko te same pobłyski smutku i cierpienia.

— Czyżby pan Walery — myślała — zdecydował się powierzyć Stefanowi zarząd Pohorców?

Lecz zaraz odrzuciła ten domysł: po pierwsze znała zbyt dobrze krytyczną opinię Pohoreckiego o siostrzeńcu, a po wtóre wprost przez skórę czuła, iż ona musi tu wchodzić w grę, ona osobiście.

Tymczasem zasiedli do obiadu. Pan Walery, który z zasady jadał tylko u siebie, w milczeniu spoglądał w stronę ogrodów, gdzie pielono grzędy, kuzyn Brzostowski i ciotki zasypywali Borowicza pytaniami, profesor jadł zamyślony.

— Kiedyż pan nareszcie — zapytała Stefana ciotka Teresa — rzuci to obrzydliwe miasto i przyjedzie tu na stałe. Panu Waleremu przydałaby się pańska pomoc.

— Wuj jej nie potrzebuje, proszę pani — spokojnie odpowiedział Borowicz.

Pan Pohorecki ocknął się:

— Mylisz się. Potrzebuję. Bardzo potrzebuję pomocy. Ale nie ty możesz mi jej udzielić. Nie potrafisz.

Młody Brzostowski zaśmiał się:

— No, to już chyba pan żartuje. Przecie Stefan z ziemi wyrósł, a poza tym zdobył duże wykształcenie, wiedzę...

— Głupstwa gada pan — uciał Pohorecki — Stefan wyrósł z ziemi, ale śmierdziała mu i przeffancował się na inny grunt.

— Nie miał jej — oponował Brzostowski — gdyby nie została po tamtej stronie.

— To też by nie gospodarował. Ziemia mu śmierdzi, a śmierdzi właśnie z tej racji, że posiadał wiedzę, że wykształcił się. Nazywają to wiedzą i wykształceniem, ale czy nie jest czasem odwrotnie? Cóż on wie i czego się nauczył? Czy rozumie życie? Czy rozumie świat? Czy rozumie siebie?... Nie. Pan więcej o tym wie i więcej rozumie. Pan i ja. Wiemy,

że słońce wschodzi i zachodzi, że deszcz pada i rosa, że żyjemy po to, by orać, by siać, by plony zbierać i znowu siać. A gdy jest urodzaj, wiemy, że Bóg dał, gdy nieurodzaj, że Bóg zabrał. Wiemy po co żyjemy, wiemy dlaczego pomrzemy. My wszystko wiemy, bo oczy mamy otwarte, bo ziemia nas uczy. Kształci nas na swoich pewnikach, niezachwianych, trwałych, wiecznych. Nie mamy potrzeby, nie mamy woli grzebania się w naszych prawdach. Stoją nad nami jak las, a my wśród nich żyjemy bezpieczni o swoją równowagę, w której znajdujemy siłę, nie siłę pędu lecz trwania. A owe wiedza i wykształcenie karczą ci wszystkie prawdy, podważają pewniki, burzą harmonię świata, napęniają umysł chaosem wątpliwości. I w końcu robią z człowieka to, że swoją niepotrzebnością sam się zatruje.

Bogna przypomniała sobie, co kiedyś mówił Borowicz:

— Kto wie czy szczytem człowieczeństwa nie jest absolutna nieużyteczność jednostki, jej zbędność w społeczeństwie.

— Zdradźże mi tajemnicę, mój drogi Walery — odezwał się profesor: — czym się wyraża twoja użyteczność? Tak na przykład twoja?

— Nigdy nie podawałem się za ucieleśnienie moich poglądów. Jeżeli jednak zależy ci na tym, służę.

— Będę ci wdzięczny.

— Otóż — zmarszczył brwi pan Pohorecki — znasz użyteczność powiedzmy, gnoju... Moja jest podobna. Na mnie, na moich zasadach, lub (jeżeli chcesz poezji), na moim grobie, wyrośnie to, co pozwoli osądzić wartość takiego jednego życia. Bądź łaskaw przeżyć mnie o kilka lat, a zobaczysz.

Mówił bardzo poważnie, więc nikt nie zaśmiał się z dowcipu. Po chwili dodał:

— Właśnie Stefan zebrał dla mnie potrzebne informacje i przywiózł mi pewność, że nawet w naszym szablonowym ustroju prawnym będę mógł swoje plany urzeczywistnić.

— Więc pan dlatego przyjechał?... — wyrwało się Bognie.

Odetchnęła z ulgą. Naturalnie miała niemądre przywidzenia. To ten kobiecy egotyzm: zawsze wszystkie rzeczy łączyć z własną osobą. Na szczęście jej okrzyk nie został spostrzeżony, gdyż profesor zaczął mówić:

— Mylisz się, Walery. Zapominasz o jednej rzeczy, że człowiek nie jest ilościową cząstką ludzkości, że społeczeństwo to nie suma jednakowych wartości. Jest przede wszystkim sobą, indywidualnością. Posiada do dyspozycji mózg, czy też ulega swemu umysłowi, temu fenomenowi przyrody, będącemu jednocześnie podmiotem i przedmiotem, nierozdzielnie wiążącemu te dwa elementy na pozór nie dające się utożsamić. Jeżeli chcesz w istocie ludzkiej szukać pierwiastka nadprzyrodzonego, to właśnie w tym nielogicznym węźle, w tym, iż ten węzeł musi stać w sprzeczności z logiką, znajdziesz punkt wyjścia.

— Jakież stąd wnioszek?

— Prosty. Pokarmem umysłu jest poznawanie. Żądza nie trwania czy przetrwania, jak mówisz, lecz pędu, postępu, odkrywania nowych prawd, wydobywanie ich z głębin ziemi, z tkanki roślin, z atomów i z bezmiarów gwiazd, z własnych myśli wreszcie. Poznawanie wszechświata, poznawanie siebie i poznawanie swojej roli we wszechświecie. Tu jest źródło wszelkiej wiedzy, tu kryje się motor nauki. I jakże możesz zmusić swój umysł, by wyrzekł się tego, co jest, co musi być racją jego istnienia? Powiadasz „żyjemy bezpieczni w naszych prawdach”. Ależ gdy pewnego dnia bodaj przypadkiem przyjrzy się im bliżej, spostrzeżesz fikcyjność wielu z nich.

Pan Walery zaśmiał się sucho:

— Zapewne, ale przeceniając zdolność umysłu i powierzając mu rolę taksatora prawd, z góry skazuję się na wariacką karuzelę, na jakiś kadryl prawd zmieniających się z zawrotną szybkością. Mój kochany, weź to w perspektywie historii. Iluż to było objawicieli wszelkiej mądrości, a co zostało z nich dzisiaj?

— Jednak żyli równie bezpiecznie w cieniu swoich prawd, do których doszli.

— Otóż to — uderzył się po kolanie pan Walery — o to mi chodziło. Nie jest ważne co stanowi prawdę, lecz co uważamy za prawdę. Nie posuniesz swojej zarozumiałości aż do twierdzenia, że nauka da nam poznanie roli człowieka we wszechświecie.

— Daje nam drogę...

— Którą się nigdzie nie dojedzie. Bo jechać po to tysiące mil przez tysiące lat, by nie ruszyć się z miejsca i być tak dalekim od prawdy, jak ten, kto przyjął i uznał najbliższą...

Do Bogny pochylił się Stefan:

— Tak dawno — szepnął — nie byłem w Iwanówce. Czy wszystko tu po staremu. Wiedziałem, że obora teraz jest murowana.

— Chciałby pan przejść się?

— Z przyjemnością.

Wstali cicho i ruszyli w stronę folwarku. Upał jeszcze się wzmógł, ale od lasu ciągnął chłodniejszy powiew.

— Szkoda, że pan Pohorecki nie zatrzyma pana dłużej, drogi panie Stefanie — zaczęła — czy musi pan jechać?

— Muszę. Przywiozłem wujowi materiały do jego projektów.

— Czy to tajemnica?

— Nie. Wuj zamierza zrobić ze swoich dóbr rodzaj fundacji, chce podzielić wszystko na działki dwudziestohektarowe i osadzić na nich chłopów. Ma to być multum ordynacji. Ziemi nie wolno sprzedawać, ani wydzierżawić, ani zastawić.

— Ach więc tak?! — zdziwiła się Bogna — a pan?

— Co ja?

— Przecie pan jest najbliższym spadkobiercą swego wuja.

Borowicz wzruszył ramionami:

— Nie mam na to wpływu.

— Ale pan nawet pomaga zrealizować ten plan, pozbawiający pana majątku, olbrzymiego majątku!

— Nie pomagam.

— Jednak umyślnie po to pan przyjechał.

Borowicz spojrział na nią:

— Miałem i... inne powody.

Więc nie omyliła się. Pierwsze wrażenie nie zawiodło. Chodziło tu o nią. I znowu czuła wzrastający niepokój.

— Miałem i inne powody — powtórzył niepewnym głosem Borowicz.

— Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy:

— Słucham, niechże pan mówi!

— Ach, — zaśmiał się, a raczej udał, że się śmieje — nic znowu tak ważnego, to jest... nic poważnego... Nie należy przesadzać...

Unikał jej wzroku, a Bognę opadły najgorsze przeczucia. Zbladła i chwyciła go za rękę:

— Panie Stefanie! Co się stało?

— Nic się nie stało — odpowiedział trochę poirytowanym głosem — jeszcze nic się nie stało i błagam panią, niech pani się uspokoi.

— Ewaryst... Pan ma od niego... dla mnie...

— Nic zupełnie. O, Boże! Pani Bogno, niechże się pani nie denerwuje.

Zdało się jej, że już wie wszystko: on tu przysłał Stefana z zawiadomieniem, że wniósł o rozwód, że żeni się z Przyjemską. Czuła dojmujący ból w piersiach i nieznośną suchość w gardle. Więc wszystko przepadło... Wszystko, na czym zbudowała swoje życie, rozchwiało się... Runęło... I ta kobieta, ta zła kobieta, która zabrała jej chłopca z bajki, niemądrego, naiwnego chłopca... Oplątała go...

Stali przy śpichlerzu, z którego otwartych drzwi szedł wilgotnawy zapach zboża. Tuż, bujnie obrośnięty perzem i końskim szczawiem, leżał pęknięty kamień młyński. Bogna usiadła na nim i patrzyła nieruchomymi źrenicami w ciemną czeluść spichrza.

— Niech pan mówi — odezwała się drewnianym głosem.

— Właściwie to nic pewnego — zaczął — i bardzo proszę, by pani nie przyjęła tego zbyt tragicznie. Powtarzam, że może to być nieporozumienie. Pan prezes Jaskólski... obawia się... ale sam muszę przyznać. — Ewaryst kategorycznie nie zaprzecza... Na razie ustalono brak około czterdziestu tysięcy...

Bogna w pierwszej chwili nie zrozumiała. Myślami była tak daleko. Dopiero gdy spojrziała w oczy Borowicza zorientowała się od razu.

— Boże! — krzyknęła.

— Ależ jeszcze nic nie wiadomo — zawołał.
— To niemożliwe! To niemożliwe! Nie wierzę — zakryła twarz ręką — Ewaryst nigdy by tego nie zrobił.

Borowicz rozłożył ręce:

Jednakże on nie zaprzecza. Prezes zrobił wszystko, co od niego zależało, by nie nadać sprawie rozgłosu. Szczegółów i ja nie znam. Wskutek jakiegoś zażalenia, czy denuncjacji wyznaczono komisję i podobno stwierdzono, że niektórzy petenci nie otrzymali przyznanych pożyczek, a podjął je z kasy Ewaryst. Poza tym kazał kasjerowi wypłacać sobie zaliczki na pobory, bardzo duże kwoty. I wszystkie te... nieformalności na razie wynoszą prawie czterdzieści tysięcy złotych.. Jednak nie jest wykluczone, że okaże się tego więcej. Okropnie przykra sprawa. Wszczęto śledztwo...

— Czy... czy on jest... aresztowany?...

— Nie. Jaskólski zrobi wszystko, by do tego nie doszło.

— Boże, Boże... Ale panie Stefanie, przecie mówi pan, że może to być jakieś nieporozumienie?!

Borowicz milczał.

— Widział pan Ewarysta?

— Tak. Właściwie to on mnie prosił, by zawiadomić panią. Sytuacja jest o tyle do uratowania, że prezes trzyma wszystko w ręku. Prezes oświadczył Ewarystowi, że jeżeli w krótkim czasie wpłaci całość sprzeniewierzonej kwoty... rzecz da się zatuszować.

— Czterdzieści tysięcy! Skąd ja wezmę tyle pieniędzy! Boże drogi! Nie mogę myśli zebrać. Ale nie ma czasu do stracenia — zerwała się — która to?...

— Kwadrans po piątej — spojrział na zegarek Borowicz.

— Najbliższy pociąg odchodzi o dziewiątej. Jeszcze mogę zdążyć, muszę zdążyć.

— Więc chce pani jechać?

— Oczywiście.

Powzięte konkretne postanowienie otrzeźwiło ją od razu. Wyciągnęła obie ręce do Borowicza:

— Kochany panie Stefanie: bardzo panu dziękuję. Nigdy panu nie zapomnę tej dobroci.

— Niech pani o tym nie mówi — zmarszczył brwi.

— Czy i pan pojedzie?

— Ma się rozumieć. Nie na wiele się pani przydam w drodze, ale...

Nie dokończył i odwrócił się.

Bogna poszła do domu. Wywołała kuzyna i oświadczyła, że zaraz wyjeżdża.

— Powiedz, że mój mąż zachorował. I proszę cię każ zaprzęgać konie jak najprędzej. Chciałabym koniecznie zdążyć na wieczorny pociąg.

— Czy coś niebezpiecznego? — zaniepokoił się.

— Och, mój drogi, nie wiem, nic nie wiem i przebacz, że cię popędzam, ale nie mam chwili do stracenia.

W szalonym pośpiechu spakowała nieduży neseser, przebrała się i właśnie nakładała kapelusz, gdy przed ganek zajechały konie. Jednocześnie zapukano do drzwi. Był to pan Pohorecki. W pierwszej chwili chciał ją zapytać o powód wyjazdu, lecz widocznie dostrzegłszy, że jest zapłakana, powiedział:

— Szkoda, że wyjeżdżasz, moja mała przyjaciółko. Znowu zostawiasz mnie samego.

Nagle Bognę olśniła myśl:

— Panie Walery... czy... kupiłby pan moją część Iwanówki?...

Zmarszczył brwi i spojrział jej w oczy...

— Będzie tego... nie wiem dokładnie, ale coś około stu hektarów — dodała z pośpiechem — kuzyn to obliczy. Później można wydzielić.

— Spotkało cię coś złego?...

— Tak — odpowiedziała krótko.

— Ile ci potrzeba?

— Dużo... Czterdzieści tysięcy — zatrzymała oddech w piersi.

— Zastanowię się — odezwał się po krótkiej pauzie — w ciągu dwóch dni przyślę ci odpowiedź. Zależy ci na czasie?

— Bardzo! — ścisnęła jego rękę.

Nadszedł ojciec i ciotki. Żegnała się prędko. Nikomu nie powiedziała oczywiście dlaczego tak nagle wyjeżdża, nikt zresztą nie pytał. Domyślali się, że musiało zajść coś przykrego i niespodziewanego.

— Kiedy wrócisz? — zawołał profesor, gdy już siedziała w powozie obok Borowicza.

— Nie wiem, ojczu. Nic nie wiem. Bądźcie zdrowi.

— Szczęśliwej drogi.

Konie z miejsca ruszyły klusem. Zatoczyli duże półkole przy parkanie sadu, okute żelazem koła zagruchotały na brukowanym dojeździe, zadudniły na małym mostku, a za mostkiem droga wpadała między wysokie łany pszenicy, zwiąjała się kręto, a dalej zanurzała się w Pohoreckich lasach.

Do stacji jechało się puszcza dobre pięć kilometrów, później zaś okazał się szmat drogi szerokim traktem, wysadzonym po obu stronach starymi brzoźami. Ponieważ deszczu nie było od dawna, kurz wkrótce pokrył szarą warstwą skóry powozu i białe kitle Borowicza i Bogny.

Milczeli przez całą drogę. Bogna, pochłonięta myślami o straszliwej sytuacji, jaką zastanie w Warszawie, usiłowała przygotować jakiś plan działania. Ma się rozumieć, zdawała sobie sprawę z faktu, że w każdym razie Ewaryst utraci swoje stanowisko, że słowem straci wszelkie dochody. Ale to najmniej ją martwiło. Z głodu nie umrą. Jakaś posada zawsze się znajdzie. Byle tylko zwrócić czym prędzej, spod ziemi wydobyć a zwrócić te nieszczęsne pieniądze i byle nie rozeszło się to po mieście. Jeżeli jednak pan Jaskólski obiecał zachować tajemnicę, wszystkiemu da się jeszcze zapobiec. Najgorsze było to, że okropne te przejścia mogą wprost przygnieść Ewarysta. Czyż ten dzieciak znajdzie w sobie dość siły, dość odporności, by nie ugiąć się, nie załamać pod takim ciosem?...

— Żeby tylko największego głupstwa nie popełnił, Boże, żeby nie popełnił — powtarzała w myśli, starając się nie dopuścić do swej świadomości obawy, że Ewaryst targnie się na własne życie.

On, dla którego godność i honor, i szacunek ludzki i ta ohydna opinia publiczna tyle znaczą!... Jakich należy użyć argumentów, by go uspokoić, napelnić otuchą, udowodnić, że jeszcze nie wszystko stracone?... Jego religijność może tu być poważnym atutem, a poza tym jest przecie młody, ma zostać ojcem, ma obowiązki... Trzeba to podkreślić. I jeszcze powtórzyć, co mówił profesor Brzostowski o samobójcach:

— Gardzę człowiekiem, który dobrowolnie wyrzeka się życia. Dowiódł tym bowiem, że jest tępy i ograniczony. Wart jest śmierci, gdyż jego umysł nie zna głodu poznawania, nie odczuwa rozkoszy myślenia, zgłębnienia i kontemplacji. Jeżeli nie ciekawi go życie, jakiegokolwiek, najgorsze życie — nie zasługuje nawet na żal. Jeżeli przesłonił sobie cel życia: poznawanie, jakimś innym celem, to głupiec, a jego nieszczęście nie może mnie wzruszyć, gdyż jest bezrozumne.

Bogna nie w zupełności podzielała zdanie ojca, lecz postanowiła nie zaniechać niczego, co by mogło odwieść Ewarysta od rozpaczliwego kroku.

A poza tym należało wydobyć pieniądze. Jeżeli pan Walery zdecyduje się na kupno jej części Iwanówki, rzecz zostanie rozwiązana. Pieniądze zaraz przyśle, a formalności załatwi się później. Wprawdzie w ten sposób odpadnie jej mała renta, ale mniejsza o to. Dotkliwsze będzie samo wyzbycie się ostatniego kawałeczka ziemi, jaki pozostał w ich bliższej rodzinie. Wprawdzie będzie mogła po dawnemu bywać w Iwanówce, lecz już tylko jako gość. No i pan Walery nie daruje jej nigdy tej sprzedaży.

— Jakie to dziwne — myślała z goryczą — tak niedawno zapewniałam go, że nie odstąpię od tej ziemi.

Ale teraz stawało się to drobiazgiem, który w niczym nie może wpłynąć na rzecz najważniejszą, na konieczność ratowania Ewarysta. Byle tylko pan Walery zgodził się na kupno! W przeciwnym razie zebranie tak wielkiej sumy przechodziło granice jej możliwości.

Obliczała, że za biżuterię może dostać najwyżej cztery, pięć tysięcy, za stare srebra, etolę sobolową i różne drobiazgi może drugie tyle. Mebli można będzie sprzedać tylko część, gdyż resztę wzięli na raty, a tych niewiele spłaciła, gdyż Ewaryst uzyskiwał pralonagaty. Zostały jeszcze pożyczki. Ciotka Symieniecka, Dina Karasiowa, Pajęccy...

I przede wszystkim oszczędność, posunięta do maximum oszczędność.

Tę zastosowała od razu. Gdy dojechali do stacji, oświadczyła Stefanowi, że pojedzie trzecią klasą. Próbował perswadować, lecz nie ustąpiła. Pociąg był prawie pusty. Z łatwością znaleźli wolny przedział. Przykry zapach lakieru i jakichś środków dezynfekcyjnych nappełniał powietrze. Dopiero, gdy wagony ruszyły, do rozgrzanego wnętrza wpadł świeży powiew.

— Kiedy się to stało? — zapytała Bogna.

— Trudno mi ustalić datę — po namyśle odpowiedział Borowicz — ale zdaje mi się, że przed pięciu dniami.

— Boże! Czemuż nie zawiadomiliście mnie od razu!

— Ja zostałem powiadomiony przez prezesa Jaskólskiego dopiero wczoraj rano. Rozmówiłem się z Ewarystem i natychmiast wyjechałem.

— Nie robię panu wyrzutów, panie Stefanie, przeciwnie, jestem bardzo, bardzo wdzięczna. Pana to przecie nic nie obchodzi... Doprawdy, dwie noce w wagonie...

— Pani Bogno! — powiedział z wyrzutem.

— Ale przecie znacznie prościej było zadeszować.

Podniósł na nią oczy:

— Jak zadeszować?

— Prawda — przyznała — ale wystarczyłoby napisać: natychmiastowy przyjazd konieczny.

— Przepraszam panią, skąd ja mogłem wiedzieć, że... pani, dowiedziawszy się o co chodzi, w ogóle chciałyby przyjechać? — powiedział z naciskiem.

Zdziwiła się:

— Przecież to zrozumiałe!

— Nie tak bardzo... — uśmiechnął się ironicznie — nie szpiegowałem was, ale, daruje pani otwartość, dla nikogo nie było tajemnicą, że ten pan... zdradzał panią, żeście byli bliscy rozvodu, że w każdym razie nie ma pani powodów do zbytniego współczucia dla swego męża...

— Panie Stefanie, ale nie w chwili, gdy spadło nań nieszczęście!

— Takie nieszczęście — podkreślił Borowicz.

— Ach... o to panu chodzi.

Borowicz wzruszył ramionami i odwrócił się do okna. Bogna zastanowiła się. Rzeczywiście Stefan miał prawo wątpić, czy ona zechce ratować Ewarysta. Nie znał przecie ich stosunków.

— I mnie nie znał — pomyślała.

A jednak aż sama teraz zdziwiła się, że nie miała żadnych wątpliwości. Bądź co bądź od niej tylko zależało obecnie wyparcie się Ewarysta, zerwanie i uwolnienie się od kompromitacji, od współodpowiedzialności materialnej i moralnej. Przecie trzeźwo oceniała położenie. W najlepszym wypadku bieda i ciężka praca, zupełne usunięcie się z życia towarzyskiego, może nawet ostracyzm. Rozumiała to od początku. No i pozostanie przy człowieku, dla którego nie można już mieć szacunku, któremu nie można ufać, którego trzeba się... wstydzić.

Myśli Borowicza tymi samymi widocznymi szły torami, gdyż zaczął mówić:

— O to mi chodzi, pani Bogno, że ani przez moment nie wyobrażałem sobie, jadąc do Iwanówki, że tak pani zareaguje na tę wiadomość. O to mi chodzi. I jeżeli postanowiłem zawiadomić panią osobiście, to jedynie dlatego, że obawiałem się, by zbyt brutalna wiadomość nie zaszkodziła pani w jej obecnym stanie. Czy... czy pozwoli mi pani mówić szczerze?

Był wzburzony i z trudem panował nad rozedrganymi mięśniami twarzy.

— Proszę pana — powiedziała spokojnie.

— Otóż znam panią od lat i wiem, że brzydzi się pani, że raczej brzydziła się pani zawsze wszelkim brudem, błotem... Skąd mogłem przypuszczać, że zechce pani dobrowolnie ocierać się o ten brud?... Nie, absolutnie nic pani nie zmusza! Zmarnował, zapługawił pani życie. Obraził panią już tym samym, że pozwolił sobie po nią sięgnąć, zbezczeszczył swoimi zdradami. Niczego oprócz krzywdy i hańby pani nie dał, a na zakończenie zrobił panią żoną złodzieja!...

— Panie Stefanie! — zawołała — niechże pan ma dla mnie trochę litości!

— Nie mogę, nie mogę — wybuchnął — to jest potworne! Nie rozumiem tego, nie chcę rozumieć!

— On jest moim mężem.

— Jest łajdakiem!

Wzięła go za rękę i powiedziała z naciskiem:

— Ma pan prawo tak go nazwać, ale, panie Stefanie, nie ma pan obowiązku pastwienia się nade mną.

Wyrwał rękę, zerwał się z miejsca i stanął przy oknie. Po dłuższej chwili zaczął mówić nie patrząc na Bognę:

— Mam obowiązek, obowiązek przyjaźni. Mam obowiązek uprzytomnić pani jej sytuację. Nie mogę nazwać wielkodusznością tego, co jest szaleństwem. Pani nie ma prawa gubić siebie. Pojąłbym jeszcze zamiar materialnej pomocy, chociaż i do tej nie jest pani obowiązana. Proszę tylko zastanowić się...

Usiadł przed nią i kurczowo zaciskając dłonie recytował, jak wielekroć powtórzoną lekcję:

— Proszę wracać z najbliższej stacji. Pojadę sam. Zrobię wszystko co potrzeba. Zajmę się w imieniu pani wydobyciem pieniędzy i zwróceniem ich do kasy Funduszu. Zapakuję pani rzeczy i odeślę do Iwanówki. Będę codziennie pisał do pani. Proszę mi zaufać, proszę usłuchać. Przysięgam, że zrobię wszystko, by uratować Ewarysta. Ale niechże on więcej nie plami pani, niech nie ośmieli się jej dotknąć! Błagam panią, zaklinam na moją bezgraniczną przyjaźń!...

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się smutno. Jakże on jej nie rozumiał!

— Nie, panie Stefku, nie. Nie mogę tak postąpić.

— Dlaczego?! Dlaczego?!...

— Jestem jego żoną...

— Ach! — zachnął się.

— Mam zostać matką jego dziecka — dodała — a poza tym, panie Stefanie, ja go kocham.

Spojrzał na nią z nienawiścią i opuścił głowę.

Do końca podróży nie zamienili już więcej słowa na ten temat. Borowicz siedział ponury, udając, że drzemie, Bogna nie spała również. W Warszawie byli przed ósmą. Jeszcze raz gorąco podziękowała Borowiczowi i poszła pieszo do domu.

Drzwi otworzył lokaj zaspany i na pół ubrany.

— Czy pan już wstał? — zapytała Bogna.

— Dzień dobry pani, jak to dobrze, że jaśnie pani przyjechała, bo my już tu rzeczywiście...

— Czy pan śpi jeszcze?...

Służący obejrzał się bezradnie.

— Gdzie jest pan? — przeraziła się Bogna.

— Pana aresztowali — wykrztusił.

— Co? — krzyknęła.

W tej chwili nadbiegła Jędrusiowa i od razu wybuchnęła płaczem. Całowała Bognę po rękach, powtarzając:

— Moja biedna panienska, moja nieszczęsna... moja biedna...

— Kiedy pana aresztowali?

— Wczoraj w południe... Takie nieszczęście.

Jedno przez drugie zaczęli opowiadać. Bogna usiadła na jakimś krześle i zaciskała zęby, by nie rozsłochać się przy nich, by oprzytomnieć. Przyszło dwóch cywilnych i komisarz. Wsiadli do taksówki i pojechali. Pozwolili panu zabrać trochę bielizny, ale pisać, ani telefonować, nie. Pan bardzo gniewał się, a stróż i windziarz, którzy wyszli na ulicę, słyszeli jak komisarz kazał szoferowi jechać do Urzędu Śledczego.

— Zostawcie mnie samą — cicho powiedziała Bogna.

Przez kilka minut siedziała nieruchomo, później wstała, bezmyślnie przeszła przez całe mieszkanie i zatrzymała się przy telefonie.

— Trzeba działać, trzeba działać — powtarzała półgłosem, jakby chcąc zmusić się do skupienia myśli.

Aresztowanie to jeszcze nie znaczy uwięzienie. Nie należy tracić nadziei. Przede wszystkim porozumieć się z Jaskólskim. Tak, przecie po to zatrzymała się przy telefonie.

Połączyła się z centralą Funduszu:

— Czy mogę mówić z panem prezesem Jaskólskim?

— A kto mówi?

— Tu Bogna Malinowska...

— Aha... sprawdzę, pani będzie łaskawa poczekać.

Teraz dopiero uderzyło ją wymówione własne nazwisko. Czują, że krew napłynęła jej do twarzy. W Funduszu oczywiście wszyscy wiedzą.

— Boże, Boże... jakie to straszne — oparła się o ścianę. Kręciło się jej w głowie.

Na szczęście w tej chwili usłyszała głos Jaskólskiego.

— Dzień dobry pani Bogno. Czy pani mówi z domu?

— Tak. Przyjechałam...

— Wiem od Borowicza. Za kwadrans będę u pani.

— Jaki pan dobry. Nie chciałabym trudzić. Może ja...

— Nie, nie — przerwał — wołałbym u pani.

— Prawda — spostrzegła się. Jej zjawienie się w biurze mogłoby skompromitować prezesa.

— Zaraz będę — zakończył Jaskólski.

I rzeczywiście zanim zdążyła umyć się, przyjechał. Był bardzo wzruszony, długo całował i ścisnął jej ręce. Później zaczął opowiadać. Rzecz przedstawiała się gorzej, niż ją przedstawił Borowicz. Okazało się, że podczas rewizji kasy, Ewaryst, widocznie chcąc się ratować, niepotrzebnie przedstawił kwity, które niestety okazały się fałszywe. Dlatego aresztowano go. Ale istnieją możliwości naprawienia tego fatalnego błędu. Mianowicie trzeba tym osobom, których pokwitowania zostały sfalszowane czym prędzej wpłacić całkowite kwoty. Można mieć nadzieję, że zgodzą się oni oświadczyć, iż upoważnili dyrektora Malinowskiego do pokwitowania w ich imieniu, na przykład jako prywatni jego znajomi. On zaś zamiast pokwitowań od siebie, napisał ich nazwiska. Nie podrabiał, lecz po prostu napisał.

— Rozmawiałem już z tymi panami i odniosłem wrażenie, że zgodzą się.

— Boże... Boże — płakała Bogna.

— Najgorsze jest to, że jak się okazało, kwota nadużyć wynosi przeszło sześćdziesiąt tysięcy. Ściśle sześćdziesiąt siedem tysięcy czterysta dwadzieścia złotych. I trzeba najdalej w ciągu trzech dni to wpłacić. Oczywiście... jeżeli pani w ogóle może i jeżeli chce.

— A czy wówczas... zwolnią go? — drżącym głosem zapytała Bogna.

— Sądzę, że tak. Osobiście zrobię wszystko, co leży w moich możliwościach. Wie przecie pani, że dla niej niczego nie zaniedbam. Jednakże nie przypuszczam, by w obecnym stanie rzeczy moja pomoc wystarczyła. Trzeba przede wszystkim uzyskać zgodę poszkodowanych, no i nacisnąć odpowiednie sprężyny w ministerstwie sprawiedliwości. O ile nie mylę się, pan Malinowski miał tam duże stosunki.

I Bogna na to liczyła, lecz spotykał ją jeden zawód za drugim. Ci panowie, z którymi przyjaźnił się Ewaryst, albo wcale przyjąć jej nie chcieli, albo rozkładali ręce na znak, że są tu bezsilni. Wreszcie późnym wieczorem dzięki interwencji Staszka Karasia uzyskała od prokuratora pozwolenie na dziesięciominutową rozmowę z Ewarystem na jutrzejszy ranek. Nie mogła jednak i z tego skorzystać. Pilniejsze i ważniejsze było porozumienie się z poszkodowanymi.

Rozmowy te, wyczekiwanie po przedpokojach, świecenie oczami przed ludźmi, oszukanymi przez jej własnego męża, były dla Bogny prawdziwą torturą. Patrzano na nią podejrzliwie i obrażająco, bez żenady używano zwrotów obelżywych. Przeważnie jednak zgadzano się dość łatwo. Ludzie ci potrzebowali pieniędzy i przyrzeczenie natychmiastowej wypłaty wystarczyło do uzyskania ich wielkoduszności. Nie chcieli czekać, a proces mógłby potrwać kilka miesięcy.

O mało co jednak nie rozbiło się wszystko o zdecydowany upór jednego z nich, doktora Falczyńskiego. Przyjął Bognę bardzo niegrzecznie. Nie tylko nie podał jej ręki, do czego już zresztą zdążyła się przyzwyczaić, lecz nawet nie wskazał krzesła, chociaż sianiała się na nogach. Wysłuchawszy prośby, powiedział:

— Ja tego nie zrobię. Szuje należy tępić. W ogóle dziwię się bezczelności przychodzenia do uczciwego człowieka z takimi propozycjami. Powinien otrzymać jak najwyższy wymiar kary. Za dużo łajdactwa namnożyło się na świecie. I ja będę ostatni, który przyłoży rękę do wydobywania z kryminału takich ptaszków.

Wśród łez zaczęła go znowu prosić, przekonywać, że jej mąż nie jest złym człowiekiem, a znalazł się pod złymi wpływami, że nawet gorsi zbrodniarze zasługują przecie na odrobinę litości, na humanitarne przebaczenie, na chrześcijańskie miłosierdzie, że i tak poniósł straszną karę...

— Proszę pani — przerwał doktor — przyznałbym jej rację o tyle, o ile podobne wypadki byłyby rzadkością. Ale dziś świat przeżywa wprost epidemię defraudacyj, nadużyć, złodziejstw i przekupstwa na stanowiskach publicznych. Za dawnych czasów, gdy opinia społeczna zależała wyłącznie od mężczyzn, przedsiębrano w podobnych chwilach wyjątkowe środki zaradcze i duszono rzecz złą w zarodku. Dziś, kiedy do życia weszłyście wy, kobiety, z łatwością, a bez umiaru szafujące tak zwanym humanitaryzmem, bo kobiety na ogół są obojętne w kwestiach etyki, nastąpiło osłabienie moralnej odporności, a do takiego osłabienia ja ręki nie przyłożę. Rozumie mnie pani?

Cóż mogła rozumieć?... Musiała ratować tego biedaka. Oczywiście zrobił źle, zrobił brzydko, popełnił rzecz hańbiącą, ale przecie zawsze był uczciwym człowiekiem... Musiała go ratować! Za wszelką cenę, kosztem największych upokorzeń!...

Wprost od zawziętego lekarza pojechała do pani Karasiowej, której brat, hrabia Szymon Dobrojecki był kuratorem szpitala im. Dobrojeckich, gdzie właśnie doktor Falczyński pełnił obowiązki dyrektora.

Staruszka przyjęła Bognę ze łzami w oczach. Wiedziała już o wszystkim. Zaczęła znowu namawiać Bognę do rozwodu z Ewarystem, przyznała jednak że trzeba go wydobyć z więzienia i przyrzekła interwencję u brata.

Zabiegana i do ostateczności wyczerpana Bogna, nie miała nawet czasu wpaść do domu. Co pewien czas tylko telefonowała z miasta, by dowiedzieć się, czy nie ma wiadomości z Pohorców. Gdy zadzwoniła a siódmej, okazało się, że przyjechał jakiś chłop. Czym prędzej wróciła. W przedpokoju, z tobołkiem zawiniętym w czerwoną chustkę na kolanach, siedział stary Białorusin, który u pana Walerego za młodu był gajowym.

— Niech będzie pochwalony — podniósł się — ja tu list dla panienki przywiozłem.

Rozerwała wymiętą kopertę. Wewnątrz była kartka:

„Mogę kupić Twoją część Iwanówki. Daję za nią czterdzieści tysięcy. Jeżeli zgadzasz się, wręcz oddawcy zrzeczenie się. On ci wypłaci należność. Formalności załatw najdalej w ciągu tygodnia ze Stefanem. Ze swej strony stanowczo ci odradzam robienie tego głupstwa. Wyzbywanie się ziemi, czyli wartości nieprzemijającej, dla czegoś na świecie — jest idiotyzmem. Zastanów się i cofnij się. — Walery Pohorecki”

— Macie przy sobie pieniądze? — zapytała gorączkowo.

— A jakże, mam, panienko.

— Zaczekajcie.

Szybko napisała zrzeczenie się i pokwitowanie. Przeliczyła pieniądze i odesłała starego do kuchni:

— Dostaniecie kolację, a gdy wrócie do Pohorców panu powiedzcie, że bardzo dziękuję i że później napiszę list.

Rzeczywiście była panu Waleremu niezmiernie wdzięczna, chociaż teraz wiedziała, że uzyskana odeń kwota nie pokrywa wszystkiego.

Następny dzień upłynął jej na spłacaniu poszkodowanych. U każdego z nich znowu musiała być osobiście, nie wyłączając doktora Falczyńskiego, który pod presją swego zwierzchnika wreszcie się zgodził na polubowne załatwienie sprawy.

Jednocześnie zajęła się sprzedażą biżuterii, sreber i mebli. Ze względu na karkołomne tempo w jakim musiała to zrobić, oczywiście uzyskała zaledwie połowę ceny. Mieszkanie po najściu handlarzy opustoszało. Służbę też musiała uwolnić. Przy pożegnaniu z Jędrusiową rozplakała się, ale cóż miała robić?... W obecnych warunkach niemogła nawet marzyć o posiadaniu własnego mieszkania. Gdy ściemniło się, kazała znieść do dorożki kilka walizek, cały swój majątek i pojechała do małego hoteliku na Wspólnej, gdzie wynajęła pokoik za cztery złote dziennie. Mogłaby wprawdzie zamieszkać u kogoś z krewnych, lecz

przede wszystkim musiała liczyć się z tym, że teraz, po roztrąbieniu przez gazety nieszczęścia Ewarysta, jego by tam na pewno nie przyjęli, a przecież o niego głównie chodziło. I w tym pokoiku będzie mu niewygodnie, ale zawsze będą razem.

Najtrudniej było z wydobyciem pożyczek. Do pokrycia całości brakowało jeszcze prawie osiemnastu tysięcy. I tu znowu trzeba było udać się do rodziny.

Rozpoczęła nową pielgrzymkę po krewnych i znajomych. Niestety prawie wszyscy wyjechali na lato. Ciotka Symieniecka siedziała w Vichy, pani Mirska na Wołyniu, Dina w Scheveningen, u Pajęckich zaś było tak krucho z gotówką, że sami szukali większej pożyczki. Wreszcie zdołała zebrać prawie dziesięć tysięcy, przy czym dwa pożyczyła od poczciwej Jędrusiowej. Większość zobowiązań pokryła, lecz przed wypłaceniem całości nie mogło być mowy o zwolnieniu Ewarysta. Wówczas przypomniała sobie jego kuzyna, Feliksa Malinowskiego. Nie było innego wyjścia i musiała jechać do Lwowa. Wskutek tego po raz drugi nie mogła skorzystać z pozwolenia widzenia się z mężem. Przesłała mu tylko bieliznę i prowianty. Chciała załączyć również list, lecz na to jej nie dano zgody.

— Trudno — myślała — tamto ważniejsze.

A musiała jechać osobiście, bo chociaż mogłaby o to prosić Borowicza, Miszutkę, Dorę Żukowiecką, czy kogoś równie życzliwego, i wiedziała, że nie spotkałaby się z odmową, jednak samo prośenie wydawało się jej czymś niesmacznym. A poza tym uzyskanie tych ośmiu tysięcy od Feliksa było koniecznością, ostatnią deską ratunku. Nie wątpiła też, że potrafi go przekonać, chociaż wiedziała, że Feliks jest nieużyty i do sentymentów rodzinnych zbytnio się nie poczuwa.

Po bezsennej nocy w wagonie czuła się rozbita i tak zmęczona, że z trudem zbierała myśli. Gdy od pokojówki, która otworzyła jej drzwi, dowiedziała się, że „pana profesora nie ma w domu”, omal się nie rozplakała.

— Ale nie wyjechał ze Lwowa?

— Nie, proszę pani, jest na spacerze. Może pani zaczeka?

— Zaczekam.

— To proszę tu do salonu. A jak mam zameldować, gdy pan wróci?

— Proszę powiedzieć — zawahała się Bogna, że... żona pana Ewarysta.

— Słucham panią.

Bogna usiadła i rozejrzała się. Duży, trzyokienny salon przepelniony był meblami, szczerze obciążniętymi pokrowcami z białego płótna. Obrazy na ścianach, żyrandol i lampy również były pozakrywane. Wzdłuż ściany leżał zwinięty dywan. Wyglądało to na skład mebli.

Nagle do pokoju wpadła niebrydka, kilkunastoletnia panienska, w krótkiej, niebieskiej sukience. Jej okrągła buzia i duże piwne oczy wyrażały ciekawość i hamowaną wesołość.

— Pani wybacz, że się przedstawię — odezwała się swobodnie. — Jestem Kazia. Mamusia jeszcze się ubiera, a tatusiek spaceruje. Ach, jaka pani miła! Nawet nie myślałam.

Śmiało wyciągnęła rękę do Bogny i dodała:

— Właściwie to powinnam do pani mówić „stryjenko”, ale pani jest stanowczo za młoda i za ładna na tak ciężki tytuł. Prawda?

Bogna uśmiechnęła się blado:

— Nie myślałam, że pani... że jesteś taka duża. Ewaryst tak opowiadał o tobie, jak o dziecku.

Panienska wydeła usta:

— Ach, stryj tu był w zeszłym roku, a poza tym on jest taki wielki, że bez kija nie przystępuj. Może sobie pani wyobrazić, że chciał, bym go całowała w rękę! Wie pani co mu powiedziałam? Powiedziałam tak: — Niech stryjek wymaga tego od Przyjemskiej.

Roześmiała się, lecz zaraz urwała, widocznie spostrzegłszy się, że palnęła głupstwo.

— Bo widzi pani... on tu trochę asystował tej aktorce. Swoją drogą powinna go pani trzymać mocno.

Bogna pomyślała: — tu jeszcze o niczym nie wiedzą. Lecz w tej chwili Kazia wypaliła:

— A teraz szanowny stryjcio siedzi?... Ładna historia. Mamusia utrzymuje, że od dawna to przewidywała. Ale mamusia zawsze przewiduje dopiero wtedy, gdy się coś stanie.

Dziadzio mówi, że mama to Pytia z przekroczonym terminem, czy coś w tym guście. Niech mi pani powie co on właściwie przeszkrobał?

— Przykro mi o tym mówić, kochanie.

— O, przepraszam panią, bardzo przepraszam. Rzeczywiście jestem bardzo niedelikatna. To ta głupia ciekawość. Wydam się pani teraz taką mieszczańeczką. Ja wiem, że pani jest z arystokracji. Mama mówiła, że takiego wstydu pani nie wytrzyma przed swoją rodziną i że to są skutki wychodzenia za męża za byle kogo, ale to już mówiła tak, na złość tatuśkowi. Przepraszam panią. Czy pani na mnie się gniewa?...

— Nie, drogie dziecko, skądże.

— A można panią pocałować?

Bogna przygarnęła dziewczynkę i mocno ucałowała. Uprzytomniła sobie, że za kilka miesięcy sama będzie miała dziecko.

— Ale pani to szkoda na żonę dla stryja — zawyrokowała Kazia — on jest taki jakiś... Czy ja wiem...

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła pełna, przysadzista blondynka, dobrze po czterdziestce. Krepdeszynowy, różowy szlafrok ciasno opinał się na jej obfitych kształtach. Włosy miała świeżo ufryzowane, a wyraz twarzy tragiczny.

— Droga pani! — zaczęła głośnym, patetycznym szeptem — droga pani! Jakie to bolesne, że w takiej chwili i w takich okolicznościach dane mi jest powitać panią w moim domu...

Obiema pulchnymi dłońmi ścisnęła rękę Bogny.

— Takie nieszczęście, taka hańba — ciągnęła — wprost wstydzimy się ludziom oczy pokazać bo gdyby chociaż Feliks nie afiszował się z nim tu po mieście... Wybacz pani — dodała tonem ubocznej uwagi — ten nieporządek, ale nie spodziewaliśmy się pani...

— To ja przepraszam za mój najazd.

— A w jakim hotelu zatrzymała się pani? — z naciskiem zapytała pani Feliksowa.

Bogna zrozumiała intencję: chciano zaznaczyć, że na gościnę w tym domu nie może liczyć.

— W żadnym, proszę pani. Zabawię tu zaledwie kilka godzin. O trzeciej odchodzi mój pociąg do Warszawy.

— Jakże to możliwe! Przecie można tak zdrowie stracić! Och, Boże, co my cierpimy przez tych mężów — załamała ręce — powiadam pani, że myślałam, że mnie krew zaleje, za przeproszeniem. Od tego wypadku spokojnego dnia nie mam. Wprawdzie dotychczas swemu mężowi nie mogę nic takiego zarzucić... Owszem, przyzwoity człowiek... szanowany... Ale co to można, moja pani, wiedzieć? Nieprawda?... Zawszeć to stryjeczni bracia. Między nami mówiąc, obieśmy popełniły mezalians. O nie, proszę pani, swojej córce za żadne skarby nie pozwolę wyjść za człowieka niezamożnego. Gdy ktoś od dzieciństwa na żaden brak skarżyć się nie może, to i później nie znęca go frykasy. Ale moja pani, jakże to było, bo w gazetach zamieszczono tylko krótkie wzmianki?

Bogna uśmiechnęła się smutno:

— Proszę mi darować, pani sama doskonale to odczuje, jak mi przykro mówić o tej sprawie.

— A dużo tego zginęło?

— Sześćdziesiąt kilka tysięcy.

— Jezus, Maria! I wszystko przehulał?... Jakie to czasy, moja pani! Myślałam, że może milion, dwa, że chciał sobie chociaż przyszłość zabezpieczyć. Ale zawsze mówiłam, że ten Ewaryst to nie jest poważny człowiek, tak, proszę pani, to nie jest poważny człowiek. Taka hańba!... Ale przepraszam, może pani droga jeszcze bez śniadania?...

— Dziękuję. Nie jestem głodna.

— Jezus, Maria! Gdzie ja mam głowę! Kazia! Skoczno i każ przygotować śniadanie... Zaczekaj... I podać tę, wiesz, porcelanę w centki... Czekajże... Nie potrafisz, ja sama zarządzę. Zabaw tu tymczasem panią.

Jeszcze trzy razy przeprosiła i wyszła, a Bogna odetchnęła z ulgą. Naprzeciw niej siedziała Kazia ze smutną miną.

— Jacy śmieszni są ludzie starsi — odezwała się po chwili — niech pani powie jak się mają dzieci nie wstydzic rodziców?...

Bognie ścisnęło się serce: czy i jej dziecko kiedyś tak powie?... Nie, to niemożliwe. I nagle uprzytomniła sobie, że ojcem tego dziecka będzie Ewaryst. Przed oczyma zawirowały kolorowe płatki. Zaciśnęła szczęki, by nie wybuchnąć płaczem.

— Mnie się zdaje — mówiła Kazia — że to z biegiem lat ludzie stają się tacy niemądrzy, gruboskórni... małostkowi... I dlatego są śmieszni. A pani nie jest taka. Boże, jakżebym chciała mieć taką matkę, jak pani!

— Dziecko drogie — Bognie zakręciły się łzy pod powiekami — skądże możesz wiedzieć? Nie znamy się wcale...

— O, ja to czuję.

— A poza tym twoja matka wcale nie jest ani niemądra, ani śmieszna. Na pewno kocha cię bardzo. To nieładnie, że wmawiasz w siebie, że się za nią wstydzisz.

— Ja ją też kocham, ale irytuje mnie, że ona nie widzi własnej śmieszności.

— A widzisz, kochasz ją.

— Można kochać nawet osoby bezwartościowe. Tatuś mówił, że pani kocha stryja Ewarysta. Nawet sam stryj to mówił. A ja mu wówczas prosto w czy: — a no, to jeszcze jeden dowód, że miłość jest ślepa. Powiadam pani był wściekły i nazwał mnie rozwydrzoną smarkatą i zapowiedział, że ze mnie ziółko wyrośnie. Takiego senatora robił, a tymczasem sam cudzą flotę...

Tu zrobiła lewą dłonią gest, gest zagarniania do kieszeni.

— Ja nigdy nie wyjdę za mąż. Brr!... W ogóle nie należy wiązać się z mężczyzną. Ot, przelotny flirt, romans, ale bez konfidencji...

— Kaziu! Żebyś ty wiedziała, jakie głupstwa mówisz!

— Dlaczego głupstwa?... Że tak dotychczas nie było?... To jeszcze żaden dowód. Radia i samolotów też kiedyś nie było. A gdy sobie wyobrażę, że dostanę takiego męża jak tato, stryj, albo któryś z przyjaciół taty, to po prostu dostaję...

Umilkła i nadstawiła uszu. W przedpokoju trzasnęły drzwi i rozległo się donośne chrząkanie, później szmer półgłosem prowadzonej rozmowy i do salonu wszedł Feliks Malinowski.

Przytył, zaokrąglił się i jeszcze bardziej wyłysiał. Stanąwszy w progu odezwał się spokojnie, ale ostro:

— Kaziu, proszę natychmiast iść do matki. Nie jesteś tu potrzebna.

Dziewczynka zerknęła ironicznym spojrzeniem ku Bognie, powiedziała „przepraszam” i wyszła. Dopiero gdy drzwi za nią się zamknęły, pan Feliks przywitał się milcząco z Bogną, chrząknął donośnie i usiadł naprzeciw z kamienną powagą w rysach.

— Przyjechała pani? — zapytał.

— Przyjechałam umyślnie do pana. Pan już wie, prawda?

— Prosiłbym jednak o szczegóły tej strasznej historii, która odebrała mi kilka lat życia — zmarszczył czoło.

Bogna opowiedziała w krótkich słowach o tej sprawie.

— Tak, tak, kiwał głową — wina jego jest niewątpliwa. Cóż.... ale i pani... hm... ponosi odpowiedzialność. Żyliście nad stan. Na to pozwolić sobie może ktoś posiadający jakąś większą rezerwę. Ziemię, kamienice, kapitał... Tak... Należało go powstrzymać. No, ale stało się. Zbzechcecił dobre nazwisko, na którym, powiadam pani, plamki nie było, najmniejszej plamki. Mnie cały Lwów zna i Kraków. Zna i szanuje. A teraz rumienić się muszę. Tak, życie nad stan. To największy wróg. I cóż pani zamierza?... Oczywiście wspominała mi żona. Ma pani rozejść się z nim?... Bardzo słusznie. Dowiadywałem się dyskretnie u jednego adwokata. Za takie nadużycia dostanie trzy lata jak amen w pacierzu.

— Na razie o niczym nie myślę, panie Feliksie — przerwała mu Bogna — tylko o ratowaniu Ewarysta.

— Jako o ratowaniu?

— Dzięki dobroci niektórych ludzi można go uratować. Trzeba tylko wpłacić całość brakującej sumy.

— Ile?

— Sześćdziesiąt siedem tysięcy.

— Fiuu! — gwizdnął Feliks — to jest poważny pieniądz.

— Otóż, proszę pana, większość już wpłaciłam...

— Więc jednak nie przepuścił wszystkiego?

— Owszem, ale miałam kawałek ziemi, za który uzyskałam czterdzieści tysięcy, po-
za tym sprzedawałam swoją biżuterię, srebra, zaciągnęłam pożyczki... I brakuje mi jeszcze
ośmiu, dziewięciu tysięcy, a mam przyrzeczenie, że Ewaryst zostanie zwolniony natych-
miast po wpłaceniu i że sprawa zostanie umorzona.

Pan Feliks zaśmiał się sztucznie:

— Pani jest naprawdę, proszę mi darować, lekkomyślną kobietą. Więc wyzbywa się
pani wszystkiego, zaciągnęła długi i po co? Przecie jeżeli go zwolnią, on żadnej posady
i tak nie otrzyma. Z czegoż będziecie żyć? Z czego płacić długi?... Bardzo chwalebne z pani
strony i szlachetne, nie przeczę, ale nie widzę celu?...

— To mój mąż, nie mogę go zostawić bez pomocy. Uważam to za swój obowiązek
moralny.

— Nie uznaję obowiązków moralnych w odniesieniu do defraudantów. I ja radziłbym
pani nie pakować się w tę sprawę. Ja bo już go na oczy nie chcę widzieć i na próg nie
wpuszczę. Taką krzywdę mi zrobić!

— Nie przeczę, ma pan prawo najsurowiej go osądzać, chociaż jestem przekonana,
że stało się to nie ze złej woli, lecz z braku rozwagi, ze słabości charakteru, z ulegania
szkodliwym wpływom. Jednak mam nadzieję, że w każdym razie zechce pan przyczynić
się do ratowania Ewarysta.

— Ja?... Ja?... Palcem nie ruszę!

Zaczęła go przekonywać. Używała wszystkich argumentów. Chodziło już przecie tyl-
ko o stosunkowo niewielką kwotę ośmiu czy dziewięciu tysięcy. Pan Feliks wszakże był
niewzruszony:

— Uważam to za bezcelowe, za marnotrawstwo — powtarzał.

Po długich naleganiach oświadczył:

— Zresztą... kto mi zaręczy, że Ewaryst zwróci?

— Ja panu ręczę.

— Wierzę pani, ale czy wolno zapytać z czego?

— Będę pracowała, dla Ewarysta też jakaś posada w końcu się znajdzie.

— Nie sądzę, ale do pani mogę mieć zaufanie. Nie rozporządzam gotówką... Hm...

Co mogę, to dam.

Wstał i wyszedł do sąsiedniego pokoju, a po chwili powrócił z banknotem pięciuset-
złotowym i z kartką papieru:

— Zechce pani pokwitować — położył przed nią kartkę i pióro — pełnym imieniem
i nazwiskiem.

— Tylko pięćset! — wyrwało się jej z ust.

— Nie mogę szastać majątkiem moich dzieci — z godnością odpowiedział pan Feliks
— czasy są ciężkie, a poza tym gra nie warta świeczki.

Z jakąż rozkoszą odsunęłaby ten świeżutki banknot i wyszła bez pożegnania! Jednak
nie miała prawa tego zrobić. Podpisała zobowiązanie, obiecując sobie, że dług ten spłaci
najwcześniej, nawet przed spłaceniem Jędrusiowej.

Schowała pieniądze do torebki, a widząc, że Feliks nie siada i stoi w pozycji wycze-
kującej, zerwała się:

— Dziękuję panu i do widzenia.

— Do widzenia pani. Wszystkich nas ten głupiec unieszczęśliwił. Życzę szczęśliwej
podróży. Do widzenia. Rączki całuję.

W przedpokoju mignęła jej okrągła twarzyczka Kazi. Szybko zbiegła ze schodów i pie-
szo poszła na dworzec. Tu wypila szklankę mleka, zjadła bułkę i, uprosiwszy kelnera, by
ją na czas obudził, usnęła na krześle.

Nie pokrzepił jej jednak ten sen, jak i drzemka w wagonie. Przyjechała do Warszawy
śmiertelnie znużona, lecz na spoczynek nie miała czasu. Najpierw wysłała Ewarystowi
paczkę z żywnością, później trzeba było szukać pieniędzy. Od swojej dawnej szwaczki po-
życzyła jeszcze tysiąc, Miszutka wreszcie wyszukał jej jakiegoś Fajncyna, lichwiarza, który
zgodził się dać siedem tysięcy na dziesięć procent miesięcznie pod warunkiem dwóch so-
lidnych żyr. Z zażyrowaniem było już łatwiej. Profesor Szubert dał swój podpis, drugie
żyro dał Staszek Karas.

— Po miesiącu, gdy ciocia wróci — kalkulowała Bogna — spłacę tego lichwiarza.

Wreszcie wszystko było uregulowane. Jaskólski dotrzymał słowa. Osobiście był u ministra i uzyskał jego zgodę na umorzenie sprawy. Pani Karasiowa załatwiła rzecz w prokuraturze, a Bogna sama w ministerstwie sprawiedliwości.

W południe przyjechała do urzędu śledczego, mając gotowe wszystkie potrzebne papiery. W brudnym, ciasnym pokoju czekała na załatwienie ostatnich formalności. Wreszcie przyprowadzili Ewarysta. Wyobrażała sobie, że ujrzy go złamanego, zgnębnego, z nieogoloną twarzą i w zniszczonym ubraniu. Toteż, gdy wszedł wyświeżony z jakimś uśmiechem na ustach i z ręką w kieszeni, doznała jakby rozczarowania. Nie mogła sobie sprecyzować dlaczego, ale odczuła przykrość, dotkliwą przykrość.

Ewaryst zbliżył się do niej swobodnie i przywitał się z taką miną, jakby w ogóle nie zaszło. Po raz pierwszy zrozumiała, że się go wstydzi. Nie mogła podnieść oczu, czując na sobie spojrzenia policjantów i kilku osób, oczekujących tu, jak ona. Tymczasem Ewaryst musiał pokwitować odbiór zegarka, portmonetki i innych drobnych przedmiotów, przy czym żartobliwie rozmawiał z urzędnikiem. Bogna zaciskała zęby, by nie wybuchnąć płaczem.

— No, chodźmy z tego przybytku — usłyszała nad sobą jego głos.

W milczeniu schodzili po schodach. Na rogu wsiedli do taksówki.

— Co jesteś taka smutna? — zapytał.

— Tak... nie jestem smutna...

— Zmizerniałaś. Pewno bardzo niepokoilaś się o mnie? Co? — pochylił się ku niej i chciał pocałować.

Lekko, ale stanowczo odsunęła go. Nie zniosłaby teraz jego pieścizoty.

— Przestań — powiedziała — jesteśmy na ulicy.

— Więc cóż z tego?...

Wzruszył ramionami i dodał z goryczą:

— Ładnie mnie witasz.

— Ew... — zaczęła — Ew, czy ty nie rozumiesz...

— Czego?

— Że ja zbyt wiele... przecierpiałam.

Zaśmiał się sucho:

— Co ty powiesz?... To paradne! Ona przecierpiała. Ja w więzieniu siedziałem, musiałem spać na twardej pryczy, jeść jakieś paskudztwo, znosić najgorsze traktowanie, a teraz dowiaduję się, że to nie ja cierpiałem tylko ona!

Szofer obejrzał się i Bogna szepnęła:

— Nie mów tak głośno.

Wzruszył ramionami i umilkł.

— Dokądże to jedziemy? — zapytał, gdy auto skręciło ku Wspólnej.

— Do domu.

— Więc zlikwidowałaś mieszkanie?

— Tak. Zamieszkałam w małym hoteliku.

Zapłaciła szoferowi i weszli na górę.

— Pokoik jest wprawdzie bardzo mały — powiedziała — ale i na taki obecnie nas nie stać.

— Klitka — orzekł.

Spojrzał przez okno, z którego widać było podobne do studni podwórko, usiadł na łóżku, próbując sprężystość materacu, później na ceratowej kanapie i machnął ręką:

— Ostatecznie wygodniejsze to od pryczy.

— Czy nie jesteś głodny? — zapytała.

— Nie.

— Może chciałbyś się wykapać? W korytarzu jest łazienka.

— Wieczorem się wykąpię.

Zapalił papierosa i powiedział:

— Teraz będę musiał wyjść. Mam spotkać się z jednym facetem. A on zawsze bywa u Kleszcza między pierwszą i drugą.

— Gdzie?

— U Kleszcza, w cukierni. Mam mu to oddać. Zobacz: nic nie rozumiesz, bo to specjalnym szyfrem pisane.

Podał Bognie skrawek szarego papieru zwinięty w cienkie ruloniki.

— Co to jest?

— Gryps, ważny gryps. Czytałeś o aferze Miszczakowskiego?

— Nie.

— Jakto? — zdziwił się — nie czytałeś o tym Miszczakowskim, co założył biuro kredytowe? Co to na dwieście tysięcy stuknęli?

— Ew, jak ty się wyrażasz?

— Ach, moja droga, czyż to nie wszystko jedno!... Otóż wyobraź sobie, że siedziałem razem z tym Miszczakowskim. To jest głowa! No! Spryciarz pierwszej klasy. Niczego mu nie udowodnią. Każdziutki szczegół opracowany. Faceta już szósty raz biorą i zawsze się wykręci. Adwokatem mógłby zostać: cały kodeks karny i procedurę na pamięć umie. Nic mu nie zrobią. Kryty jest na wszystkie boki.

Mówił to z takim ożywieniem, że graniczyło to niemal z podziwem. Bogna w pierwszej chwili nie mogła się w tym zorientować, lecz stopniowo zaczęła ją ogarniać przestraszanie. Nie poznawała Ewarysta. Był to inny człowiek. A może nie inny, może ten sam, tylko odsłoniła się teraz jego prawdziwa istota?... Nie, nie, to byłoby okropne. Po prostu ma słaby charakter, zbyt łatwo ulega zewnętrznym wpływom. Kilka dni, spędzonych wśród zbrodniarzy odbiło się w jego niebezpiecznie przewrażliwionej psychice. Ale to minie, musi minąć. Trzeba, by uprzytomnił sobie potworność swego stosunku do tamtych rzeczy, trzeba mu pomóc w otrząśnięciu się z brudnych naleciałości. Przecie wierzyła, była przekonana, że z gruntu jest dobrym chłopcem, że główną jego winą jest lekkomyślność i jakaś dziecinna chciwość życia. A reszta — to złe okoliczności, warunki zewnętrzne. Trzeba go wychowywać jak dziecko, trzeba nad nim czuwać...

— Taki Miszczakowski nie zginie — ciągnął Ewaryst — gdybym go wcześniej znał! Fiuu!... Wiesz, że można było tak całą rzecz ułożyć, że i przez trzy lata niczego by mi nie udowodnili? Opowiedziałem mu wszystko. Czy otwierałem o tak, gdy mi zaczął układać różne kombinacje. Sam miał podobną historię w jednym towarzystwie akcyjnym i nic mu nie zrobili, a rąbnął ich na przeszło sto tysięcy...

— Ew — przerwała mu chłodno — czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, że mówisz rzeczy... ohydne?!... Czy ty wiesz, że to cuchnie?!... Co się z tobą stało?!... Zachwycasz się brudem i łajdactwem. Pomyśl tylko, zastanów się chwilę.

— A cóż ja takiego powiedziałem? — zrobił niewinną minę.

— Przecie nie mogłeś stracić poczucia uczciwości! Czyż nie pojmujesz, że w twoim podziwieniu dla tamtego łotra jest coś wstrętnego?

Starła się swemu głosowi nadać brzmienie najwyższej odrazy, ton najkategoryczniejszego potępienia.

Ewaryst zmieszał się, zaczerwienił się z lekka i rzucił od niechcenia:

— No... niczego mu nie udowodniono...

— I cóż z tego?!

— Nic z tego. W każdym razie nie zachwycam się nim, a po prostu zaciekawiał mnie, jako... typ.

— Ale to jest typ, który u każdego uczciwego człowieka musi wywoływać wstręt! To jest zawodowy zbrodniarz.

— Nie przeczę...

— Słuchaj, Ew — postanowiła postawić kwestię na ostrzu noża — słuchaj, Ew, ty przecie popełniłeś rzecz straszną, podłą, niecną! Zniweczyłeś swoje dobre imię, swoją karierę, skompromitowałeś własną rodzinę i mnie. Czy... czy ty rozumiesz, że każdy może cię nazwać... złodziejem?...

— Miłe rzeczy mi mówisz — przygryzł wargi.

— Mówię ci prawdę. Okropną prawdę, bo widzę, że jej nie ogarniasz. Jednak ja jestem przeświadczona, że tak nie jest, że sam brzydzisz się swego lekkomyślnego kroku, że był to tylko brak zastanowienia się, jakieś chwilowe zamroczenie, że całe życie poświęcisz, by zarobić znowu na imię uczciwego człowieka, że odczuwasz ciężkie wyrzuty sumienia. Pomyśl, Ew, jaka wielka przepaść dzieli cię od tego oszusta, o którym opowiadałeś! Ta przepaść to twoje sumienie, którego tamten dawno nie ma. To twój wstyd! O, gdybyś wiedział jaką cierniową drogę musiałam odbyć, by uzyskać ten nakaz zwolnienia dla ciebie! Gdybyś wiedział, jakich słów musiałam słuchać milcząc i w pokorze, jakie obelgi znosić!

— Psiakrew! — zaklął i zerwał się z miejsca — powiedz od kogo, a pójde i psiakrew, zęby powybijam.

— Jakim prawem?! Przecież to oni mieli rację!

— Boże... Boże... — jęknął i usiadł skulony w kącie.

Bognie żywiej zabiło serce. Wpatrywała się weń pełna niepokoju i nadziei.

— Biedne, słabe dziecko — myślała — cóż by się z nim stało, gdybym odeń odezła, gdybym teraz porzuciła go?... Byłoby to okrucieństwem, byłoby zepchnięciem go ku przepaści.

I nagle spostrzegła się: — po co przekonywała samą siebie o konieczności zostania z Ewarystem, skoro ani przez chwilę nie myślała o odejściu?... Tak, nie myślała, a przynajmniej nie myślała świadomie... Bo też nie powinna była w ogóle zastanawiać się nad taką możliwością. Jej niewątpliwym i wyraźnym obowiązkiem było podźwignąć go, dać mu pomoc i oparcie moralne. Rozbudzić w nim potrzebę zmazania winy, pragnienie pracy nad własną naturą... To obowiązek. I wiedziała, że obowiązek ten wypełni, jak wiedziała również, że nieledwie przechodzi to jej siły. Brała ten ciężar na siebie, a przecie nie ludziła się, że wysiłek i trud dadzą jej w najpomyślniejszym wypadku jakąkolwiek radość. Patrzyła na skulone plecy Ewarysta, na łokcie wsparte na kolanach, na pochyloną głowę, patrzyła z bólem i litością, nawet z współczuciem, ale i z głuchym dojmującym żalem: kochała tego człowieka i on tę miłość zabił.

Kiedy to się stało?... Kiedy przestała go kochać?... I dlaczego?... Jakże trudno to ustalić, jak trudno określić dokładnie... Może dopiero w tej chwili, a może wtedy, gdy stała z ojcem na wzgórzu i myślała o swojej roli naczynia, przechowującego iskrę życia, może wtedy, gdy Borowicz przywiózł straszną nowinę, a może tam, w brudnym, ciasnym pokoju, gdy wszedł uśmiechnięty z ręką w kieszeni... Zresztą to już było nieważne. Przestała go kochać. I oto pod czaszką zaczęły niecierpliwie budzić się refleksje. Przypomnienia, dawne smutki, zwątpienia, niedopuszczane przez dwa lata do głosu protesty, zawzięcie hamowane odczucia, którym nawet kształtu myśli zabraniała. Tłoczyły się teraz i piętrzyły. Rozlewały się czernią i goryczą, zdawały się domagać, by uderzyła się w piersi i zawołała: okłamywałam siebie, z rozmysłem zamykałam oczy na pospolitość, na mierność, na nicość...

— Nie, nie, to nieprawda! — zacisnęła palce — kochałam go takim, jakim był. Nie wiedziałam że może być innym. Przecie niczego nie wmawiałam sobie. Znałam jego wady, rozumiałam własną potrzebę miłości. To nie była sugestia zmysłów...

Nie myśleć o tym, byle nie myśleć! Nie ma prawa zadreć się rozpamiętywaniem swego cierpienia, swojej wielkiej pomyłki, swego losu. Trzeba mieć dość sił dla siebie i dla niego, a przede wszystkim dla tego nowego życia, któremu da początek. Oto główny cel: zapewnić temu maństwu zdrowie fizyczne i psychiczne, stworzyć dlań możliwe warunki rozwoju. Za wszelką cenę dać mu ojca, dać dom, dać rodzinę.

Tę już nie odczuwała jako przygniatającego obowiązku narzuconego przez przeszłość, lecz jako własne, najsilniejsze pragnienie.

Ewaryst siedział ponury i nieruchomy. Policzki mu trochę obwisły, a pod oczyma zarysowały się nabrzmiałe półkola.

Zaczęła mówić, opowiadać historię tych dni, tych okropnych dni. Nie żałowała dotkliwych słów, nie przysłaśniała prawdy. Umyslnie nie oszczędzała jego ambicji. Chciała, by wzmogło się w nim poczucie winy, by wreszcie ogarnął rozmiar krzywdy, zrobionej sobie i wszystkim bliskim, by zrodziła się w nim potrzeba zadośćuczynienia.

Słuchał z wzrokiem wbitym w podłogę. Od czasu do czasu ścisnął gwałtownie czoło, w końcu rozplakał się.

Aż zdziwiła się własnej obojętności: nie wzruszyły jej te łzy. Na zimno myślała, że to dobrze, że powinien płakać, że w tym płaczu jest skrucha i nadzieja poprawy. Gdy jednak wstał i rozłożywszy ręce zawołał:

— W leb sobie palnę!...

Uśmiechnęła się ironicznie: wiedziała, że to komedia, że to teatr. Ani przez мгновение nie uwierzyła w jego groźbę. I to jednak było pocieszające, że nareszcie zdawał się rozumieć swoje położenie.

Po dłuższym milczeniu odwrócił się do okna i zapytał:

— Więc my już nic nie mamy?

— Nic — odpowiedziała spokojnie.
— I twoja renta z Iwanówki przepadła?
— Oczywiście.
— Tak tanio sprzedawałaś!... Twoja część warta była co najmniej o jakieś dwadzieścia tysięcy więcej.

— Dziękowałam Bogu i za to, że dostałam czterdzieści. Jeszcze tydzień i byłoby za późno.

— To prawda — zgodził się — ale nowonabywca powinien dołożyć. Takie wyzyskiwanie sytuacji jest nawet przewidziane przez prawo. Można by zwrócić się doń i spróbować. A nuż zgodzi się?

Bogna nie odpowiedziała, więc zapytał:

— Jak sądzisz?

— Sądzę, że nie ma o czym mówić.

— Żyd kupił?

— Nie. Pan Pohorecki.

— Ten wuj Borowicza?

— Tak. Wyświadczył mi łaskę i dajmy temu spokój. Na razie trzeba myśleć o wynajęciu jakiegoś pokoju, lub pokoju z kuchnią gdzieś na przedmieściu. Tutaj płaci się cztery złote dziennie. To jest bardzo dużo. Nie stać nas na to. A poza tym muszę znaleźć jakąś posadę. To co mam, starczy za ledwie na kilka dni.

Wydobyła portmonetkę z torebki i pokazała mu jej zawartość, — kilka srebrnych i kilka niklowych monet.

— Diabelnie mało — pokiwał głową.

— I osiemnaście tysięcy długu — dodała.

— Psiakrew... Cóż... ja mogę... pójdę choćby kamienie tłuc na szosie... Hm... Ale przecie masz takich bogatych krewnych. Oni ci chyba nie dadzą przymierać głodem?... Nawet nie wyobrażam sobie, by taka pani Symieniecka mogła spokojnie patrzeć, jak jej siostrzenica mieszka w podobnej klitce.

— Ale ja więcej długów robić nie mogę.

— Więc nie pożyczać. Mogą po prostu... pomóc.

— Nie, Ew, nie licz na to.

— Dlaczego?

— Po pierwsze słyszałaś, jak mnie przyjęła twoja rodzina...

— To są świnię! — wybuchnął.

— Nie o to chodzi, ale nie chcę więcej narażać się na coś podobnego. A po drugie jałmużny od nikogo nie przyjmę.

— Zaraz wielkie słowo jałmużna — skrzywił się, jednak już nie wracał do tego tematu.

Obiad zjedli w małej kawiarence, po czym wyprawiła Ewarysta do hotelu, a sama poszła szukać mieszkania według wynotowanych ogłoszeń. Po kilku próbach w śródmieściu, gdzie żądano najmniej siedemdziesięciu złotych, a za używalność kuchni wymagano dopłaty, rozpoczęła poszukiwania już wyłącznie na przedmieściach. Wybrać coś było bardzo trudno. W nowoczesnych kamienicach stawiano wysokie ceny, w starych zaś były takie warunki higieniczne, o jakich dotychczas nawet nie miała wyobrażenia. Cuchnące i brudne klatki schodowe, zupełny brak łazienek, mieszkania ciasne, nieprzewietrzane, pełne nieznośnych zapachów złej strawy i przepoconej odzieży, mydlin i jakichś kwasów. Poza tym wszędzie tłok. W dwuizbowym mieszkanku gnieździło się po siedem i osiem osób z rodzin rzemieślniczych i drobnych urzędników, a jeszcze chciano bardziej się stłoczyć, by tylko za wynajęty pokój dostać dwadzieścia, czy trzydzieści złotych.

Nic możliwego nie znalazłszy Bogna wróciła do hotelu, lecz ku swemu zdziwieniu nie zastała Ewarysta. Czekala nań prawie godzinę. Nadszedł wreszcie i oświadczył, że był na przechadzce.

— Spotkałem tego idiotę Denhoffa — dodał po chwili — to jest świnię! Ukłoniłem się mu dwa razy i beczelnie udawał, że mnie nie widzi.

Chciała powiedzieć:

— Częściej cię to spotka — lecz zamilczała.

— Miałaś słuszość, żeś nie radziła mi zadawać się z nim. Takiego magnata udaje, a mam podejrzenie, że jakimiś nieczystymi rzeczami się zajmuje. Może szpieguje... Świnia...

Starala się nie słuchać. Niemal każde słowo Ewarysta nappełniało ją jakimś smutkiem i upokorzeniem. To, przed czym się tak długo broniła, stawało teraz wprost przed jej oczyma pozbawione wszelkich osłon, jaskrawe, brutalne, niewątpliwe: zawsze był taki. Zawsze, tylko ona za wszelką cenę chciała widzieć go lepszym. Ze strachu przed sobą nie przyznawała się do popełnionego błędu.

A teraz, gdy objął ją i pocałował na dobranoc, musiała zacisnąć zęby, by nie krzyknąć mu w twarz:

— Precz, precz! Brzydę się ciebie! Gardzę tobą!...

Pomimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Na wąskiej i twardej kanapce było niewygodnie. Ze stojącego o dwa kroki łóżka rozlegało się miarowe bezpieczne sapanie człowieka, którego kiedyś, kiedyś nieskończenie dawno, kochała, który miał być ojcem jej dziecka, człowieka słabego i miernego, którego musiała dla tego dziecka chociażby, jeżeli nie przez pamięć dawnego uczucia, ratować, osłaniać, nie dać mu stoczyć się w dół.

— Bo czyż i na mnie nie spada część winy — myślała — jednak nie umiałam stworzyć mu takiego domu, w którym znalazłby szczęście. Jednak nie potrafiłam o tyle z nim się żyć, by stać się jego powiernikiem, by w porę ustrzec go przed złym krokiem. Nie przywiązałam go dość silnie.

I z kolei przychodziła druga myśl:

— Kto wie, może gdyby mnie nie spotkał, znalazłby inną, lepszą, bardziej odpowiednią żonę? Może nie rozbudziłaby się w nim nadmierna ambicja i ta chęć użycia?...

Tak, czy owak jedno wiedziała na pewno: nie wolno jej odejść od niego, nie wolno go zostawić. Życie z nim pod jednym dachem będzie wprawdzie równało się rezygnacji z prawa do szczęścia, ale któż powiedział, że ona zasłużyła sobie na takie prawo? I tak miała przez szereg miesięcy złudzenie szczęścia. A zresztą dzisiaj jest ważne tylko to, by dać mu jeżeli nie ciepło, nie rodzinę, nie dom, to przynajmniej pozór ciepła i domu.

— Więc grać?... Uduwać?... Skazać samą siebie na dożywotnią komedię?...

A jakież miała inne wyjście?... Oczywiście nic łatwiejszego, jak zaraz jutro powiedzieć Ewarystowi:

— Zrobiłam, co mogłam. Wydobyłam cię z więzienia. Ale żoną twoją nadal nie mogę zostać. Nie chcę rumienić się za ciebie. Nie chcę byś kompromitował mnie. A poza tym nie kocham cię wcale. Brzydę się tobą i moralnie i fizycznie. Zostaw mnie w spokoju i rób, co chcesz.

Nic łatwiejszego... Ale jakież to byłoby okrutne, jakie Nielitościwe, jakie egoistyczne i nędzne. Równałoby się to popchnięciu go w dół, odebraniu mu jedyne go impulsu, który może go podźwignąć, wyparci się człowieka w najgorszym nieszczęściu.

— I co później mogłabym powiedzieć dziecku?... Twój ojciec był słaby i złamany. Popęnił błąd, zaszczuli go za to ludzie, a ja go porzuciłam, gdyż przestałam go kochać.

Tak. Tak musiałaby powiedzieć, bo to byłaby prawda.

Bogna otarła łzy i objąwszy siebie w pasie rękami, zacisnęła je miękko i czule:

— Nie, złoto moje, życie moje, nie bój się, nie bój... Wszystko dla ciebie poświęcę, wszystkiego się wyrzeknę, wszystko przecierpię. W tobie moja nagroda, w tobie radość i szczęście. Zobaczysz, zacznę pracować, i ojciec twój wróci do pracy, ludzie zapomną, przebaczą, przyjdiesz na świat, a świat cały będzie się do ciebie uśmiechał, dzieciątko ty moje najśłodsze... I żadnej krzywdy życie ci nie zrobi. Ty będziesz jasne i piękne i szczęśliwe... Prawda, dzieciątko moje, prawda?..

I łzy znowu zalewały policzki Bogny, łzy cierpienia i radości, łzy rozpacz i nadziei.

Pląkała cicho i w małym pokoiku słychać było tylko miarowe, bezpieczne sapanie śpiącego Ewarysta.

ROZDZIAŁ V

Borowicz od czasu do czasu podnosił wzrok z nad książki i przyglądał się bratu. Wyrósł i zmężniał, chociaż wyszczupłał. Wydawał się wyższy, barczysty i smuklejszy, może dzięki

mundurowi wojskowemu. Przyjechał wczoraj wieczorem i nie zdążyli jeszcze zamienić ze sobą dwudziestu zdań, a już wiedział, że Henryk jest mu prawie obcy. Właściwie nie obcy. Przecie po dawnemu czuł dlań serdeczne rozrzewnienie, po dawnemu cieszył się jego obecnością i świadomością, że ma takiego brata. A jednak był jakby skrępowany poczuciem samodzielności Henryka. Nie odnajdywał w nim istoty nijakiej, owego chłopca, którego kształcił własnym kosztem, chłopca, stanowiącego raczej metafizyczną część wspomnień o domu i rodzinie, raczej półrealny obiekt sentymentu, niż indywidualum, które również zajmuje jakieś określone stanowisko, ocenia, sądzi i obserwuje. Nie zatarała się bliskość, lecz wyrosła między nimi jakby obawa, by jej nie zniszczyć, by prostym faktem powstałych różnic nie dotknąć, wyminąć, obejść i pozostawić nienaruszonym braterski stosunek.

Stefan odkrył to najpierw w sobie, a później w Henryku. Widział doskonale, jak on, najmocniej o czymś przekonany, starał się zmiękczyć apodyktyczność swoich poglądów, starał się zbagatelizować własne twierdzenia. Nawet ten rodzaj pieczołowitości i szacunku, jaki okazywał starszemu bratu, nie wynikał z przeświadczenia, lecz wytworzył się na podłożu sentymentu.

A jednak różnice same domagały się głosu. Ilekroć zaczynali mówić o rzeczach błahych, codziennych, bez znaczenia, rozmowa sama schodziła nie wiadomo kiedy i jak do spraw zasadniczych, do poglądów podstawowych, rzekomo oderwanych, a w gruncie rzeczy będących wzajemnym wywiadem, badaniem i poznawaniem się wzajemnym.

Henryk przyszywał guzik do munduru, porządkował swoje rzeczy, ubierał się, Stefan czytał książkę, lecz co chwila wracali do niepokojącego ich obu tematu.

— Jednak abstrahując od stanu twego zdrowia — zaczął Stefan — jeżeli zawodowa służba w wojsku nie będzie dla ciebie zbyt uciążliwa, nie mogę zorientować się w motywach twego postanowienia.

Henryk przymknął wieko walizki:

— Widzisz... My niezbyt dobrze rozumiemy się.

— Zapewne. Nie widzieliśmy się od dwóch lat...

Henryk zaśmiał się:

— Wiesz, Stefku, że przyszło mi na myśl... żeśmy się właściwie nie widzieli od... dwudziestu pięciu lat. Dlatego nie łatwo nam siebie zrozumieć. Jestem od ciebie młodszy o prawie dwanaście lat. Dopiero teraz, powiedzmy, dojrzewam.

— Zawsze miałeś dużo rozsądku — zaprzeczył Stefan i jednocześnie odwrócił głowę, gdyż czuł, że się rumieni z powodu zbyt okrągło wypowiedzianego kurtuazyjnego frazesu.

Henryk taktownie przemilczał chwilę i powiedział:

— Między nami porozumienie jest trudne nie z racji niechęci do takiego porozumienia. Różnica dwunastu lat w innych czasach nie znaczyłaby wiele, ale dzisiaj co innego. Sam mi kiedyś mówiłeś, że na ukształtowanie natury człowieka wpływa środowisko, epoka, klimat intelektualny i uczuciowy. Otóż myśmy się wychowali w zupełnie odmiennych klimatach, w różnych epokach. Weźmy ten przykład: tobie wydaje się barbarzyństwem jakakolwiek inna hierarchia ludzka niż hierarchia poziomu umysłowego, kultury, cywilizacji, a ja myślę, że sama względność takiej hierarchii już ją obala. Rozumiem hierarchię woli, charakteru, przydatności w dążeniu do świadomego celu. Nie miej mi za złe, że brak w tym co mówię jakiegoś ostatecznego uporządkowania. Nie jestem dostatecznie wyrobiony, by mieć w głowie idealny ład i wysegregowane pojęcia...

— Kiedy właśnie — podchwycił Stefan — ład, o którym mówisz, jest moim zdaniem dowodem niedojrzałości.

— Jakto?

— Umysł podzielony na szufladki i mający w każdej szufladce paczkę etykiet do naklejania na wszelkie zaobserwowane zjawiska, to szczyt pomyłki.

— A widzisz — zaśmiał się Henryk — znowu znaleźliśmy się przy kwestii dogmatu.

— Nie przeczę.

— To jest tak: ty w obawie wybrania złej drogi wolisz krążyć na miejscu, ja zaś walę na ślepo w tę, którą uważam za dobrą, za prowadzącą do celu.

— Każdy z nas zatem błądzi.

— Możliwe, ale ty wiesz to o sobie na pewno, a jamam możliwość łudzić się, marzyć, mieć nadzieję, czyli po prostu... wierzyć, że nie błądzę. Czyż z tym nie wygodniej?

Marcysia przyniosła śniadanie i niepotrzebnie kręciła się po pokoju, co Stefana irytowało w najwyższym stopniu. Kręciła się oczywiście dlatego, by posłuchać o czym mówią, by obejrzyć rzeczy Henryka...

— Niech Marcysia już idzie — powiedział wreszcie ostro.

— Czemu wyrzuciłeś ją? — zapytał Henryk, gdy służąca wyszła.

— Nie cierpię podsłuchiwania i podpatrywania.

— Ale przecież nie mamy żadnych tajemnic — zauważył Henryk.

Stefan chciał powiedzieć, że byłby prawdziwie szczęśliwy, mieszkając na bezludnej wyspie, gdzie prywatne życie człowieka jest jego wyłączną własnością. Jednak w obawie, by Henryk nie wziął tego w jakimś najmniejszym stopniu do siebie, zaczął mówić o czymś obojętnym. Henryk miał zabawić w Warszawie wszystkiego dwa dni i zamierzał złożyć wizyty krewnym i znajomym. Powynajdywał nawet takich, o których istnieniu Stefan w ogóle zapomniał.

— Po co ci to? — zapytał ze szczerym zdumieniem.

— Może wolałbyś, bym nie odnawiał tych stosunków? — zgodliwie zaproponował Henryk.

— Ależ bynajmniej. Nie mam nic przeciw nim.

— Więc dlaczego?... Ja bo lubię ludzi. Zobaczyć, porozmawiać... Myślałem, że pójdziemy razem. Lubileś kiedyś Umiastowskich na przykład, albo Woroniczów...

— Dziękuję ci. Naprawdę nie mam ochoty.

— Szkoda. W każdym razie obiad zjemy chyba razem? O której mam wrócić? — zapytał Henryk.

— Nie krępuj się. Zaczekam.

— No, to przyjdę na czwartą. Dobrze?

— Doskonale.

— Wpadnę do Umiastowskich, do prezesa Jesionowskiego, do pani Bogny i do Miszutki.

— Będę czekał.

— Do widzenia... A ty możebyś chociaż wstąpił ze mną do pani Bogny?...

— Dlaczego właśnie do pani Bogny?

— No tak. Wiem, żeście się bardzo lubili. Często tam bywasz?

— Owszem... Dość często...

— Biedaczka, ile ona musiała przeżyć!... — Henryk zawahał się i dodał niepewnie — kiedyś zdawało mi się, że się kochacie.

Stefan wzruszył ramionami:

— Co za pomysł!

— Mówię, że tak mi się zdawało. Wyobrażałem sobie, że się pobierzecie i że będziemy mieszkali we trójkę... No, do widzenia.

Stefan zaczął chodzić po pokoju. Lubił przecież brata, może nawet kochał go, a jednak po jego odejściu odetchnął z ulgą. To zadziwiające, jak ludzie nie umieją zdobyć się na delikatność niewtrącania się do cudzych spraw.

— Wyobrażał sobie, że się pobierzemy z Bogną!... Paradne!...

Czyż rzeczywiście mimo najlepiej obmyślanych ostrożności i zamaskowań wszyscy z otoczenia domyślali się, a raczej odczuwali, że łączy go z Bogną coś przekraczającego ramy zwykłej sympatii i przyjaźni?... Zresztą cóż mogli odczuwać, skoro nic ich nie łączy i nie łączyło. Po prostu gdzieś na dnie psychiki człowieka leży jakiś instynkt rajfurski, swatowski: łączyć, kojarzyć, układać pary. A może wprost rzucało się ludziom w oczy, że ona i on są dla siebie przeznaczeni?...

Sam Stefan chwilami ulegał temu przeświadczeniu, którego sugestia była raz tak silna, że postanowił rzucić się na oślep w to, co uważał za swój los: pójść i prosić ją, by została jego żoną. Pamiętał każdą sekundę z tej nocy uporczywych rozmyślań i z tego dnia.

Bogna wówczas pracowała jeszcze w Zjednoczeniu Ziemiaków. Prowadziła sklep z nabiałem przy ulicy Żelaznej. Było to okropne. W białym kitlu z rękami zaczerwienionymi od zimna, musiała od piątej rano wysiadywać w sklepie aż do wieczora. W sklepie zatłoczonym kucharkami, pełnym gwaru i brzęku blaszanek, w powietrzu przesiąkniętym

nieustannym odorem masła. Po siódmej przechodziła do mieszkania za sklepem, karmiła dziecko, sprzątała, cerowała, szyła, a ten kretyń siedział z bezmyślną miną i układał pasjanse.

— Tak, to nie była miłość — przekonywał siebie Borowicz — tylko współczucie. Warunki, w których żyła, wyegzaltowały we mnie to współczucie.

Dzisiaj, kiedy już spokojniej patrzył na to, co było przed rokiem, mógł trzeźwo ocenić całą absurdalność ówczesnego postanowienia. Chciał wyrwać ją z tych strasznych warunków, a cóż mógłby dać jej w zamian?... Swoją głodową pensyjkę?...

Zdawało się mu wtedy, że cofając się popełnia podłość. Więcej, że Bogna to jako ucieczkę ocenia, że czekała na jego wyznanie, że była gotowa je przyjąć.

Jakże czuł się się wówczas nędznym i małym!... Wyzyskał jakiś komicznie drobny pretekst, by wyjść... Tak... A jednak dobrze się stało. Ostatecznie nawet nie zaczął mówić. Zapytał o zdrowie małej Danusi, opowiedział o pogrzebie Szuberta, na którym zresztą sam nie był, wspomniał, że pisał do wuja Pohoreckiego z prośbą o posadę dla Ewarysta, i wtedy właśnie należało zacząć, lecz słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Bogna segregowała rachunki i jakoś dziwnie milczała. Przysięgłby, że oczekiwała by on pierwszy krok zrobił.

Nie pokazał się u niej później przez prawie miesiąc. Nie mógł przezwyciężyć wstydu. Na odwiedzenie Bogny zdobył się dopiero wówczas, gdy znalazł wyraźny pretekst, ważny pretekst pod postacią listu wuja Walerego, z propozycją posady dla Ewarysta.

Borowicz nie wierzył własnym oczom, gdy list ten czytał. Posadę dawał pan Walery chyba przez wzgląd na Bognę. Niczym innym nie dałoby się wytłumaczyć to odstępstwo starego dziwaka od zasady niewpuszczania do swoich dóbr ludzi z miasta. Ewaryst miał prowadzić w Pohorcach buchalterię młynów za skromną, ale wystarczającą pensyjkę.

Początkowo zarówno Borowicz, jak i Bogna obawiali się, że Ewaryst nie przyjmie tej posady, obrazi się i będzie wolał po dawnemu chodzić do kawiarni, biorąc od żony dwa złote na „nawiązywanie nowych stosunków”, jak to nazywał, a mówiąc prościej na kawę i szatnię. Jednakże nie tylko zgadzał się, ale nawet nie wierzył. Zaczął przed Borowiczem rozwijać szerokie perspektywy swojej kariery w Pohorcach:

— Zobaczysz, Stefanie, — mówił z powagą — niech się tylko dorwę do warsztatu pracy, a zobaczysz, że wyrosnę jak na drożdżach. Już ja siebie znam. Robota mi się pali w rękę. A teraz zwłaszcza zdruzdziło już mnie to bezrobocie. Moja natura jest czynna. Zacznę od młynów, a zobaczycie, że po roku zostanę, kto wie może głównym administratorem całych dóbr?...

Zastukał w niemalowane drzewo i dodał:

— Jeszcze tak twego wujaszka przerobię że ci cały majątek zapisze! To byłby kawał?... Co?...

— Daj spokój — moderował go Borowicz — a głównie dbaj o utrzymanie choćby tej posady. Mój wujaszek nie należy do ludzi łatwych.

Oboje z Bogną wyprawili go opatrzzonego w masę dobrych rad i wskazówek. Niestety nie na wiele się mu przydały. Po czterech miesiącach Ewaryst wrócił wściekły i ponury:

— Nie, moi drodzy, z takim wariatem nie podobna pracować — mówił — ten Pohorecki jest chamem, jakiego świat nie widział.

Nie chciał podać żadnych szczegółów, ale Borowicz domyślał się, że rozstanie Ewarysta z wujem nie obyło się bez porządnej awantury.

Dopiero w dwa tygodnie później przy sposobności jakiegoś interesu wspomniał w jednym z listów pan Pohorecki, że „pierwszy i ostatni raz dał posadę mieszczuchowi, ale nie przebaczy sobie tego błędu do śmierci”.

Tymczasem Ewaryst twierdził, że świetnie zapoznał się z przemysłem młynarskim, a ponieważ pan Pohorecki mimo wszystko wydał mu zaświadczenie niezłe, udało się w końcu Bognie wyszukać dlań posadę w młynach parowych „Towarzystwa Mazovia”. Dostał tam stanowisko magazyniera i czterysta złotych pensji. Ponieważ zaś w tym czasie stryjeczny brat Bogny Emil Brzostowski z Podola nabył większy pakiet akcji „Mazovii”, Ewaryst wkrótce awansował na kierownika działu sprzedaży.

Teraz już zarabiał tyle, że Bogna mogła rzec się posady w Zjednoczeniu Ziemiaków. Przenieśli się do służbowego mieszkania Ewarysta w wielkim kompleksie budynków „Mazovii” na Pradze.

— Spłynęło po nim wszystko, jak po szkłe — mówił Borowicz, gdy zastanawiali się z Bogną nad niewątpliwie korzystnymi zmianami w życiu i w usposobieniu Ewarysta — to zadziwiające, że on zdaje się niczego głębiej nie przeżywa. Ani nieszczęścia, ani powodzenia.

— Myli się pan — odpowiedziała Bogna — Ewaryst bardzo boleśnie odczuwa to, że ludzie wciąż się odeń odsuwają.

— Ha, na to już nie ma rady.

Jednak była rada. Mianowicie Bogna, która w pierwszych miesiącach po katastrofie usunęła się w zupełną samotność, już przy urodzeniu się Danusi nawiązała dawny kontakt z rodziną. Poniekąd było to zasługą Borowicza. Znając okropne warunki materialne, w jakich się Malinowscy wówczas znajdowali, umyślnie wstąpił do Dziny Karasiowej, a ta już poruszyła wszystkich. Zapewniono Bognie przynajmniej połów w dobrej klinice i opiekę znanych lekarzy. Bogna wprawdzie nie chciała ponadto przyjąć żadnej pomocy, ale stosunki się nawiązały znowu.

Każdą swoją wizytę u Symienieckich, Karasiów, czy Pajęckich ukrywała przed Ewarystem, by nie sprawić mu przykrości. A tam w ogóle nie mówiło się o jego istnieniu.

Gdy jednak Ewaryst został szefem sprzedaży i zaczął robić nowe znajomości, rzeczywiście bardzo nieszczęśliwe, a Bogna z niebywałą stanowczością przeciwstawiła się temu, postanowiła dać mu w zamian powrót do stosunków z rodziną.

Borowicz podziwiał tu znowu jej talent w zjednywaniu ludzi. Przecie sam wbrew przekonaniu pomagał Bognie w tych manewrach. Nie tyle może wbrew przekonaniu, ile na przekór swojej czysto emocjonalnej niechęci do Ewarysta. Osądzając rzeczy na zimno, bynajmniej nie uważał go za człowieka, którego należy bezwzględnie i raz na zawsze potępić. Przeciwnie, o ile mógł i o ile potrafiłby podjąć jakiś wysiłek, chętnie sam podałby rękę każdemu, komu noga się poślizgnęła. Jego relatywizm etyczny wykluczał wszelkie ostateczne wyroki. Tutaj jednakże chodziło o nieznośny paradoks zestawienia Ewarysta z Bogną. A zdawał sobie sprawę, że ponowne zaaklimatyzowanie Ewarysta w towarzystwie, może jedynie zwiększyć trwałość tego paradoksu.

Rezultatem wielu zabiegów było to, że pomału tu i owdzie zaczęto go przyjmować. Dużo do tego przyczynił się i Urusow, który „pryncypialnie” pomagał Bognie, będąc zdania, że Malinowski znacznie się ogładził, wyszlifował, utemperował, a byłoby stratą zmarnować go dla ludzkości:

— Zresztą taki człowiek nie powinien zginąć — wykladał z przekonaniem — byłoby to zaprzeczeniem teorii przetrwania najlepiej przystosowanych do życia. Do tego nie możemy dopuścić. Pamiętajmy, że teorie naukowe, to jedyna pozytywna wartość, jaką posiadamy. Byłoby lekkomyślnością nie współdziałać z nimi i zostawiać je własnym losom.

Zdania takie wygłaszał nawet w obecności Ewarysta, który nie umiał rozgryźć ich sensu i słuchał z wielką powagą. Jednakże Borowicz doskonale pod tą ironią odczuwał u Miszutki istotne podłoże jego starań na rzecz Malinowskiego: — pietyzm dla Bogny.

Jeszcze dawniej, w owej mleczarni na Żelaznej, Miszutka umiał przesiadywać godzinami. Zdawało się, że bawił się szczerze, nawet pomagając przy obsłudze kucharek i innych bab, nalewając mleko do garnków, zawijając masło, czy wydając z kasy resztę z czarującym uśmiechem i z manierami subiekta z „Old England”.

Nieco przestraszone i zdezorientowane kuchty patrzyły nań wytrzeszczonymi oczyma, gdy podawał im z gracją dziesięć jaj w papierowej torebce i mówił:

— Thank you, lady.

A Bogna śmiała się i rzeczywiście musiała czuć się lepiej i pogodniej w towarzystwie Miszutki.

— Wie pan, panie Stefanie — powiedziała pewnego dnia Borowiczowi — że Miszutka jest uosobieniem absolutnej bezinteresowności.

— Więc nie płaci mu pani za ważenie sera? — zapytał złośliwie, nieco dotknięty jej tonem rozczulenia.

— Za nic mu nie płacę — odpowiedziała poważnie — nie żąda ani uśmiechu, ani współczucia, ani wdzięczności, ani nawet... wyrozumiałości.

Borowicz gnębił się myślą o tej rozmowie przez kilka dni i, jak zawsze w podobnych wypadkach, nie odwiedzał Bogny. W tym to właśnie okresie nawiązał się przykry romans

między nim a jedną z koleżanek biurowych. Stało się to jakoś przypadkowo, bez sensu i głupio. Nie mógł czytać, gdyż stan nerwów nie pozwalał na skupienie myśli, a to z kolei do reszty rozstrajało nerwy. Dlatego nie miał po co iść do domu i gdy w godzinach poobiednich wychodził z biura, tak się złożyło, że odprowadził pannę Jurkowską, stenotypistkę z wydziału budżetowego. Gdy mu zaproponowała pójść do kina, zgodził się, a później wstąpił do niej na herbatę. Mieszkała sama i była usposobiona dość agresywnie.

Tylko i tylko to, gdyż nie czuł do niej ani przedtem, ani potem dosłownie nic, wystarczyło do nawiązania stosunku, który trwał już prawie rok. Widywali się co kilka dni, gdyż na szczęście nie należała do kobiet narzucających się zbyt często. Była miła, niebrzydka i prawdopodobnie inteligentna, chociaż Borowicz nie o tyle nią się interesował, by zadać sobie trud robienia w tym kierunku gruntowniejszych obserwacji. Właściwie nie interesowali się sobą wcale. Ich rozmowy ograniczały się do kwestyj bez znaczenia.

Pomimo to ten stosunek nużył i niecierpliwił Borowicza.

— Jesteś dziś jakoś zdenerwowany? — pytała z troskliwą obojętnością.

— Nie, wydaje ci się — krzywił się w odpowiedzi, chociaż od rana czekał na takie pytanie, by rozmówić się z nią szczerze i powiedzieć wprost, że zdaje się oboje dokuczali już sobie dostatecznie.

Nie zdobył się jednak na to ani razu. Natomiast korzystał skwapliwie z byle pretekstu, by odłożyć spotkanie. I rzecz zabawna: gdy Henryk przyjechał, pierwsza rzecz, jaka przyszła Stefanowi na myśl, to wykręcenie się od Zosi na kilka dni.

To też zaraz po wyjściu brata zatelefonował do niej:

— Wyobraź sobie, że nie zobaczę się z tobą ani dziś, ani w najbliższych dniach. Przyjechał z wojska mój młodszy brat i muszę się nim zająć.

Przyjęła to bez protestu. W ogóle miała niezwykle zgodny charakter. Czasami podejrzewał w tym jej obojętność, czasami wyrachowanie, o tyle rozsądne, o ile on mógł dla kogokolwiek być dobrą partią. Najczęściej jednak po prostu nie zastanawiał się nad tym. Teraz jednak przypomniał sobie, że zapytała go kiedyś:

— Czy ty masz kogoś bliskiego?

— Oczywiście — odpowiedział — mam brata, rodzinę, przyjaciół.

— Ale kogoś naprawdę bliskiego, z kim jesteś naprawdę sobą, naprawdę szczerzy?

— Czyż dla ciebie jestem nieszczerzy?

— Owszem. Źle się wyraziłam. Chodziło mi o to, że wydajesz mi się jakoś zamknięty, zamurowany. Zapewne, jesteś szczerzy, ale nigdy nie bywasz otwarty.

Ponieważ wówczas upływała już druga godzina, jak byli razem, i czuł się zniecierpliwiony uciął krótko:

— Nie mam niczego do otwierania.

Jednak wcale tak nie myślał. Przez wiele lat, przez całe życie nie miał potrzeby dzielenia się z kimkolwiek sobą. Więcej, gdyż w swej rzeczywistej samotności czuł się najlepiej. Zapamiętał sobie jeszcze z czasów gimnazjalnych coś, co uważał za pewnik: — tylko człowiek samotny jest prawdziwie silny. Co prawda z biegiem lat, podczas niestrudzonego grzebania się we własnej psychice, zdemaskował siebie o tyle, że wykrył emocjonalne źródło swego dogmatu. Chciał samotności, a aforyzm o jej sile pochwycił później na usprawiedliwienie przed samym sobą. Jednakże przyłapanie się na tej wolcie w niczym go nie zmieniło. Po kolei obdzierał filozofię samotności z wszystkich innych argumentów rozumowych, zawzięcie tropił własne wykręty i przeskoki logiki, ośmieszał się przed sobą i poniżał i cierpiał, ale innym stać się nie umiał.

Pewnej Wielkanocy, którą spędził z Henrykiem, podówczas studentem pierwszego kursu, zachwycił się świeżością i jasnością jego natury, samodzielną inteligencją i piękną uczuciowością.

I powiedział sobie:

— W nim będę miał przyjaciela. Niech mu życie da jeszcze trochę doświadczenia, niech nabierze umiaru i spokoju w ocenie świata, niech w jego umyśle dojrzeje równowaga, która jedyna świadczy o poziomie, a będzie tak na pewno. Musimy zostać przyjaciółmi.

Tymczasem Henryk zmęźniał, wyrobił się, dojrzał, lecz stało się to, co się stać musiało: posiadał własną indywidualność. Nie przykrą, broń Boże, ani bynajmniej nie rażącą Stefana,

lecz wyciągającą między nim a bratem jakąś przestrzeń izolacyjną, przez którą mogła się odbywać osmoza myśli i uczuć, lecz nie przenikały jakieś specyficzne a konieczne dla pełnego kontaktu promienie.

— A może to tylko przewrażliwiona chciwość z mojej strony? — zastanawiał się Stefan — głód stadowego zwierzęcia, które od tak dawna błąka się poza stadem, że już wyegzaltowało sobie zbliżenie z nim do jakiego mistycznego zjednoczenia?

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Po cięższym człapaniu Borowicz poznał, że poszła otworzyć drzwi sama pani Prekoszowa. Nie spodziewał się niczyjej wizyty, to też skrzywił się, gdy usłyszał głos gospodyni:

— Pan Borowicz pewno śpi, proszę pana, bo wczoraj późnym wieczorem przyjechał jego brat z wojska i długo rozmawiali, tak przynajmniej przypuszczam, bo przecie mnie to tam nie obchodzi, ani nie podsłuchuję, ale skoro, pan rozumie, bracia dawno się nie widzieli, to zawsze znajdzie się coś do gadania, szczególnie, że przyjechał tylko na trzy dni, bo urlopu dłuższego nie dostał, a dziś wczesniutko pomimo święta wstał i wyszedł, to pewno pan Borowicz znowu się położył, bo co ma robić w niedzielę. Chyba, że czyta, ale z drugiej strony nie sądzę, bo musieli jakieś ważne sprawy omawiać, bardzo ważne, może rodzinne, może jakie polityczne. W dzisiejszych czasach, proszę pana to nic nie wiadomo. Taki inżynier tu mieszkał na czwartym, ale w oficynie, o te okna, co jak pan zejdzie, to pod wieżyczką. I co się okazało?... Miał szwagra, proszę pana, pułkownika, to obaj uciekli do bolszewii...

— Komu ona to wszystko opowiada? — głowił się Borowicz, gdy nagle potok wymowy pani Prekoszowej przerwało przeciągłe „tsss”...

— Tsss... Ani słowa! Zaklinam, ani słowa — rozbrzmiewał tajemniczy szept — ja tu właśnie jestem w poufnej misji z ramienia ministra spraw kosmicznych. Wszystko rozumiem i jedno pani powiem... tsss... ale to zupełnie poufne, ściśle tajne...

— Może pan śmiało mówić — rzeczowym szeptem odpowiedziała pani Prekoszowa.

— Czy nie zauważyła pani u pana Borowicza recesyj antynomicznych w deflagracjach sensualnych?

Borowicz nareszcie poznał Urusowa i z trudem stłumił śmiech.

— A może apercpcje metafizyczne w konglomeracie dywagacyj emocjonalnych?

— Eee... skądże ja mogę wiedzieć — niezdecydowanie zaprzeczyła pani Prekoszowa — ja tam po cudzych walizkach nie szperam.

— To źle. W inkryminowanych predyspozycjach cerebralnych kryją się nieraz eufemistyczne namiastki kompleksów psychicznych, ekwiwalenty fantasmagorycznych efemeryd sensualnej ambiwalencji!

— Te, co też pan mówi! Co do seksualnej... to nie. Stanowczo nie. Żadne efemerydy u pana Borowicza nie bywają. Chyba że na mieście...

— Tak?... W każdym razie ostrzegam panią przed fluktuacjami infernalnymi w okresie klimakterium. Dekadencja w układzie cerebralnym może wywołać amnezję maniakalną i atrofię biofreniczną!

— Matko najświętsza — jęknęła pani Prekoszowa.

— Tsss... dziękuję pani. To wystarczy.

Jednocześnie zapukał do drzwi.

— Co ty wyprawiasz z tą kobietą? — przywitał go Borowicz, mówiąc po francusku, gdyż był pewien, że pani Prekoszowa podsłuchuje — baba gotowa dostać pomieszenia zmysłów.

— A czy sądzisz, że zrobi to jej jakąkolwiek różnicę?

— Posądzałem cię o dobre serce.

— Mój Stefku, dobroć serca polega na dostarczaniu ludziom takich wrażeń, jakich ląkną. Jakże Henryk?

— Dziękuję ci... Zdrów, wesół... Wybierał się do ciebie.

— To źle trafi, ja przez tydzień nie zajrzę do domu. Wyobraź sobie, że chcę mnie mianować gubernatorem w Odesie. Ja zaś upieram się przy Moskwie. Dlaczego nie mam sobie na to pozwolić? In partibus infidelium zdawałoby się, że to obojętne, a jednak z przyjemnością kazałbym powiesić tych pocziwych wariatów. Nasza emigracja to dowód ex post, że Rosja musiała upaść. Konwentykle, operetkowe konspiracje, naiwne dzielenie skóry na niedźwiedziu. To ponad moje siły.

— Cóż to szkodzi?

— Bardzo szkodzi. Jestem marzycielem, a oni ośmieszają marzenia. Chciałby człowiek pomarzyć, przypomni nominację na gubernatora i wybucha śmiechem. Życie brzydnie. Jak to mówi nasz przyjaciel Malinowski?... A propos: dlaczego nie byłeś u nich wczoraj?

— Henryk przyjechał.

— Późnym wieczorem — podkreślił Urusow.

— Nie miałem ochoty.

— Szkoda.

— Czego? — zapytał Borowicz.

— Raczej kogo?... Ciebie szkoda. Jedyne miejsce na kuli ziemskiej, które cię pociąga, a unikasz go.

— Dom państwa Malinowskich?

— Wszystko jedno. Może być ich dom, może być biegun południowy, lub czubek baobaba w środkowej Afryce, katedra w Sewilli, czy kopalnia potasu w Nowej Kaledonii.

— Nie rozumiem.

— Rozumiesz — rozgniewał się Urusow.

Borowicz zaczerwienił się, lecz postanowił przekonać Miszutkę, że istotnie nie rozumie jego aluzji:

— Chcesz przez to powiedzieć, że byle nie u siebie?

Urusow spojrzał mu wprost w oczy i zapytał:

— Pozwalasz?

— Na co?

— Na zupełną szczerłość.

Borowicz wiedział, z całą pewnością wiedział, co chce wyrzucić z siebie Urusow, bał się tego, jednakże zacisnął zęby i wycedził:

— Proszę cię bardzo.

— Więc służę: — przecież ty ją kochasz.

— Miszutka!...

— Kochasz ją od wielu lat. Nie tylko kochasz, jesteś też zakochany.

Borowicz chciał roześmiać się, lecz zaschło mu w gardle i tylko chrząknął.

— Nie gniewaj się na mnie — zaczął Urusow — nie przywłaszczam sobie prawa szperania w twoich uczuciach z tej racji, że jesteśmy kuzynami i przyjaciółmi. Zachowałem się jak zwykły przechodzień w stosunku do nieszczęśliwego bliźniego, który założył sobie własną nogę na kark i bez pomocy nie może jej zdjąć. Ty zaś nie tylko to zrobiłeś, ale usiłujesz nadto wmówić w siebie, że wszystko jest w porządku, że tak i trzeba. W siebie i w innych. Zrozum, że nie wymagam od ciebie ponoszenia jakichkolwiek skutków tego stanu rzeczy. Po prostu sprzykrzyło mi się obcować z człowiekiem w tak karykaturalnej pozycji. Zaczynam odczuwać cierpienie we własnych mięśniach. Pozwolisz papierosa? — podał mu papierosić.

Stefan jednak nie zauważył jego ruchu.

Siedzieli dłuższy czas w milczeniu. Wreszcie Borowicz odezwał się cicho:

— Jesteś złym obserwatorem, Miszutka. Jesteś bardzo złym obserwatorem. Błąd taki popełniasz zawsze, gdy do jakiejś z góry upatrzonej tezy zaczniesz szukać argumentów. Za każdym razem znajdziesz ich wiele. W ten sposób można najdziwniejsze przywidzenia wmontować w rzeczywistość, ale taka inkrustacja pozostanie jedynie świadectwem giętkości wyobraźni. Nie zakładałem sobie nogi na kark. Być może od razu na świat przyszedłem w tej niewygodnej, w tej... karykaturalnej pozycji. To jedno. Poza tym bynajmniej nie uważam jej za przyjemną. A wreszcie... nie Kocham się w Bognie. Możliwe, że byłoby prościej i zgodniej zarówno z twoją opinią o mnie, jak i zgodniej z tak zwaną naturą ludzką, bym się w Bognie kochał. Jednakże to przypuszczenie musi być niestety absolutnie wyłączone. Opierasz je na zbyt powierzchownych przesłankach. Zbyt prostotliwie komentujesz istotne uczucia przyjaźni i serdeczności, jakie mam dla pani Bogny i jakich zresztą nigdy nie ukrywałem.

Urusow słuchał z tą niedorzeczną, a nawet irytującą miną udawanego współczucia, której Borowicz nie znośił.

— Pomimo wszystko — dodał spokojnie — dziękuję ci za owe dowcipne politowanie, którym chcesz mi dać do zrozumienia, że nie wierzysz w moją szczerłość.

— Ależ wierzę, wariacie, wierzę! — zaproponował Urusow — wierzę święcie, że mówisz zgodnie z własnym przeświadczeniem, z przeświadczeniem, które sobie mozolnie spreparowałeś i którego trzymasz się z całej siły.

Borowicz rozłożył ręce:

— Z tobą nie podobna dyskutować.

— ...jak powiedział pacjent do lekarza — dokończył Urusow.

— Jeżeli ten lekarz był psychiatrą... — zawahał się Borowicz.

— Był psychoanalitykiem, który chciał przez uświadomienie pacjentowi jego kompleksu wyleczyć go raz na zawsze.

— I tak się zapalił, że chciał mu zasugerować własne urojenia.

— Cóż u diabła! — wybuchnął Urusow — bierzesz mnie za jakąś swatkę, za starą ciotkę od kojarzenia par?

— Nie...

— Myślisz, że mnie śwędzi to, że dwoje ludzi przeznaczonych dla siebie...

— Aż przeznaczonych? — ironicznie zaśmiał się Borowicz.

Urusow wstał i machnął ręką:

— Dajmy spokój.

— To będzie najlepiej.

— Czyż można tu u ciebie przespać się?

— Ależ proszę. Służę ci pidżamą. Mogę nawet okna zasłonić.

— Dziękuję ci. Najlepiej sypiam przy świetle.

Borowicz usiadł z książką przy oknie. Miszutka rozbierając się i układając na kanapie opowiadał urywkami zdaniami o swoich zmartwieniach z zarządem stowarzyszenia emigrantów, o dwóch panach, którzy go stale nachodzą i zanudzają, o wczorajszym przyjęciu u Malinowskich. Wreszcie zasnął.

Stefan był przyzwyczajony do takich wizyt Urusowa. Zaliczał go do tych niewielu bliskich, którzy najmniej krępowali go swoją obecnością i najmniej czuli się skrępowani przy nim. Dziś jednak poczuł do Miszutki wyraźny żal, a raczej niechęć. Jak on mógł pozwolić sobie na podobny nietakt i nagle wyskoczyć ze swymi podejrzeniami?

— A może i Bognie mówił o tym? — przeraził się myślą Borowicz — może rozmawiali na ten temat... W takim razie dzisiejszy wybryk Miszutki miałby znacznie głębsze znaczenie.

W pierwszej chwili chciał obudzić Urusowa i zapytać go o to, kategorycznie zażądać wyjawienia prawdy. Wszakże po namyśle doszedł do przekonania, że domysł był nieprawdopodobny. Bogna nie miała najmniejszych podstaw do rozmawiania z Miszutką, czy z kimkolwiek w ogóle o czymś, co było tylko czczą fantazją, no i o czymś, w co sama nie wierzy, co jej nawet do głowy przyjść nie mogło.

— Co nie jest prawdą — szepnął z naciskiem.

Czuł się jednak tak wzburzony niedorzecznymi podejrzeniami Urusowa, że nie był w stanie czytać. Cicho wstał, wziął kapelusz i wyszedł.

Było samo południe. Jak zwykle w dniu świąteczne, ulice pełne były ludzi. Upał wzmagał się w miarę nagrzewania się asfaltu i kamienic. W parku Łazienkowskim, dokąd zaszedł po prawie dwugodzinnym bezplanowym waleśaniu się, panował miły chłód, lecz i tu nie brakowało publiczności. Przeważnie młode parki. Kobiety w lekkich, prawie przezroczystych sukniach i mężczyźni w jasnych ubraniach. Wesole śmiechy, piski i głupie urywki rozmów, mieszały się z dźwiękami jakiegoś tanga: w parkowej kawiarni grała orkiestra. Białe kwadraciki stolików jeżyły się kieliszkami z mazagranem i lemoniadą. Chciał również usiąść, lecz po paru minutach rozglądania się nie znalazł ani jednego wolnego miejsca.

Usiadł opodal na ławce. Obok zawzięcie flirtowała ze sobą jakaś parka. Dalej druga i trzecia. Zaczął przyglądać się przepływającemu tłumowi.

— To dziwne — stwierdził — nie ma nikogo samotnego.

I pomyślał:

— Oto wyrafinowany sposób wykrywania w sobie utajonych pragnień: inni mają swoje samiczki, mnie to olśniewa, uderza, przygważdża moją uwagę, — zatem mam już w podświadomości gotowiutką tęsknotę, ba, może postanowienie obdarzenia siebie

również wysublimowanym uczuciem miłości. Co za absurd! A jednak nawet tak subtelny człowiek jak Miszutka nie umie operować innymi kategoriami: szablon, szablon i szablon.

Tymczasem, gdy się na zagadnienie małżeństwa patrzy w sposób najbardziej bezosobisty, można uznać je za rzecz rozumną jedynie wtedy, gdy ma być trwałym. Jeżeli zaś osiąga się tę trwałość zwykłym zaciskaniem zębów, czy po prostu rezygnacją — to gdzież logika? Człowiek żeni się, gdyż uprzykrzył sobie samotność, czyli uprzykrzył się sam sobie. Zamieszkuje tedy pod jednym dachem z drugą istotą, która oczywiście znudzi mu się jeszcze prędzej. Wówczas ma dwa wyjścia, albo cierpieć, albo korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, by uciec z domu, chociażby do kawiarni i przesiadywać tam godzinami, jak na przykład Malinowski. A takich jest milion. Z szablonu rodzi się szablon.

Borowicz przypomniał sobie podróż, którą odbył przed kilkunastu laty do Australii. W ciągu trzech tygodni obcując z konieczności ze współpasażerami okrętu, znienawidził ich z całej duszy. Wciąż te same twarze cztery razy dziennie przy stole, wciąż te same sylwetki, kręcące się po pokładzie — doprowadzały go do wzrastającej irytacji, którą uważał za patologiczną, póki w oczach innych nie dostrzegł tej samej zawziętej niechęci. Podobną rzecz zaobserwował w biurze. Wszystkie plotki, intrygi, sprzeczki, rodziły się właśnie z przymusu znoszenia obecności wciąż tych samych ludzi.

Kiedyś, na prośbę Bogny, próbował odwiedzić Ewarysta od nałogu włóczenia się po kawiarniach.

— Nie rozumiesz tego — odpowiedział Malinowski — bo nie jesteś żonaty.

— Jednak utrzymujesz, że kochasz panią Bognę.

— I cóż z tego?...

— Unikasz jej towarzystwa.

— Nie unikam. Najzwyczajniej przejadło mi się. Gdybyś najbardziej lubił marcepany, na pewno wściekłbyś się, gdyby ci kazano jeść je trzy razy dziennie przez całe życie.

I Borowicz nie znalazł na to argumentu. Jedyne argumenty, jakie mógłby przeciwstawić takiemu porównaniu opierałyby się na wyjątku, gdyż rzeczą na wskroś wyjątkową było to, że jego nie nudziło nigdy towarzystwo Bogny. Lecz gdyby o tym bodaj mimochodem napomknął, tym samym upoważniłby Malinowskiego do szablonowego wniosku, że kocha się w jego żonie. Przecie ludzie muszą na wszystkie dostrzeżone zjawiska naklejać etykiety, a mają tylko bardzo ograniczony zapas takich nalepek. Nie znaleźliby spokoju, widząc wokół siebie przedmioty, których jeszcze nie nazwali. Czarne, białe, dobre, złe, miłość, nienawiść, zdrada, wierność. A gdy zdarzy się zjawisko bardziej złożone, zbyt wielostronne, by jedna nalepka wystarczała, powiadają: „to jest nienormalne” i pod taką etykietą gotowi są umieścić wszystko, co wykracza poza najprymitywniej sztancowane rzeczy.

Nawet Bogna tak często nie umie wyjść z tego kręgu dogmacików, aksjomatów codziennego użytku.

— Prawdy nasze — mówił wuj Walery — stoją nad nami jak las i żyjemy pośród nich bezpieczni.

— Szukam swoich prawd, poławiam je jak perły i zbieram na sznurek — mówił profesor Brzostowski, — gdy zaś spostrzeżę, że nanizalem falsyfikat, pozbywam się go i szukam dalej.

Lecz cóż ma zrobić człowiek, który zrąbał wszystkie drzewa i nie znalazł ani jednej perły?

— To całkiem jasne — pomyślał Borowicz i wstał.

— Proszę pana, hallo! Proszę pana! Zapomniał pan rękawiczki — zawołał za nim wysoki sopran.

Chciał machnąć ręką i powiedzieć, że to wszystko jedno, lecz wrócił, zabrał rękawiczki, podziękował. Okrągła, rumiana buzia uśmiechała się doń z wyrazem filuternego zaciekawienia.

— Dziękuję pani — powtórzył.

— Ależ proszę.

Obok siedział chłopak w studenckiej czapce i też się uśmiechał. Borowicz uchylił kapelusza i przyspieszył kroku. Drażniły go i zawstydziły te uśmiechy. Czuł się jakby

przyłapano go na jakimś dziecinnyim głupstwie. Zwłaszcza w oczach dziewczyny było coś z pobłażliwej ironii. Czyżby doszedł już do takiego stanu, że ludzie z samej jego powierzchowności mogą domyślać się stanu, w jakim się znajduje?... Nie, to raczej intuicja, ta zdumiewająca kobieca intuicja.

Jak to tłumaczył się Jagoda?...

— Kobiety nie rozumieją — mówił — i to im pozwala lepiej odczuwać rzeczywistość. Intuicja zapewne i nam jest wrodzona, ale nie dopuszczamy jej do głosu. Czyście widzieli kiedy takiego gościa, co na ulicy urządza hazard w tak zwane trzy karty?

— Nie widziałem.

— Wykluczone — zdziwił się Jagoda — przecie to takie częste. Zwłaszcza w uboższych dzielnicach. Taki facet siedzi na chodniku i manewruje trzema kartami. Ma dwie czarne, przypuśćmy dwie dziesiątki: pik i trefl, a jedną czerwoną, np. też dziesiątkę karo. Chodzi o to, by czerwień i czarność rzucały się w oczy. Czerwona wygrywa, czarne przegrywają, a łobuz tak manewruje kartami, że przygodny gracz dokładnie widzi, gdzie pada czerwona karta i stawia na nią na pewniaka. Oczywiście zawsze przegra, bo wierzy bezapelacyjnie swojej obserwacji. Obserwacji i logicznym wnioskom. My, mężczyźni, mamy właśnie intuicję przytłumioną przez to zaufanie do swojej logiki. Rozumowanie przytępia nasze odczuwanie rzeczywistości.

Borowicz przypomniał sobie wiele wypadków, w których istotnie intuicja kobieca bez najmniejszego wysiłku odkrywała w nim najstaranniej zamaskowane, najroztropniej ukryte, wieloma manewrami osłonięte postanowienia. Nawet taka Zosia Jurkowska, dziewczyna w każdym razie przeciętna, ile razy przychodził do niej z zamiarem zerwania, przeczuwała to zawsze. A przecież nie mógł sobie odmówić przynajmniej takiej dozy inteligencji, by dowolnie stawać się dla niej nieprzeniknionym, nieczytelnym.

Tylko intuicja... I jeżeli Bogna jest jej doszczętnie pozbawiona, bo Bogna nie ma intuicji za grosz, to chyba dlatego, że została wychowana przez takich rodziców, w takim domu, w takich warunkach.

Jakże mogła nie wyczuć istotnej nicości Malinowskiego, jak mogła z lekkim sercem przejść obok uczuć stokroć głębszych, którym do skonkretyzowania się i znalezienia wyrazu brakowało być może jedynie odnalezienia u niej odrobiny dobrej woli.

W ogóle to jeszcze pytanie, czy okrzykana kobieca intuicja sięga poza sferę działania niższych instynktów, poza zespół — praw płci i biologicznej ich roli...

Zalewała go gorycz i jakiś bezprzedmiotowy żal. Wszystko, co go otaczało, wydawało się paradoksalnie niepotrzebne, drażniące swoją zbędnością, niezrozumiałe puste i beztreściwe.

W domu zastał już Henryka. Stał przed rozciągniętym na kanapie Urusowem i z zapalem dowodził, że demokracja jest przeżytkiem. Stefan nie dał się wciągnąć do rozmowy. Przyglądał się bratu, jego przesadnie energicznym ruchom, zbyt szerokim ramionom i błyszczącym guzikom. Henryk stanowczo wywierał przykre wrażenie, obce i przykre. Stefan teraz już wiedział, że z tym młodym człowiekiem łączy go tylko fakt formalny pokrewieństwa, szczególnie właściwie bez znaczenia.

— Ty, Heniu — mówił Miszutka — zapominasz o jednym: wszystko to już było. I hierarchia, i feodalizm, i rasowość. W starym Rzymie już powstawało pojęcie barbarzyńcy.

— I cóż z tego, że było?

— A to, że nie ma po co ekshumować i galwanizować trupa, który i tak musi przejść później taki sam proces rozwoju, jeżeli sprawia ci to przyjemność, degeneracji.

— To nie jest powiedziane, że musi.

— Więc co?... Na całą wieczność, aż do końca świata przetrwa ten twój system?...

— Dlaczego by nie? — upierał się Henryk.

— A dlatego, że życie to nieustanna przemiana, mój ty Tarkwiniuszu.

— Nie wszędzie. Na przykład Chiny.

— Co Chiny?

— Trwały w niezmiennym cywilizacji przez długie wieki, przez dziesiątki wieków.

— Ale mówisz: trwały, więc nie zaprzeczasz, że przeszło im to?

— Ach, tu działały wpływy zewnętrzne.

— Wszystko jedno jakie.

— Bynajmniej. Wybudowali sobie nawet mur, by się osłonić od wpływów zewnętrznych. Dowodzi to niezbicie, że świadomie uznawali doskonałość swego ustroju moralno-obyczajowego i państwowego. A zresztą nie mam zamiaru budować.

— Chińskiego muru?

— Nie. W ogóle nie trzeba budować.

— Tylko niszczyć? — poderwał się Miszutka.

— Tak. Zgadłeś. Zniszczyć całą niedorzeczną nadbudowę, którą obarczono przyrodzoną człowiekowi naturę. Przede wszystkim zniszczyć wszystko, co wyrosło z Rewolucji Francuskiej: demokrację, masonerię, kapitalizm.

— Stop! Galopujesz!

— Wcale nie. Zastanów się nad tym, że kapitalizm jest prostą konsenwencją liberalizmu. Bezsprzecznie. A poza tym wyrwać z psychiki ludzkiej takie zakorzenione nonsensy, jak pojęcie równości, wolności, braterstwa. Człowiek nigdy nie był równy innym, nigdy nie był wolnym, a braterstwo to przesąd naiwnych. Braterstwo może być interpretowane tylko jako dyscyplina. Rodzinna i społeczna.

Miszutka wstał i zwrócił się do Stefana:

— Stefku! W imię nadchodzącego ustroju hierarchii społecznej wzywam cię do użycia dyscypliny dla poskromienia twego brata.

Henryk potrząsnął głową:

— Mylisz się, Miszutka. Tu nie starszeństwo decyduje.

— Jakto? Więc gdzież twoje uwielbienie dla chińskiego patriarchy?

— To nie ma nic do rzeczy. Zdyscyplinowanie nie może odbywać się mechanicznie, tu nie ma znaczenia kalendarz.

— Tylko co?

— Wola, charakter, siła przekonań. Lecz przede wszystkim wola.

Stefan uśmiechnął się:

— Nie zależy mi na senioracie.

— Otóż to — podchwycił Henryk — przypominasz Ezawa z biblii, który wyrzeka się pierworodztwa.

— Tylko nie otrzymuję od ciebie w zamian miski soczewicy.

— Owszem. Tą soczewicą jest tak zwany „święty spokój”, którego pragniesz. Młode pokolenie śmiało bierze na siebie ciężar kierowania, odpowiedzialność przed ludzkością, a wyzbywa się bez żalu tego wygodnictwa duchowego, w którym żył świat od Rewolucji Francuskiej. Mamy wolę przetworzenia świata...

— „Nowymi cię pchniemy tory” — zacytował sarkastycznie Stefan.

— Więc cóż z tego? — nie poddał się Henryk.

— Było już, było — jęknął Urusow.

— Nie porozumiemy się — pokiwał głową Henryk — nie porozumiemy się, gdyż dla was ideałem jest... meduza, bezwładnie leżąca na fali, oczywiście na fali obfitującej w pożywkę, bezsilna i obojętna na to, dokąd ją prąd zanieśie, bezbronna wobec wrogów, miękka i galaretowata.

— Dziękujemy, dziękujemy — poważnie odpowiedział Urusow — opisałeś nas nadzwyczaj barwnie. Obraz sugestywny.

— Ja znajduję, że... — odezwał się Stefan — że niewybrednie tendencyjny. Wybacz, Henryku, ale połknąłeś w zapędzie cały dorobek kulturalny tych meduz: wiedzę, sztukę, cywilizację.

— Wszystko to jest bezpłodne, jałowe, bezcelowe. Społeczeństwo wyhodowane w tej kulturze nie jest zdolne do czynu, do pędu, do jakiegokolwiek aktywności.

— Poczekaj — przerwał Stefan — czy nie przyszło ci na myśl, że te meduzy mają w sobie zmagazynowane doświadczenie wielu wieków, a takie doświadczenie, ten kapitał intelektualny poucza, że wszelki pęd, wszelka aktywność, to tylko marnowanie sił i bezrozumne harce w zamkniętej klatce?... Zresztą... dajmy temu spokój. Pozwól, że zaproponuję, byśmy poszli na obiad.

Urusow wtrącił jeszcze jakiś żart i wyszli razem. Po drodze Henryk opowiadał o swoich wizytach. Umyślnie mówił zupełnie innym tonem, jakby dla zaznaczenia, że łaskawie pozostawia na uboczu swoje lekceważenie dla „meduz”. Stefan doskonale to wyczuł.

— Głupi dzieciak — myślał — działa mi na nerwy. I ta nieznośna, cieleca pewność siebie.

Zjedli obiad w pobliskiej restauracji, po czym Urusow pożegnał się, a Henryk odprowadził brata do domu.

— I ja pójdę — uściśnął mu rękę — telefonowałem do Karskich i zapowiedziałem się na piątą.

— Do widzenia.

— Aha, jeszcze jedno, byłbym zapomniał: pani Bogna prosiła byś koniecznie wstąpił do niej. Ma jakiś ważny interes.

— Interes? — zdziwił się Stefan.

— Tak powiedziała.

— Dobrze, dziękuję ci.

— Ale najpierw zadzwoń, gdyż chce rozmówić się z tobą w cztery oczy. Do widzenia.

Stefan wrócił do domu nieprzyjemnie podniecony. Przez dobrą godzinę rozmyślał nad tym, czego chce odeń Bogna. Na pewno nie mogło to być nic osobistego. Zresztą wyraźnie zaznaczyła, że chodzi o interes. I to pilny. Zatem rzecz dotyczy prawdopodobnie Malinowskiego. Może zrobił jakieś nowe świństwo. Albo wykryła, że się za jej plecami wdaje z owym oszustem Mischczakowskim.

To wydawało się najprawdopodobniejsze. Ale tym razem nie powinna była liczyć na pomoc. Owszem, Borowicz z całego serca pragnął, by Ewaryst znowu znalazł się w takiej sytuacji, jak wówczas.

— Popełniłem wtedy błąd nie do darowania — myślał — należało nie jechać do Iwanówki, nie zawiadamić Bogny. Opóźnienie starań o kilka dni wystarczyłoby z całą pewnością do zamknięcia tego bydłęcia na dłuższy czas w więzieniu.

Malinowski miałby to, na co zasłużył, a Bogna uwolniłaby się od tego człowieka. Byłaby wolna...

— A cóż by mnie z tego przyszło? — przychwycił siebie.

Jakże ciężko mu było dziś przyglądać się własnej udręce. Tak, to brak woli życia, woli zdobywania. Brak odwagi decyzji.

Stanął przy oknie. Na dole ludzie wyglądali jak małe zabawki. Tuż pod oknami o jakieś dwadzieścia kilka metrów niżej od parapetu leżały gładkie, twarde, betonowe płyty chodnika.

— Jestem meduzą, bezwładnie leżącą na fali — przypomniał słowa Henryka i zaśmiał się.

Zapukano do drzwi.

— Do pana telefon — odezwał się głos Marcysi.

Dzwoniła Bogna. Zaczęła od zachwytyłów na temat Henryka. Taki miły, wesoly, interesujący chłopak.

— Wyobrażam sobie, jak się pan cieszy, że ma takiego brata.

— Oczywiście, cieszę się — zdawkowo odpowiedział Borowicz.

— A czy Henryk mówił panu, że jak najprędzej chciałabym się z panem widzieć?

— Owszem, wspominał. Jestem zawsze do usług.

— Co panu jest?... Znowu spleen?

— O nie, bynajmniej. Nawet przeciwnie. Nareszcie nie spleen.

Milczała chwilę. Widocznie zastanowił ją ton jego słów.

— Co pan teraz robi?

— Nic ważnego.

— A miałby pan teraz czas, by zobaczyć się ze mną?

— Czy mam przyjechać?

— Nie. Ewaryst zaraz wraca, a ja chciałabym pomówić z panem swobodnie i bez świadków. Po prostu przyjdę do pana.

— Jakto do mnie? — przestraszył się.

— Całkiem zwyczajnie. Chyba, że pan ma jakieś trudności?...

— Ależ bynajmniej.

— Więc można?

— Bardzo panią proszę.

— Zatem do widzenia. Będę za dwadzieścia minut.

Odłożyła słuchawkę, a Borowicz stał jeszcze przy telefonie przez dłuższą chwilę. Nie rozumiał co się z nim dzieje. Powiedziała: — Po prostu przyjdę do pana... Było w tym coś nieprawdopodobnego, kryło się w tym coś, co swoją treścią przekraczało wszelkie przewidywane możliwości.

Wszedł do swego pokoju. Jeszcze nigdy nie wydał się mu tak brzydki, tak banalnie hotelowy, tak pozbawiony smaku. Przy tym nieład. Książki na biurku porozrzucane, jakieś pidżamy, jakieś ubrania. Na dywanie skrawki papierów, zakurzona szafa, a lustro nie czyszczone od niepamiętnych czasów. To było oburzające. Płaci przecie drogo za pokój, osobno za usługę, a mieszka, jak w śmietniku.

Chwycił stary szlafrok i gorączkowo zaczął nim wycierać lustro, półki, szafę, poprawiał pościel na łóżku, zsuwał książki, zbierał z podłogi rozrzucone papierki. Z ulicy wdzierał się nieznośny hałas, warkot motocykli, huk rozpędzonych wozów tramwajowych, sygnały samochodów. Szybko pozamykał okna i znowu sprzątał, sprzątał zawzięcie, byle skupić uwagę na czym innym, byle nie gubić się w domysłach. W tych niedorzecznych, niepokojących domysłach, które rozpały wyobraźnię, ogarniały mózg jakąś rozedrganą aurą egzaltacji.

Pomimo całego wysiłku nie mógł opanować myśli. Cisnęły się z miazdzącą konsekwencją. Jakże się to mogło tak przypadkowo złożyć, że Miszutka właśnie dziś, właśnie po swojej wczorajszej bytności u Bogny, wyskoczył nagle z podobnym odkryciem. Bez kwestii musieli mówić ze sobą. Albo zaczął Miszutka, albo ona.

— Niemożliwe!...

A jednak logika faktów: Henryk był u niej. Ten sam Henryk, który z rana bez obsłonek wypowiedział swoje... pobożne życzenia. Musiał rozmawiać z Bogną o nim. To nie ulega wątpliwości. Oczywiście pozwolił sobie na bezczelne powtórzenie tego, co z rana mówił tutaj. Tak, to zgadza się z jego pojęciami o „świadomej woli i o „cnocie kierowniczej” prawdziwego mężczyzny.

— Mnie uważa za meduzę... Miszutka, Henryk i Bogna... jakaś rada opiekuńcza.

A przy tym Henryk zanadto obojętnie wspominał o tym, że Bogna chce widzieć się z bratem. W tej obojętności niewątpliwie ukrywa się zamiar zamaskowania czegoś ważnego, umówionego, postanowionego...

— Absurd! — mitygował swoją wyobraźnię.

Lecz dlaczego, jeżeli miała doń taki ważny interes, nie powiedziała o tym Miszutce?... Interes nie mógł zjawić się dziś, w niedzielę. Malinowski też od wczoraj (przecież był w domu!) nie mógł zrobić nic nowego do dzisiejszego ranka. Zatem „interes” wynikał z rozmowy z Henrykiem. Henryk upewnił Bognę o tym, co jej w przeddzień zasugerował Miszutka.

Bo czymże sobie wytłumaczyć, że po tylu latach znajomości, po tylu latach przyjaźni, nagle ni z tego, ni z owego, po raz pierwszy, zechciała sama przyjść do niego?...

— Po co? Po co?...

Nie można przecie naiwności posuwać aż tak daleko, by wierzyć w jakiś interes. Po prostu Bogna zdecydowała się zrobić pierwszy krok.

Przechodząc obok lustra zatrzymał się.

— Boże, jak ja wyglądam!

Na policzkach wystąpiły czerwone plamy, oczy błyszczały jak w gorączce. Prędko wytarł twarz wodą kolońską, poprawił włosy i krawat. Sama świadomość, że ma jakiś brak, czy niedokładność w ubraniu, czy w uczesaniu, zawsze odbierała mu swobodę ruchów, pewność siebie, zdolność do skupienia uwagi. A teraz musiał całkowicie panować nad nerwami.

Ma się rozumieć nie byłoby w tym nic horendalnego, ani kompromitującego, gdyby Bogna sama zaczęła i gdyby pozwalał jej na pokierowanie tą najważniejszą rozmową. Jednakże gdzieś w podłożu takiego załatwienia sprawy, gdzieś na dnie sytuacji zostałby wyraźny posmak śmieszności, ośmieszenia. Odczuwał to doskonale i postanowił wziąć inicjatywę na siebie. Nie myślał teraz o tym, czy pragnie Bogny, czy postąpi słusznie. Po prostu wiedział, że tak trzeba. A co będzie później to już rzecz drugorzędna. Jakoś przeprowadzi się rozwód, jakoś pobiorą się i jakoś będą żyli. Oczywiście nędza, oczywiście brak środków na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb Bogny i jej dziecka...

— Więc trudno! Miliony ludzi żyją w niedostatku.

Małoważność tego wydawała mu się teraz niewątpliwa. Wysuwała się już mocniej inna obawa: jego własne usposobienie. Nie wyobrażał siebie w stałym, codziennym pożyciu z kimkolwiek. Przychodzą okresy apatii, rozdrażnienia, głodu samotności i dręczącego zniecierpliwienia. Jeżeli chce postąpić uczciwie, powinien zaraz, natychmiast, bez względu na brutalność takiego kroku, wyjść z domu, a Bognie zostawić kartkę z byle jakim wyjaśnieniem.

Jednakże refleksje takie przebiegały przez mózg nie pozostawiając najmniejszego śladu. Mniejsza o to, czy postąpi słusznie, czy nie, uczciwie, czy nie, dobrze, czy najgorzej. Teraz już nie czas zastanawiać się, jakiego rodzaju uczucia żywi dla Bogny. Czy nie zatrjuje życia jej i sobie, czy nawet nie skłamię, gdy powie jej, że ją kocha, czy nie popełni szaleństwa...

W przedpokoju krótko i mocno zaterkotał dzwonek.

Borowicz zacisnął zęby i stał nieruchomo przy drzwiach. Słyszał kroki Marcysi, szcęk zatrzasku i świeży, jasny głos Bogny:

— Czy zastałam pana Borowicza?

— Owszem. Pani zapuka, drugie drzwi.

Wyciągnął rękę do klamki i otworzył.

Była w lekkiej blado zielonej sukni, szczupła, wysmukła, dziewczęca. Białe płócienny kapelusz, cokolwiek nasunięty na czoło jeszcze bardziej uwydatniał świeżość i złotawą opaleniznę jej twarzy. Uśmiechnięta i zaciekawiona zatrzymała się w progu:

— Więc tak pan mieszka?... Znamy się od tyłu, tyłu lat, a u pana jestem po raz pierwszy!

— Tak się złożyło... — zaczął i urwał.

Wyciągnęła doń rękę:

— Czemu pan wczoraj nie przyszedł?

— Przyjechał Henryk... Poza tym.... w ogóle...

Głos mu drżał więc chrząknął i zamilkł.

Bogna rozglądała się po pokoju, zdjęła rękawiczki i usiadła na fotelu przy oknie. Stefan dopiero teraz spostrzegł, że drzwi od przedpokoju zostały otwarte. Oczywiście będą podsłuchiwać. Zatrzasnął drzwi, później zrobił kilka bezcelowych ruchów, przełożył jakąś książkę na biurku, nieznacznie podciągnął krawat i zapytał:

— Okropnie mieszkam, prawda?...

— Ależ bynajmniej — zaprzeczyła żywo — tu jest bardzo przyjemnie. Poznałabym od razu, że to pańskie locum.

— Wątpię. Ten pokój jest równie pozbawiony wyraźnej indywidualności, jak i jego właściciel.

— O, nie tak bardzo — zażartowała — ale moje zdolności detektywne ograniczyłyby się do obserwacji węchowych. Pachnie tu pańską wodą kwiatową, którą rozpoznałabym wśród tysiąca innych. A te walizki to Henryka?

— Tak.

— Niechże pan tu usiądzie. Henryk bardzo mi się podobał. Ma wdzięk, a chociaż jest może mniej przystojny niż jego brat...

— O!...

— To nie komplement — zastrzegła się — niech pan wysłucha do końca! Chociaż jest mniej przystojny, jednakże ma w sobie coś bardzo męskiego.

— Czego mnie brakuje — dokończył Stefan.

— Nie można być aż tak chciwym. Chciałby pan zmonopolizować wszystkie uroki?... Ale zupełnie serio — zmieniła ton — udał się panu brat. Bardzo się cieszę. Rozsądny, inteligentny, naturalny. Wyobrażam sobie, jak pan, drogi panie Stefanie, musi być uszczęśliwiony, że wyrósł zén taki dzielny mężczyzna. Przecie to pana dzieło.

Borowicz wzruszył ramionami.

— Myli się pani. Wcale nie moje dzieło. Dzieło wielu rzeczy przypadkowych. A poza tym nie jestem nim zachwycony. I przypuszczałem, że pani, właśnie pani, łatwiej to odczuje niż ktokolwiek inny.

— Ależ dlaczego!?

— Dlaczego pani?... — zawahał się.

— Nie. Pytałam, co mu pan ma do zarzucenia?

— Że jest takim, jak jest. Że nie łączy mnie z nim nic. Ani przekonania, ani upodobania, ani usposobienie. Sądziłem, że pani to wyczuje... Ale widocznie... widocznie mnie pani nie chce, nie umie, nie może wyczuć.

Spojrzała nań zdumiona:

— Na razie tylko nie rozumiem pana.

Borowicz wstał, zapalił papierosa i usiadł znowu. Wiedział, że musi powiedzieć, że powie, ale tak trudno było znaleźć słowa. Na to, by wyrzucić z siebie jakieś słowo, trzeba mieć pełne przeświadczenie, że odpowiada ono istocie pojęcia, że zawiera w sobie całą prawdę wewnętrzną. A takich słów nie ma. Wymagają uzupełnień, określeń, pomniejszych, retuszu przy pomocy innych słów. Tutaj zaś nie wolno było, byłoby śmieszne i obrażające jakiegokolwiek zamglenie, zmącenie, podanie w wątpliwość tego, co trzeba powiedzieć:

— Pani mnie źle odczuwa — zaczął jakimś nieswoim głosem — pani intuicja nie powiedziała jej nigdy, że... że ja panią kocham...

Zapanowała zupełna cisza. Nie miał odwagi spojrzeć w oczy Bogny.

— Panie Stefanie — odezwała się wreszcie jakimś szeptem, w którym był przestrah, i radość, i smutek, i współczucie, i zdumienie.

Tak, przede wszystkim zdumienie. Ale nie miał czasu, nie miał możliwości zastanowić się nad tym. Jej cichy okrzyk zginął w jego świadomości przesyconej teraz jakimś niepojętym rozjarzeniem, jakąś rozedrganą jasnością, ekstatycznym podziwem dla odkrytej w sobie prawdy.

Tak, kocha ją, kocha do szaleństwa, ponad wszystko na świecie. I zawsze ją kochał. Od swoich najmłodszych lat.

Zakrył oczy rękami i mówił:

— Może nie wiedziałem, może nie rozumiałem, ale przecie żyłem tylko dla pani, tylko myślą o pani. Wszystko nad czym cierpiałem, wszystko, czym się radowałem było przez panią. Bałem się ogromu tego uczucia, bałem się jego siły. Zasnaniałem się przed nim tysiącami kłamstw, nieszczerości, wykrętów. Dręczyłem się, jak potępieniec. Rozpamiętywałem każdą chwilę, spędzoną z panią, a tych chwil... tych chwil było tyle, ile ich było w całym moim życiu, bo nigdy, słyszy pani, nigdy nie byłem sam! Nie rozstawałem się z myślą o pani ani na jedno mgnienie.

Podniósł oczy i przez łzy, które mu zasłaniały wszystko, zobaczył ją znieruchomiłą, bezwładną, wtuloną w kąt fotela.

— Niech przeklęte będą te dni, te jakże liczne dni, kiedy nie umiałem zdobyć się na wyrwanie z siebie, z mojej podłej, nędznej słabości, z mego tchórzostwa tej prawdy! W mózgu, jak w labiryncie, zamykałem swoją miłość, swój cel i sens i wartość życia i jego piękno! Pani Bogno! Ja kochałem panią już wtedy, gdy była pani małą dziewczynką i wtedy, gdy wychodziła pani za męża i później i przez cały czas. O, Boże!... Czy wybaczy mi pani tę kłamaną przyjaźń! To tchórzowskie maskowanie bezwartościowymi namiastkami jedynie wielkiej i ważnej mojej miłości dla pani!... Nie wiem, bo skądże mogę wiedzieć, ale może tylko ta moja niska tchórzliwość zawiniła wszystkim nieszczęściom, smutkom i zmartwieniom, które na panią spadły?... Może gdybym nie był dawniej nędznym maruderem życia, a zdobył się na odwagę sięgnięcia po własne szczęście, może zdobyłbym je i dla pani?

Załamiał ręce aż do bólu i szlochał:

— Bogno... Bogno... Nie pamiętaj mi tego... Błagam panią... Nie wiem, czy przeczuwała pani moją miłość, lecz jeżeli nie, to przecie moja wyłączna wina... Jak szaleniec, jak największy głupiec ukrywałem ją przed panią, ukrywałem przed sobą...

Poczuł na głowie dotyk jej ręki. Chwycił ją i przywarł ustami do mokrych od łez palców.

— Cicho... panie Stefanie... cicho... Trzeba się uspokoić... Cicho, mój biedny, dobry chłopcze... Cicho...

Przytuliła jego głowę i stała tuż przy nim.

Pomału zaczął się uspokajać. Czuł się tak osłabiony i tak wyczerpany, że z trudem starał się myśleć.

Tymczasem Bogna zaczęła mówić. Z początku nie rozumiał jej słów. Zlewały się w jakąś smutną melodię, której treść ginęła zagłuszona przez gwałtowne tętnienie krwi pod czaszką.

— Jesteśmy zbyt dobrymi, zbyt dawnymi przyjaciółmi, drogi panie Stefanie, — mówiła spokojnie — żebyśmy musieli uciekać się do niedomówień i kurtuazyjnych komplimentów. Wie pan doskonale czym pan jest dla mnie. Ale tak nie można, drogi Stefku, nie można. Byliśmy zawsze dla siebie jakby rodzeństwem. Nie powiem, że oceniałam to wysoko, bo byłam i jestem za to wdzięczna, bardzo panu wdzięczna. I nagle dzisiaj oskarża mnie pan o to, że nie odkryłam w panu tego uczucia, w które jeszcze wczoraj pan sam nie wierzył. Przecie nic się nie zmieniło, nic się nie stało. Po prostu nastrój. Sprawiłoby mi wielką przykrość najmniejsze urażenie pana, więc proszę mnie dobrze zrozumieć: czyż to, co dało się przez tyle lat tłumaczyć i ukrywać, może być miłością? Czy pan wie, co to jest miłość?...

Umilkła, jakby czekała odpowiedzi.

— Miłość zaczyna się od tego, że się o niej wie, że się wie z całą pewnością. Nawet wbrew rozsądkowi, wbrew logice, wbrew postulatom etycznym, wbrew własnej woli. Panie Stefanie, inna miłość, taka, która na uświadomienie musi czekać aż przyjdzie nastrój, aż wyczerpane nerwy zażądadają jakiegoś wyraźnego punktu oparcia, taka miłość nazajutrz znowu może, nawet musi stać się czymś wątpliwym i bezcielesnym. Pan mnie nie kocha, panie Stefanie.

Podniósł na nią oczy. Stała smutna i zamyślona. Była teraz piękniejsza niż kiedykolwiek, niż kiedykolwiek bardziej pożądana. Cóż znaczyły słowa! To, że nie wierzy w jego miłość to też jest obojętne, a właściwie nieważne. Przecie może ją przekonać. Nie wolno zbyt symplicystycznie traktować psychiki ludzkiej. Jeżeli nawet jego miłość jest złudzeniem, to nic nie przeszkodzi temu złudzeniu stać się rzeczywistością. Samą mocą pragnienia.

— Trzeba jej to powiedzieć — myślał niespokojnie — trzeba wytłumaczyć, że w psychice człowieka istnieje możliwość twórcza. A poza tym... poza tym trzeba być mężczyzną. Trzeba zmusić ją, by uwierzyła, użyć moralnej przemocy... I fizycznej. Chwycić ją, objąć, zgnieść w ekstazy uścisku, wpić się w jej usta, w te zmysłowe, nienasycone usta... Nawet steroryzować ją. Powiedzieć o tym, że jeżeli mnie odtrąci, natychmiast po jej wyjściu wyskoczę przez okno. Znajdzie mnie zmiażdżonego na twardych betonowych płytach chodnika...

Lecz jednocześnie odezwał się w nim inny głos:

— Co za nędzne komedianstwo, co za kabotyzm! Choćbym nawet tak zrobił, nie przestałoby to być śmieszne i fałszywe. Czyż ona nie ma racji, że już jutro znowu mogę zwątpić w swoją miłość dla niej?... Czy sam fakt niepodobieństwa zapewnienia jej i dziecku przyzwoitych warunków egzystencji nie zatruje każdej chwili ich życia?... A do tego trzeba dodać dręczącą świadomość, świadomość, która nie ustąpi ani na jedną godzinę, świadomość, że ona należała do jakiegoś pana Malinowskiego, że go... kochała, ona, która teraz wątpi w wielkie umęczone uczucia człowieka najbardziej sobie bliskiego...

— A poza tym — zaczęła znów Bogna — poza tym nie należę do siebie. I pan znając mnie, jak może nikt inny, wie to doskonale, drogi panie Stefanie — nie należę do siebie. Mam dziecko i męża. Mam względem nich obowiązki. Mam więcej niż obowiązki: zdaję sobie sprawę z tego, że beze mnie Ewaryst mógłby znowu znaleźć się w złej sytuacji...

Borowicz spuścił oczy:

— Kocha go pani?...

Potrząsnęła głową:

— Nie.

— Więc nie rozumiem!

— Kochałam go — odpowiedziała spokojnie — pan przecie wie wszystko. A dziś... dziś już mój los jest związany z jego losem.

Zerwał się z miejsca:

— Bogno! Niechże się pani zastanowi! Przecie to potworne, przecie żadnego człowieka nie znajdzie pani na ziemi, który by nie nazwał tego szaleństwem! Co panią może z nim łączyć?... Przecie nie przywiązanie!

— O nie — uśmiechnęła się boleśnie.

— Więc co?

— Przyszłość Danusi.

Borowicz bezradnie opadł na krzesło.

— Mówiłam kiedyś panu o tym. Zresztą, panie Stefanie, i ja już jestem niezdolna do miłości. Życie moje zostało zamknięte, mój świat zwęził się i zacieśnił, a dla mnie w nim zostało tylko miejsce matki. To może bardzo wiele, może bardzo mało, ale dla mnie to już wszystko. Nie pragnę, nie umiem już pragnąć innej roli dla siebie. Tak, panie Stefanie, tak, mój dobry, kochany przyjacielu...

W jej oczach zakręciły się łzy. Otarła je szybko i wyciągnęła doń ręce:

— Nie mówmy już o tym. Dobrze?...

Ujął jej ręce i zamknął w swoich dłoniach. Ogarnął go tak bezmierny, tak przenikający smutek, że myśli roztapiały się w jakimś matowym odrętwieniu, graniczącym z niedającą się określić dziwną błogością. Oto kończyło się dlań wszystko, oto doszedł do kresu. Tu urywały się wszystkie drogi, rozplywały się w pustce... Zsuwał się bezsilnie ku przepaści, raczej ku bezdennej otchłani, gdzie nie czeka nań żadna katastrofa, gdzie roztopi się w nicości... jak meduza... jak meduza... Te dłonie ciepłe i serdeczne to już tylko wspomnienie, to już tylko znak z daleka, znak jakiegoś szczęścia, koło którego przeszedł nie wiadomo kiedy i nie wiadomo dlaczego...

— I tak najlepiej... tak najlepiej — wyszeptał — tak najlepiej... Widzi pani, ja właściwie mówiąc nie... istniałem. Moja obecność na świecie nie została niczym zaznaczona ani dla mnie, ani dla innych. I dobrze się stało, że nie dała się skonkretyzować w jakiś kształt. Próbę tę należałoby może nazwać katastrofą, gdyby wsiąknięcie czegoś, co jest prawie nicością w nicość było w ogóle dostrzegalne. Tak najlepiej, pani Bogno, tak najlepiej...

Wyswobodziła dłonie i ścisnęła mocno jego ręce:

— Nie, panie Stefanie. Tak nie można. I to nieprawda.

— Prawda.

— Jest pan strasznie zarozumiały. Panu się zdaje, że rozumie pan wszystkie przeznaczenia. A skądże pan może wiedzieć, czy swoim istnieniem, czy bodaj tą chwilą nie obdarza kogoś czymś bardzo cennym, czymś bardzo drogim?...

— Kogoś, komu nie jestem potrzebny — spokojnie uśmiechnął się Borowicz.

— A teraz pan powiedział świadomie nieprawdę. No, niechno mi pan spojrzysz w oczy... Widzi pan. Nie wolno być tak chciwym. Przypląca się taką chciwość często... prawdziwym nieszczęściem... Często taką krzywdę, jakiej... Panie Stefanie, oczywiście nie chcę i nie potrafię nauczyć pana, przypomnę tylko słowo wielkiej mądrości: — chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... Nawet prosić o wielkie szczęście nie trzeba, trzeba umieć zbudować je sobie z małych ludzkich radości, ulepić z tego chleba powszedniego... A pan to nazywa nicością. Tak nie można, panie Stefanie.

Siedział z opuszczoną głową. Jakże jej to mógł wytłumaczyć, że wolałby rozpacz, szaleństwo, że wolałby spotkać na swej drodze huragan, orkan, jakąś kosmiczną potęgę i walczyć z nią i zginąć roztrzaskany, zmiażdżony, starty, niż roztapianie się w próżni, z którą ani walczyć, z której ani ratować się nie podobna.

— Trzeba żyć i chcieć żyć — mówiła — trzeba zrozumieć, że życie nie tylko jest naszym prawem, nie tylko przywilejem i wielkim darem, ale i ciężarem i obowiązkiem.

Głos jej stawał się twardy, niemal surowy. Zdania wiązały się w jakieś wyznanie wiary, w jakąś ewangelię własnego życia.

Borowicz słuchał w milczeniu. Z każdym słowem, z każdym brzmieniem jej głosu odkrywał ją wciąż nową i wciąż tę samą: jedyną, najświętszą, najlepszą, niezbędną, godną największych poświęceń, godną najboleśniejszych wyrzeczeń się.

Tymczasem przeszła do spraw ściśle osobistych. Mówiła o swoim cierpieniu, które się zabliznia i o Danusi. I o tym, że obie muszą liczyć na dobroć przyjaciół, na ich pomoc.

— Dlatego przyszłam do pana, panie Stefku. Dlatego, że pan mi pomoże. Czy prawda?

— Jakże można o tym pytać?

— Więc widzi pan, nie zawiodłam się, a rzecz jest kłopotliwa. Umarł mój krewny, nie znał go pan, Józef Brzostowski. Zostawił mi w testamencie dosyć duży zapis. Obecnie dzięki Bogu wystarcza nam to, co zarabia Ewaryst. Dlatego chcę cały spadek zachować dla Danusi. Ale zna pan Ewarysta. Gdy tylko dowie się, że staliśmy się bogaci, nic go nie zdoła powstrzymać od rozrzutności, od lekceważenia pracy, od powrotu do dawnego, okropnego trybu życia. A ja na to nie mogę pozwolić. Nie wolno mi. Otóż rozmawiałam z adwokatem i ten mi poradził, bym zwróciła się do kogoś bardzo zaufanego, bym

wydała mu, to znaczy panu, panie Stefanie, plenipotencję do przejęcia spadku i do zarządzania tym wszystkim. W ten sposób Ewaryst w ogóle nie dowie się, że może liczyć na coś innego, poza swoim zarobkiem. Rozumie mnie pan?... Nie chodzi mi nawet tak bardzo o zabezpieczenie majątku dla Danusi. Powiem nawet, że w ostatecznym wypadku wolałabym zrzec się zapisu, niż dopuścić do ponownego ryzyka. Kiedyś major Jagoda dał mi do zrozumienia, że w nieszczęściu Ewarysta i ja poważnie zawiniłam. Może i miał rację. Twierdził, że źle zrobiłam wychodząc za mąż za człowieka, którego przez to wciągnęłam w obce mu środowisko, gdzie rozbudziły się w nim i próżność i niezdrowa chęć użycia. Może i miał rację. W każdym razie muszę być ostrożna, bardzo ostrożna. Muszę dla Danusi zachować dom, rodzinę, ojca. Czy pomoże mi pan?...

— Oczywiście — krótko odpowiedział Borowicz.

— Bardzo, bardzo dziękuję. Wiedziałam, że pan nie odmówi. Tylko tajemnica, zupełnie tajemnica. Dobrze?... O, już po szóstej. Niech pan weźmie kapelusz i idziemy.

— Dokąd? — zdziwił się.

— Do adwokata. Umówiłam się z nim na szóstą.

Borowicz podniósł się ciężko, wziął kapelusz i otworzył drzwi:

— Chodźmy — powiedział cicho.

Przeszli przez ciemnawy przedpokój, długo w milczeniu schodzili wąskimi schodami. Śień ogarnęła ich chłodną wilgocią, aż znaleźli się na rozgrzanej ulicy pełnej hałasu i gwaru, w którym nie podobna było dosłyszeć odgłosu własnych kroków na szarych kwadratowych betonowych płyt chodnika.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/swiat-pani-malinowskiej/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Świat pani Malinowskiej, Tow. Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>).

Okładka na podstawie: Tim Dorr@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0194-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).